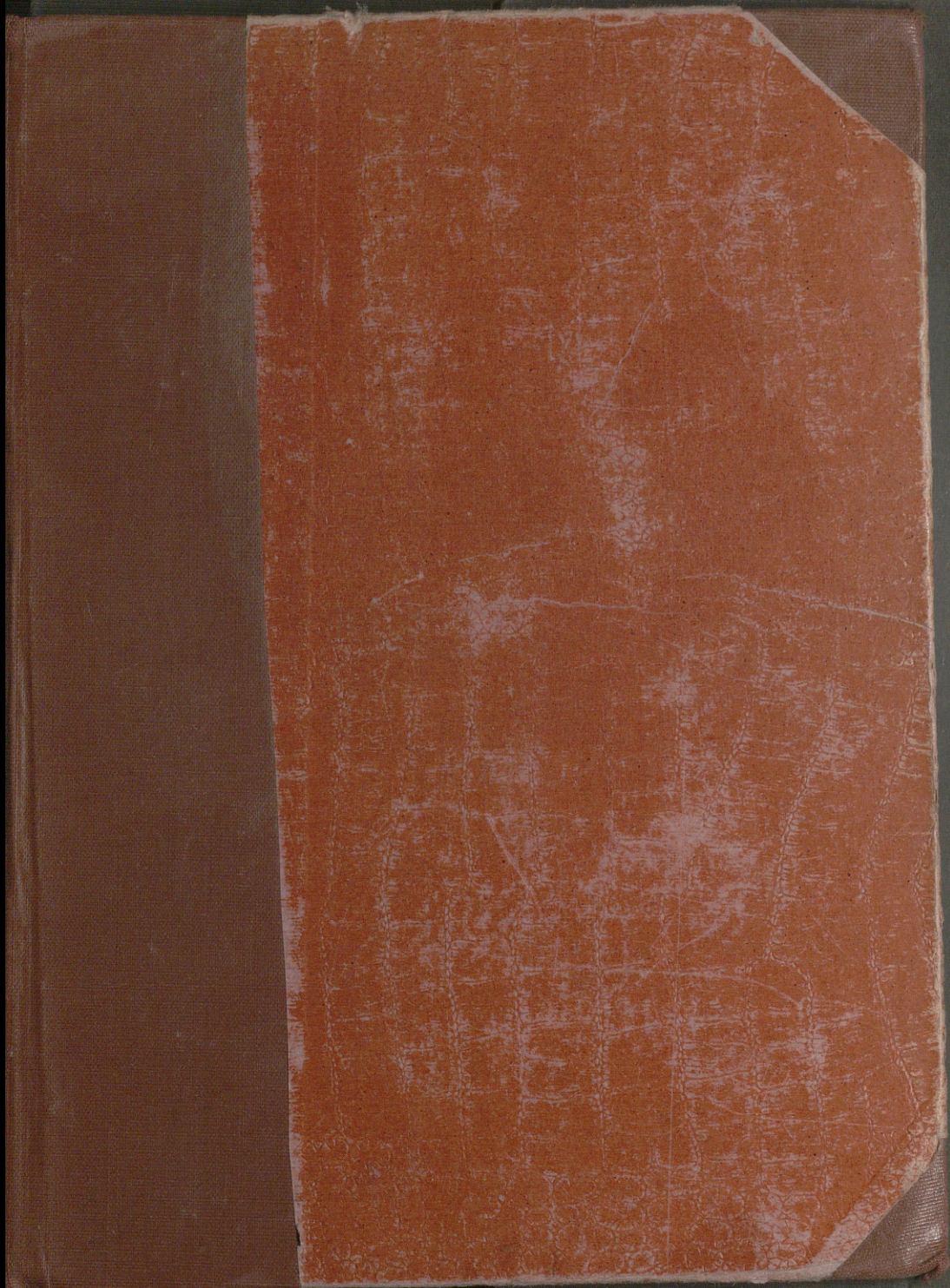

R G B WH GR BL
Grey Scale #13
C M Y K
Part Code ST1316
DANES-PICTA.COM
A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19
Colour Chart #13
Blue Cyan Green Yellow Red Magenta White 3/Color Black
Inches
Centimetres
DANES-PICTA.COM



POWSTANIE KOŚCIUSZKOWSKIE

TEGOŻ AUTORA:

MICKIEWICZ JAKO POLITYK—KRAKÓW, 1908.
MAURYCY MOCHNACKI (ŻYWOT I DZIEŁA)—LWÓW, 1910.
POWSTANIE LISTOPADOWE. WYD. IV—WARSZAWA, 1918.
KONSTYTUCJA 3 MAJA. WYDANIE II — WARSZAWA, 1918.
POWSTANIE STYCZNIOWE. — WARSZAWA, 1919.
JOACHIM LELEWEL. ZARYS BIOGRAF. — WARSZAWA, 1918.
POLSKA NIEPODLEGŁA. OPOWIADANIE Z DZIEJÓW POLSKI. WARSZAWA, 1919.
ŻÓŁKIEWSKI. — WARSZAWA, 1920.

W OPRACOWANIU I Z PRZEDMOWĄ TEGOŻ AUTORA, MAURYCEGO MOCHNACKIEGO PISMA, PO RAZ PIERWSZY EDYCJĄ KSIĄŻKOWĄ OBJĘTE. LWÓW, 1910.



TADEUSZ KOŚCIUSZKO

ARTUR ŚLIWIŃSKI.

POWSTANIE KOŚCIUSZKOWSKIE

WYDANIE DRUGIE

WŁASNOŚĆ
ZOFII KESSELA



1920
WYDAWNICTWO M. ARCTA W WARSZAWIE
POZNAŃ — ŁÓDŹ — LUBLIN
WILNO, KSIĘGARNIA STOW. NAUCZYCIELSTWA POLSKIEGO.



13736

DRUK ROMANA KANIEWSKIEGO, NOWY-ŚWIAT 54.

WSTĘP *).

Wiek cały stała Rzeczpospolita nad przepaścią zginienia. Niegdyś można, rządna i zbrojna, wywierająca wielki wpływ na wypadki w Europie, schodziła powoli z szerszej widowni i przyzwyczajała świat cały do tego, że już nic nie waży na szali dziejowej, że można się z nią nie liczyć, że godzi się na spełnione fakty, lecz sama do tworzenia faktów dziejowych nie jest już zdolna. Rozległe państwo, wstrząsane ambicjami potężnych magnatów, szarpane swywolą rozhukanej szlachty, bez praw, bez wojska, bez skarbu, żyło hulaszczą beztroską i przekonaniem, że „nierządem stoi". Ginęły wielkie idee polityczne, zanikała rozumna tolerancja, rdzewiał sławny niegdyś miecz

*) Powstanie Kościuszkowskie w wielu szczegółach swoich nie zostało dotąd należycie wyświetlone, działalność wielu osób i wiele ważnych wydarzeń wymaga jeszcze nowych poszukiwań i nowego oświetlenia. Autorowi pracy niniejszej bynajmniej nie chodziło o to. Literatura nasza posiada obszerne „Dzieje Insurekcji Kościuszkowskiej" w opracowaniu Kazimierza Bartoszewicza, posiada dzieło Korzona o Kościuszce, z natury rzeczy, wnikające głęboko w samo powstanie, którego Kościuszko głównym był bohaterem, ale nie posiada dostępnej dla szerszego ogółu książki, wykraczającej swojemi rozmiarami poza objętość broszur popularnych. Książka niniejsza, nie kusząc się

polski, wygasały cnoty rycerskie, niszczał w narodzie duch męstwa, słabła siła i prężność polskiego ramienia.

W ciągu XVIII stulecia Europa była widownią wielkich wydarzeń dziejowych. Ale zacisznej i spokojnej Rzeczypospolitej nie budziły gromy wojenne, rozlegające się tuż nad jej granicami, nie trwożył szczęk orężny, nie wyrywały ze snu wielkie przewroty i wielkie zmiany, zachodzące w całokształcie stosunków europejskich. Rzeczpospolita była coraz częściej widzem, który, nie walcząc, narażał się na ciosy i znosił je z martwym spokojem.

Wewnętrzne stosunki długo nie pozwalały na jakiekolwiek poważniejsze zmiany w rozstrojonym organizmie upadającego państwa. Szlachta stała zazdrośnie na straży swoich praw, przywilejów i „złotej wolności", niepomna, że tylko wolność kraju jest wolności jego mieszkańców rękojmią. A prawa polskie oddawna już stały się bezprawiem. Na całym świecie prawa nakładały obowiązki. Prawa i przywileje polskie miały tę straszną wadę, że pozwalały szlachcie wyzwalać się z wszelkich obowiązków. To było powodem niezliczonych nadużyć i co za tem idzie, upadku energji. To wytwarzało ową beztroskę, która pozwalała trwać bezczynnie i nic nie przedsiębrać, gdy pożar ogarniał ściany ojczystego domu. To wreszcie było przyczyną, że wiatr lekkomyślności polskiej rozdmuchiwał płomienie, grożące Rzeczypospolitej ostateczną zagładą.

---

o wyświetlenie niejasnych dotąd stron powstania, nie wnikając zbytnio w szczegóły, jest próbą wypełnienia tej luki. Pisana w roku 1917, obecnie, w wydaniu drugiem została uzupełniona i poprawiona. Autor uwzględnił wydawnictwa, które ukazały się w druku w ciągu dwóch lat ostatnich. Obok nowych cennych opracowań przybyły wielce ważne „Akty Powstania Kościuszki", wydane przez Sz. Askenazego i Wł. Dzwonkowskiego. Wykaz prac, które autor zużytkował, pomieszczony jest na końcu książki.

Szlachta, nie bacząc na to, co się dookoła dzieje, ufna w swe bezpieczeństwo, długo nie słuchała głosu światłych statystów i patrjotów, widzących konanie państwa, lecz nadaremnie bijących w dzwon trwogi. W r. 1717 Rzeczpospolita pozwoliła sobie narzucić pośrednictwo carskie i, stosownie do woli Piotra, zgodziła się na zredukowanie swej armji do 24.000 ludzi, co było widocznym zamachem na całość i niepodległość państwa. W epoce wojny siedmioletniej znosiła hańbiące godność wolnego narodu postępowanie mocarstw ościennych. Pozwoliła później rządzić wszechwładnie ambasadorom rosyjskim, wystawiała się na najstraszniejsze zniewagi i upokorzenia, lecz nie porwała się do oręża i nie wsparła ginących w walce z Rosją konfederatów barskich.

Odsuwając się coraz bardziej od zagadnień, poruszających państwa europejskie, Rzeczpospolita coraz silniej odczuwała obcą przemoc w swojem życiu wewnętrznem. A to życie, pełne starć i burz, rozdzierane, jak piorunami, namiętnością, pychą i ambicją wielkich rodów magnackich, szarpane bezkarną samowolą szlachty, dawało sąsiadom coraz więcej powodów do mieszania się we wszystkie sprawy państwa. Z różnych stron zresztą wzywano tej pomocy dla załatwienia porachunków wewnętrznych. I wzywano nienadaremnie. Ale siły zewnętrzne, zamiast stać się czynnikiem gry politycznej wewnątrz, zupełnie zawładnęły życiem Polski i kierowały niem według swojej woli. W ten sposób Rzeczpospolita stała się terenem, na którym ścierały się przeciwne sobie prądy, płynące zzewnątrz, a niosące na swojej fali losy narodu w dal najczarniejszej przyszłości. Ogół, wbrew własnej woli i chęci, wprzągnięty został w służbę obcą, a z tego nieomieszkały skorzystać ciemne żywioły, które jedynie własny zysk mając na widoku, ważyły się na wszystko i we wszystkiem szukały tylko

osobistych korzyści. W takich warunkach szerzyła się demoralizacja, lęgła się zdrada i wszystkie zbrodnie, które zdrada rodzi.

Traktaty rozbiorcze, ogłoszone w sierpniu 1772 roku, aczkolwiek, według świadectwa współczesnych, jak Rzeczpospolita długa i szeroka, ogromne uczyniły wrażenie, nie zbudziły przecież śpiącej woli narodu, nie natchnęły Polski nawet męstwem rozpaczy. Na radzie senatu przebrzmiał bez skutku głos Tadeusza Lipskiego, który się domagał, by zwołać natychmiast pospolite ruszenie i bronić się do upadłego, a jeśli trzeba będzie zginąć, to zginąć z honorem. I nadaremnie opierali się patrjoci zwołaniu sejmu, który imieniem narodu miał zatwierdzić rozszarpanie Polski. Bez próby obrony, bez jednego wystrzału pozwolono ćwiartować żywe ciało Ojczyzny i trzecią jej część wydawano na łup obcej chciwości.

Już złoto moskiewskie potęgą stawało się w Polsce, już honor i dostojeństwo narodowe było przedmiotem targu, już zdrajcy i przedawczykowie w biały dzień obnosili swój bezwstyd i swoją hańbę, i nie tylko nie byli kamienowani oburzeniem opinji, lecz zdradziecką ręką śmiało sięgali po najwyższe w Rzeczypospolitej zaszczyty. W przepaść niesławy staczała się Polska, a nawet rozpaczny krzyk Rejtena, brzmiący tak strasznie w sercach całych pokoleń, nie wstrząsnął sumieniami współczesnych i nie zapobiegł zbrodni. Sejm 1773 roku pod przewodnictwem zdrajcy Ponińskiego zatwierdził rozbiory i, zgodnie z wolą Rosji, wyłonił nowe narzędzie przemocy: nowy rząd, pod nazwą Rady Nieustającej, złożonej z zaprzedanych Moskwie służalców.

Patrjoci, widzący jasno, że ojczyzna ginie, wytężyli wszystkie siły, by zapobiec zbliżającej się nieuchronnie katastrofie. Jakoż ruch odrodzeńczy coraz szersze zataczał kręgi, skupiał wszystko, co w narodzie było żywe i nie-

spodlałe, co cierpiało nad hańbą kraju, co wolnem być chciało i do wolności dążyło. Rezultatem podjętej pracy był Sejm Czteroletni i jego dzieło wiekopomne: Konstytucja 3 Maja.

Dwór petersburski, zajęty wojną z Turcją, nie zdołał w swoim czasie przeciwstawić się skutecznie wyzwoleńczym dążoniom patrjotów, ale z niepokojem i gniewem śledził bieg wydarzeń w Polsce. Polityka rosyjska nie mogła dopuścić do tego, by Rzeczpospolita, wkroczywszy na drogę zbawiennych reform i wybrnąwszy z anarchji, stanęła własną swoją mocą, by rządziła się własną wolą, by miała własny skarb i własną siłę zbrojną. Rzeczpospolita, dążąca do odzyskania dawnej mocy i dawnego w Europie znaczenia, stawiała tamę rozrostowi kolosa północy, odpychała Rosję od większego wpływu na Zachód, niweczyła plany Piotra Wielkiego i ambicje jego drapieżnych następców. Więc groźna imperatorowa czekała tylko odpowiedniej chwili, by zemścić sie na twórcach Ustawy Majowej i wyzwalające się państwo polskie skrępować znowu powrozami swojej przemocy.

A zaledwie Rosja ukończyła wojnę z Turcją, powstały nowe plany zaborcze i nowa groza zawisła nad Rzecząpospolitą.

Położenie było tem cięższe, że jednocześnie podniosła głowę „złota wolność" szlachecka, rozwarły się czeluście bezdennej pychy magnatów i znowu odezwało się złowrogie wzywanie obcej pomocy. Całe morze reakcji i niezadowolenia z powodu Konstytucji 3 Maja, rozkołysane wichrami samowoli, wystąpiło z brzegów i falami swemi z wściekłością biło w ściany nowowzniesionej budowli państwowej. A wszystkie nienasycone ambicje, wszystkie występki i wszystkie zbrodnie przeciw Ojczyźnie szukały

schronienia i opieki pod skrzydłami wspaniałomyślnej gwarantki „wolności republikańskich", imperatorowej Katarzyny.

W ten sposób obóz patrjotyczny, pracujący nad odrodzeniem Rzeczypospolitej, miał do zwalczania dwóch potężnych wrogów: przemoc obcą, knującą nowy zamach na całość Polski i idące na ręce tej przemocy staroszlacheckie nałogi, starodawną pychę magnatów, dawne samobójcze przesądy, dawne bezprawia oraz nowe zbrodnie.

Na takiem tle rozegrał się ostatni akt dramatu ginącej Rzeczypospolitej: Powstanie Kościuszkowskie.

I.

TRIUMF TARGOWICY.

Mijał rok, odkąd promienne słońce 3 maja wzeszło nad Warszawą i na nowe życie zbudziło Rzeczpospolitą. Cały kraj, ze stolicą na czele, uroczyście obchodził pierwszą rocznicę wielkiego święta wolnego narodu. Jak przed rokiem, tłumy różnobarwne wysypały się na zalane blaskiem słonecznym ulice i jak przed rokiem, głuche niepokojące wieści i trwożne niejasne pogłoski krążyły śród publiczności. Przez miasto przeciągały liczne ronty i patrole, a wzdłuż Krakowskiego-Przedmieścia i Nowego-Światu ciągnęły się dwa barwne szpalery wojsk narodowych. Dnia tego jasne błękitne niebo, rozpięte nad Warszawą, dwukrotnie przesłoniły chmury i dwukrotnie burza wiosenna z wichrem i gradem, bijąc gałtownie o mury miejskie, dudniąc po bruku i dachach, przeszkodziła uroczystościom i zamąciła radosne usposobienie świętujących tłumów. Wszystko jednakże odbyło się według programu. O pół do dziewiątej rano przy biciu dzwonów i huku dział wyjechał z zamku we wspaniałym pojeździe Stanisław August i, witany okrzykami tłumów, udał się do kościoła św. Krzyża. Tutaj odbyło się uroczyste posiedzenie sejmowe i na-

bożeństwo, zakończone odśpiewaniem *Te Deum*, które powitał grzmot stu wystrzałów armatnich. Potem w pobliżu Łazienek *) nastąpiło założenie kamienia węgielnego i poświęcenie miejsca, na którem miał stanąć kościół Opatrzności. Wieczorem Warszawa zajaśniała rzęsistą iluminacją, w teatrze, w obecności króla, odegrano nową sztukę Niemcewicza „Kazimierz Wielki“ i do późna w noc, jak przed rokiem, krążyły po ulicach tłumy, wiwatujące na cześć Konstytucji.

Był to ostatni radosny dzień wolnej stolicy wolnego państwa.

„Odgłos tak ważnej uroczystości, — pisze Niemcewicz, — ściągnął do stolicy nie tylko deputowanych z województw i powiatów, lecz mnóstwo ciekawych widzieć ją obywateli. Nigdy Warszawa ludniejszą i świetniejszą nie była. Był to ostatni dzień Pompei, cieszącej się w obliczu gorejącego już wulkanu, mającego zawalić ją na zawsze“...

Istotnie było to święto na wulkanie, którego głuchy pomruk budził już lęk i niepokoił umysły. Jednocześnie bowiem z przygotowaniami w Warszawie do uroczystości, mających uświetnić rocznicę uchwalenia Konstytucji 3 Maja, na dalekiej północy, w stolicy carskiej, trzej magnaci polscy, wraz z czyhającą na chwilę zemsty imperatorową, knowali zamach, by obalić wiekopomne Dzieło Majowe.

Na czele tych czarnych zamysłów stanął jeden z najmożniejszych w Rzeczypospolitej panów, Szczęsny Potocki. W piersiach tego magnata kłębiło się całe piekło przewrotności i pychy. Zrażony niepowodzeniem podczas obrad Sejmu Czteroletniego, którym według swojego upodobania chciał rządzić, obrażony śmiertelnie na króla, pełen nienawiści dla twórców Ustawy Majowej, marzący o tronie pol-

*) Miejsce to znajduje się dzisiaj w ogrodzie Botanicznym.

skim dla siebie, najpierw w Wiedniu poszukiwał oparcia dla zuchwałych zamiarów. Nie znalazłszy tam posłuchu, udał się do Petersburga. Potocki chciał wskrzesić dawne rządy możnowładcze w Rzeczypospolitej i zrzucić z tronu Stanisława Augusta. Katarzyna już przedtem niedwuznacznie dawała mu do zrozumienia, że sam mógłby zostać królem polskim, a czart rozdmuchiwał płomienie nienasyconej pychy i wodził potężnego magnata po krętych drogach najczarniejszej zdrady.

Ręka w rękę ze Szczęsnym szli hetman wielki, Ksawery Branicki i hetman polny, Seweryn Rzewuski. Branicki, człowiek bez czci i sumienia, już podczas zjazdu w Kaniowie miał czoło upewnić Katarzynę, że jest Rosjaninem, a później, on, pierwszy w państwie polskiem dygnitarz, jakby dla sponiewierania buławy, którą niegdyś piastowali Żółkiewscy i Sobiescy, brał udział w wojnie rosyjsko-tureckiej, jako komendant pułku kozaków. Zuchwały wobec króla, na wszystko ważący się w Polsce, jeden z największych awanturników i opojów swego czasu, szalony, niczem niepohamowany warchoł w stosunku do swoich, potulny i skromny w Petersburgu, płaszczył się wobec imperatorowej, giął się, jak trzcina, przed jej wolą, pokornie słuchał dostojników moskiewskich.

Seweryn Rzewuski, w r. 1767 przemocą porwany przez Moskali z Warszawy i zesłany do Kaługi za protest przeciw gwałtom Repnina, zaprzysięgający podówczas wieczną pomstę Rosji, później powrócony z wygnania, wyniesiony na wielkie dostojeństwo, obdarzony bogactwami, zapomniał o swej ziemście i, stając w obronie złotej wolności szlacheckiej oraz staropolskiej anarchji, słaniał się u stóp Katarzyny. Był to typowy okaz swej epoki i typowy twór ówczesnych warunków życia polskiego. Tyleż skłonny do szlachetniejszych uniesień, ile do zdrady, bez charakteru,

bez przekonań, lecz zapatrzony w dawne wzory „złotej wolności“, znieważony przez Konstytucję Majową w swojej dumie magnata i hetmana, zepsuty, zarażony duchem swojego czasu, a lubiący pozować na Katona, dał się nieść fali przypadku i płynął tam, dokąd fala go niosła. Chciwy i skąpy, pamiętał o własnych interesach, nie przebierał w środkach, aby powiększyć swoje bogactwa, a rad zasłaniał się potrzebami dobra publicznego.

Do tych trzech przywódców przyłączali się ludzie, którzy nic prócz własnego zysku nie mieli na widoku. Wybitnym ich przedstawicielem był Szymon Kossakowski, gotów sprzymierzyć się z każdym i każdego zdradzić, niegdyś konfederat barski, obecnie najzawziętszy sługa Katarzyny, człek rzutki, energiczny, straszny swoją niepomierną chciwością, niedościgniony w swoim bezwstydzie, potwór z instynktami kata i z usposobieniem ostatniego łupiezcy.

Tacy to ludzie, dobrawszy sobie bawiących w Petersburgu dziesięciu wyrodków, wystosowali błagalne pismo do Katarzyny, w którem nazywali ją „podobną bogom“, „ucieczką królów i ludów“, „przyjaznym bogiem wolności polskiej“.

„Naród polski skonfederowany,— brzmiał jeden z ustępów tego dokumentu wieczystej hańby, — wzywa cię, jak boga przyjaznego wolności, i błaga o jej obronę. Wszyscy w tobie pokładają nadzieję, od ciebie tylko wyczekujemy ratunku“.

Takiego właśnie dokumentu potrzebowała caryca, by osłonić nim swoje plany zaborcze.

Dnia 19-go maja, w miasteczku Targowicy, posiadłości Szczęsnego Potockiego na Ukrainie, zjechali się obrońcy „swobód narodowych“, i, ogłosili akt konfederacji generalnej wolnej koronnej. Szczęsny Potocki wyniesiony został na generalnego tej konfederacji marszałka. Akt, ułożony

przy pomocy Moskali w Petersburgu, a ogłoszony ze sfałszowaną datą i ze sfałszowanym podpisem miejscowości, oskarżał Sejm Czteroletni o bunt i zdradę, wzywał naród do obalenia zbrodniczej Konstytucji 3 Maja i, zapewniając całość granic Rzeczypospolitej oraz rząd republikański, odwoływał się dla wydobycia kraju z rąk ciemiężców do pomocy imperatorowej. A stutysięczne armje rosyjskie zalewały już Ukrainę i Litwę i krwawemi łunami pożarów zwiastowały o idącej w głąb kraju zemście carycy.

W Warszawie wiedziano o przygotowaniach Rosji do wtargnięcia w granice Rzeczypospolitej, ale nie przypuszczano, by tak prędko to nastąpiło. Lecz ambasador rosyjski, Bułhakow, dnia 18-go maja wręczył deklarację wojenną swego rządu i wszelkie złudzenia, jeśli ktokolwiek jeszcze je żywił, musiały prysnąć. Deklaracja ta, powołując się na „cnoty patrjotyczne“ wielu „znakomitych“ Polaków, którzy, chcąc ratować Ojczyznę i odzyskać dawną swą wolność, udali się o pomoc do imperatorowej, zapowiadała wkroczenie wojsk rosyjskich do Polski, a to w celu przywrócenia zniszczonych przez Konstytucję 3 Maja odwiecznych swobód narodowych. Imperatorowa obiecywała przebaczenie swych uraz wszystkim, którzy ją obrazili i groziła pomstą każdemu, ktoby się jej dobroczynnym chęciom i woli „patrjotycznych swoich współobywateli“ śmiał przeciwstawić. Sejm przyjął wyzwanie Katarzyny spokojnie, lecz z godnością. Nawet Stanisław August podjął rzuconą rękawicę.

— Osobiście, — powiedział król w swojem przemówieniu, — tam się stawię i wystawię, gdziekolwiek przytomność moja będzie potrzebna.

Ale jednocześnie wyrażał nadzieję, że interwencja króla pruskiego oraz przedstawienia dworów austrjackiego i saskiego, o co zabiegać należy, mogą jeszcze wpłynąć

na imperatorową. Król wolałby „raczej piórem, niż orężem", całą sprawę załatwić.

Wróg był potężny i można było mieć poważną obawę o losy wojny, lecz gdy wojska rosyjskie przekroczyły granice, a deklaracja znieważała godność narodu, to już miecz tylko mógł ratować sprawę. Ale Stanisław August, jak zawsze chwiejny, ostrożny, i tym razem działał połowicznie. Wprawdzie mówił o tem, że uda się do wojska i przygotowywał się nawet do wyprawy wojennej, ale ostatecznie pozostał w stolicy. Niestety, Rzeczpospolita, stająca do walki z Rosją, niewiele miała wojska. Uchwała Sejmu Wielkiego w sprawie stutysięcznej armji nie została jeszcze wykonana. Zaledwie pięćdziesiąt kilka tysięcy żołnierzy, i to rozproszonych po całym kraju, stało pod bronią, a z tego niewiele więcej nad 40,000 mogło wyruszyć w pole. Ale obrażone poczucie godności narodowej nie pozwalało rachować wroga. Więc ks. Józef Poniatowski na czele armji koronnej udał się na Ukrainę, a ks. Ludwik Wirtemberski objął komendę nad armją litewską.

Wojsko polskie było młode, nieobeznane z wojną, źle zaopatrzone, a nie miało wodzów, którzyby się cieszyli zaufaniem i miłością żołnierza. Rycerski ks. Józef, znany dotąd z życia hulaszczego, zdobywać musiał dopiero reputację, a ks. Wirtemberski najzupełniej obcy był żołnierzowi. W dodatku młodzi oficerowie, skłonni do żartów, kpili sobie z tej wojny, powiadając, że nie jest to wojna między Polską a Moskwą, ale wojna pomiędzy panami Potockimi: Ignacym a Szczęsnym, gdyż pierwszy był jednym z najzasłużeńszych twórców Konstytucji 3 Maja, a drugi chciał ją obalić. Naogół przecież, w wojsku, ożywionem ideami Sejmu Wielkiego, duch panował dobry i zapał do walki ożywiał szeregi.

Niestety, dowódca armji litewskiej ks. Wirtemberski, zawiódł najhaniebniej pokładane w nim zaufanie. Okazało

się, że umyślnie nie koncentruje komend rozproszonych, by tem łatwiej mogły być ogarnięte przez armję nieprzyjacielską. Zdrada się wydała i wódz-zdrajca otrzymał dymisję. Ale jego następcy, generał Judycki, a później generał Michał Zabiełło, najnieudolniej prowadzili kampanję. Pierwszy oddał Wilno i na głowę pobity został pod Mirem, drugi, po niefortunnej utarczce nad Świsłoczą, cofał się na Brześć i stanął pod Węgrowem.

Armja rosyjska, pod wodzą Kreczetnikowa, któremu towarzyszył Szymon Kossakowki, bez przeszkód opanowywała Litwę i bez oporu zajęła Wilno. Kossakowski, wspierany potężnie przez brata swojego, Józefa, biskupa inflanckiego, zaraz po zajęciu Wilna, energicznie zabrał się do dzieła. Dnia 25-go czerwca (1792 r.) ogłoszony został w stolicy Litwy akt konfederacji generalnej Wielkiego Księstwa Litewskiego. Marszałkiem związku mianowali Targowiczanie nieobecnego w kraju kanclerza, Aleksandra Sapiehę, a jego zastępcą — łowczego litewskiego, Józefa Zabiełłę, nikczemne narzędzie w nikczemnych rękach przedawczyków i zdrajców. Akt konfederacji odczytano w kościele katedralnym, ogłoszono Szymona Kossakowskiego hetmanem polnym litewskim, a biskup inflancki uroczyście winszował bratu godności, na którą wyniosła go „wola narodu". Szymon Kossakowski został później hetmanem wielkim litewskim, a „wola narodu" istotnie wyniosła go bardzo wysoko.

Konfederaci zapewniali, że mają intencje najczystsze, że ani im, ani wojskom imperatorowej nie mogą być przypisane nieszczęścia, jakie na kraj spaść mogą. Odpowiedzialność za te nieszczęścia składali na fanatycznych wyznawców „przeklętych maksym filozoficznych", na nieprzyjaciół społeczeństwa, wrogów ołtarza, co pod „ubarwioną postacią patrjotyzmu, równości i wolności" czyhają na

zgubę i majątki „cnotliwych obywaleli". A nowy „hetman" w wydanym nazajutrz uniwersale mówił, że z hazardem życia pełnił zawsze „posługę ojczyźnie", zapewniał, że „służąc wielkiej monarchini", służy „najszlachetniej" swemu krajowi.

Od tej chwili zaczęło się na Litwie panowanie braci Kossakowskich.

Straszne było to panowanie. Szlachta, która nie chciała do konfederacji przystąpić, wydana została na łup wściekłego gniewu szalejących braci. Przy skwapliwej pomocy wojsk rosyjskich, całe wsie, należące do patrjotów, stawały w ogniu, a ludność wiejska rozpędzana bagnetami na cztery strony świata, lub smagana batami, jak bydło gnana była do Wilna. Opornych mieszczan i szlachtę, co się do ksiąg miejskich wpisała, na rozkaz Kossakowskich bez miłosierdzia katowano kijami. Urzędników dawnych pędzono precz i zamieniano ich nowymi, wybierając samych wyrzutków społeczeństwa. Przywłaszczano sobie cudze dobra, kradziono grosz publiczny. Zamożniejsi obywatele uciekali za gnanicę, a drobna szlachta przemocą i gwałtem wiązana była w konfederację.

Cała Litwa płonęła oburzeniem, lecz bezbronna, bezwładna, deptana wszerz i wzdłuż żelazną stopą najeźdźcy, nie mogła się zdobyć na odparcie gwałtów gwałtem i siłą. Więc tylko straszne złorzeczenia ścigały znienawidzone i przeklęte imię Kossakowskich.

Tymczasem i druga armja rosyjska, licząca z górą 60.000 głów, a wprowadzona na Ukrainę przez generała Kachowskiego, posuwała się naprzód. Ale nie bez oporu. Młody ks. Józef, rozporządzający 16.000-ną siłą, nie stracił serca, i aczkolwiek zmuszony był do odwrotu, stawiał czoło wrogowi. W korpusie Poniatowskiego jedną z brygad dowodził generał Kościuszko, głośny z zaszczytnego udziału

w wojnie za oceanem o niepodległość ciemiężonych przez Anglję kolonistów amerykańskich. Generał ten umiał zyskać serca i ufność żołnierzy, a doświadczeniem i znajomością sztuki wojennej odrazu zwrócił na siebie uwagę. Kościuszko dzielnie popierał młodego wodza. Wojsko polskie, acz cofając się ciągle, stoczyło zaszczytne walki w okolicach Połonnego, odniosło zwycięstwo pod Zieleńcem, a pod Dubienką okryło się chwałą w ciężkiej i krwawej bitwie, która szeroko rozniosła sławę imienia Kościuszki. Ks. Józef, wycofując się z Lubelskiego, zamierzał przenieść linję bojową na prawy brzeg Wisły. Nagle, jak grom, uderzyła w szeregi wiadomość, że król przystąpił do Targowicy.

Uczucia gniewu i rozpaczy przeniknęły wojsko. Książę Józef, na pierwszą wieść o tem, wysłał list do Stanisława Augusta i śmiało pisał, że podłość, pozwalająca na zbliżanie się do zdrajców, musiałaby grób wykopać Ojczyźnie. I żądał od stryja, aby przybył do wojska, które go pragnie osłaniać swą piersią. Ale nic nie pomogły zaklęcia. Powstał projekt, aby króla przemocą lub podstępem sprowadzić do obozu i walkę prowadzić dalej. Książę Józef wahał się, walczył ze sobą, lecz ostatecznie nie odważył się na krok tak zuchwały. A tymczasem Stanisław August, zagrożony utratą tronu, opętany strachem, przerażony postępami wojsk rosyjskich, wydał już rozkaz zaprzestania kroków wojennych i, przystąpiwszy do Targowicy, ani myślał zmieniać swego postanowienia. Więc ks. Józef zażądał dymisji i zawiadomił króla, że ani on, ani jego oficerowie nie poddadzą się pod rozkazy Targowiczan, których ścigać będzie wzgarda potomności, że wszyscy wolą raczej umrzeć, niż spodlić się tak haniebnym czynem. Ten postępek z najwyższem uznaniem powitało wojsko. Za przykładem księcia poszło 200 oficerów. Podał się do dymisji Kościuszko. To samo uczynili inni generałowie,

a między nimi Mokronowski, Zajączek, Wielhorski. Rozpacz ogarniała patrjotów. Tadeusz Kościuszko, na którego zwrócone były oczy współczesnych, pisał w owym czasie: „Wyjeżdżam... do Szwajcar, albo do Anglji, skąd będę się przypatrywał robotom w kraju naszym. Jeśli będą dążące do uszczęśliwienia kraju powrócę; nie — oddalę się dalej... Wierny byłem ojczyźnie, biłem się za nią i sto razy na śmierćbym się poświęcił... Już, zdaje się przychodzi koniec usług moich dla niej... pałasz złożę w grobie do dalszych czasów pomyślniejszych".

Gdy w ten sposób odzywali się patrjoci, szukając poza granicami ojczyzny schronienia, przedawczycy i zdrajcy zbierali owoce swej polityki i zagarniali w swe ręce najwyższe urzędy.

Targowica triumfowała.

Wspierana bagnetami Moskali, rozlewała się po całym kraju, niosła zemstę patrjotom, łupiestwem i gwałtem utrwalała swoje panowanie. Przystąpienie Stanisława Augusta ułatwiło jej działalność, dodało powagi i znaczenia. W pierwszych dniach września nastąpiło w Brześciu Litewskim połączenie konfederacji koronnej i litewskiej w „Najjaśniejszą Konfederację Obojga Narodów". W październiku „Najjaśniejsza Konfederacja" przeniosła się do Grodna i tam założyła swoją stolicę. Odtąd z Grodna, jak z nieprzebranego źródła zbrodni narodowych, na całą Rzeczpospolitą biły strumienie bezwstydu, hańby i najczarniejszego wstecznictwa. Targowiczanie łupili majątek publiczny, wyznaczali sobie olbrzymie pensje, rabowali cudzą własność i, nie bacząc na ścigające ich klątwy, przy suto zastawionych stołach biesiadnych skarbili sobie serca „współbraci" lub układali plany, mające ugruntować w Rzeczypospolitej, „wolności republikańskie". W ruinie kraju szukali zysków osobistych. Jeden biskup Kossakowski zagarnął dobra skarbowego na 900,000 złp., a brat jego Szymon nie pozostawał w tyle.

Szalała Targowica.

Wszystko, co ustanowił Sejm Wielki, stało się przedmiotem prześladowania; wszystko, co stworzył patrjotyzm, padało pod morderczemi ciosami zbryzganych krwią polską rąk Targowicy. Burza zniszczenia rozpętała się nad nieszczęsnym krajem, pioruny dzikiej zemsty ścigały patrjotów.

Przed tą zemstą uchodzić musieli z ojczyzny Kościuszko i ks. Józef Poniatowski, przed tą zemstą chronili się zagranicę wybitniejsi działacze i twórcy Konstytucji Majowej: obaj marszałkowie Sejmu Wielkiego: Stanisław Małachowski i Kazimierz Nestor Sapieha, Ignacy Potocki, Hugo Kołłątaj, Juljan Ursyn Niemcewicz i wielu innych generałów, dygnitarzy, posłów, urzędników, ludzi zacnych, miłujących kraj, szanujących honor narodowy i własną swą godność. Za to do stolicy kraju wszedł z wojskiem rosyjskiem generał Kachowski i wartami moskiewskiemi otoczył zamek królewski. Niebawem nowy ambasador rosyjski, baron Jakób Sievers, rozpoczął sprawowanie samowładnych rządów w Rzeczypospolitej. Król-targowiczanin, któremu za szczery udział w pracy nad Konstytucją 3 Maja przebaczono najcięższe winy, którego niedawno jeszcze lud witał przyjaznemi okrzykami, opuszczony teraz przez ludzi zacnych, uczciwych, osamotniony, bezradny, upokarzany na każdym kroku przez swoich i przez obcych, świadomy wzgardy, jaką żywią ku niemu patrjoci, najcięższe przeżywał chwile. Bezwładne narzędzie w rękach Sieversa, drżał przed potężnym ambasadorem i ślepo spełniał jego żądania.

Targowica tryumfowała.

Runęło w gruzy wspaniałe dzieło Sejmu Wielkiego, ustało panowanie rozumu i serca. Ohyda i zbrodnia, niby całun śmierci, rozpostarły się po ziemi polskiej, obca przemoc gospodarowała w nieszczęsnym kraju, siała strach, szerzyła grozę i zniszczenie. Już nie król konstytucyjny stał

na czele państwa, ale sługa imperatorowej dzierżył ster rządów w swych drapieżnych rękach.

Tryumfowała Targowica.

A za jej plecami „bogom podobna monarchini“ prowadziła układy z Prusami i Austrją. W styczniu 1793 r. nowa konwencja podziałowa stanęła pomiędzy rządami rosyjskim a pruskim i w ślad za tem wojska pruskie wkroczyły do Wielkopolski. Targowica, opierając się na zapewnieniach Katarzyny, że Polsce nowy podział nie grozi, próbowała protestować i zwróciła się z notą do Sieversa, a następnie wysłała Szczęsnego Potockiego do Petersburga, by rozmówił się z imperatorową. „Przyjazny bóg wolności polskiej“ gniewnie powitał niewczesną interwencję wysłańca. Zresztą rozmowa o sprawie polskiej pomiędzy Szczęsnym a carycą była krótka, lecz dosadna, miażdżąca wszelkie iluzje. Potocki, zapytany, jak się miewa, odpowiedział:

— Ja mam się dobrze, ale ojczyzna moja...

Imperatorowa przerwała mu zniecierpliwionym gestem.

— Twoja ojczyzna tu! — zawołała, tupnąwszy nogą.

Słowa carycy, niby smagnięcie szpicruty, uderzyły w twarz pysznego magnata. Nie rozgniewał się przecież, lecz, jak pies kopnięty, upokorzył się u stóp swej pani i pogodził się z losem. Imperatorowa na potwierdzenie słów swoich przysłała mu wysoką rangę generalską. I ten policzek zniósł główny herszt Targowicy. Ubrał się w paradny mundur generała rosyjskiego, a do przyjaciół napisał, że trzeba się godzić z wolą Opatrzności. Sposępniał przecież, a widząc dzieło swoje, pogrążał się w rozpaczy. Wstyd, a może strach przed zemstą rodaków wstrzymywał go od powrotu do kraju. Dopiero po trzecim rozbiorze nabrał odwagi i wrócił do swoich posiadłości.

Wspólnik Szczęsnego, Branicki, pocieszył się przyjęciem poddaństwa rosyjskiego. Ten wszystko traktował

z humorem. Pił tylko na zabój, lecz nie tracił fantazji. Rzewuski dotknięty był wypadkami. Napisał list pełen wyrzutów do imperatorowej i wyjechał za granicę. W ten sposób zniknęli z widowni główni twórcy i wodzowie konfederacji. Ale duch Targowicy pozostał w kraju, a zgraja przedawczyków i zdrajców nie zaprzestała swojej działalności.

W marcu ogłoszone zostały patenty okupacyjne Rosji i Prus, oznaczające granice nowych zaborów. Chodziło już tylko o to, by Sejm Rzeczypospolitej, jak za piewszym razem, usankcjonował nowe zabory. Dla zwalczenia przeszkód, które zwołanie Sejmu napotkało, Sievers wskrzesił Radę Nieustającą, ów rząd, ustanowiony po pierwszym rozbiorze przez Rosję, a znienawidzony przez patrjotów i obalony przez Sejm Czteroletni. Rada Nieustająca upoważniła króla do zwołania sejmików, które, kierowane rękoma, skalanemi złotem, hojnie sypanem przez ambasadora, odbywały się najczęściej pod osłoną bagnetów moskiewskich.

Grodno, główne siedlisko Targowiczan, wybrane zostało dla dokonania gwałtu.

Stanisław August długo nie chciał jechać do Grodna. Ale Sievers był nieubłagany. Nadaremnie król słał pisma do imperatorowej, nadaremnie chciał zrzekać się tronu. Nic nie pomogło. Teraz właśnie tak i król potrzebny był Katarzynie. Sievers, trzymając króla w żelaznych kleszczch swej woli, nie ustępował. Więc król, miotany sprzecznemi uczuciami, a przyprowadzony do rozpaczy, błagał groźnego ambasadora, aby go nie wlókł na wieczystą hańbę do Grodna. Lecz nieubłagany Sievers straszył króla pomstą imperatorowej, to uspokajał zasiłkami pieniężnemi, to groził skonfiskowaniem dochodów królewskich. Stanisław August, lubiący życie wystawne, a zadłużony po uszy, chwiał się, wahał, rozpaczał, ale mając do czynienia z silną wolą,

uległ Sieversowi, jak zwykle zresztą ulegał żądaniom jego poprzedników.

Dnia 17 czerwca 1793 r. zebrał się w Grodnie sejm, ostatni sejm Rzeczypospolitej.

Zaledwie 12 senatorów i 120 posłów przybyło na obrady, ale wielu przybyło z rodzinami, a z całej Polski, jak szakale, wietrzący żer, ciągnęli adherenci Moskwy, a zjeżdżali się, jak na gody, strojnie i huczno.

Sievers, czujny na wszystko, wszystko otoczył swoją opieką.

Wokoło Grodna rozłożyły się wojska rosyjskie, a liczne działa wymierzone były ku miastu, jak ku oblężonej fortecy. A w samem mieście silne oddziały rosyjskie zbrojno przeciągały ulicami. Na każdym kroku gwałt się rozpościerał, z każdej ulicy, z każdego domu wyzierała przemoc. Sievers czuwał, by Sejm spełnił dzieło, dla którego został zwołany. Czuwał tem baczniej, że w składzie Sejmu pomimo wszystkie starania znalazło się grono ludzi uczciwych. Na tych szczególną zwrócił uwagę. Pilnował ludzi już kupionych, kupował nowych. Złoto moskiewskie znowu plamiło ręce, brukało dusze, płynęło wartką rzeką, niosącą ku morzu wieczystej hańby zaprzedane sumienia zdrajców Ojczyzny.

Ale niedość ne tem.

Sievers chciał jeszcze, aby nowy podział zatwierdzony został z zachowaniem wszelkich pozorów, że to nie gwałt, ale wolna wola Polaków o ponownem rozszarpaniu Polski stanowi. Więc na jego życzenie bawiło się Grodno. Skinął ambasador — i wnet szał hulaszczy ogarnął zgromadzone tłumy, udzielił się możnym panom, dostojnikom, posłom, aż całe miasto, skute obręczą bagnetów moskiewskich, rozbrzmiało gwarem i wrzawą weselną.

Bawiło się Grodno.

W siedzibach magnatów odbywały się przyjęcia i bale, grały hałaśliwie orkiestry, strumieniami lało się wino, a śród ciemności nocy strzelały w niebo fajerwerki ku uciesze możnego ambasadora. Sam Sievers pisał o tych sztucznych ogniach, z których jeden tylko „bardzo piękny fajerwerk“ kosztować miał 800 dukatów. A na tych ucztach, widowiskach, koncertach, balach błąkał się niekiedy król-targowiczanin, zapomniany, opuszczony, jak widmo samotne i przeklęte. Królował Sievers. Strojne panie polskie otaczały go barwnym wieńcem, słały mu najczarowniejsze uśmiechy, szeptały komlimenty i, jak róże, płonęły ze szczęścia, gdy mogły zwrócić na siebie uwagę potężnego posła. Wysilano się, aby mu dogodzić, aby uprzedzić wszystkie jego życzenia. Stary Sievers niechętnie „zaszczycał“ swoją obecnością owe niezliczone przyjęcia, obojętnie przyjmował hołdy, rad przecież widział, jak przy dźwiękach kapeli rozbawione pary puszczały się w tany na grobie Ojczyzny.

Ambasador chciał, więc bawiło się Grodno.

Ale z dźwiękami balowej muzyki, z szelestem banknotów, piętrzących się na zielonych stolikach, przy których w ciągu jednej nocy przegrywano nieraz olbrzymie fortuny, z szumem wiwatów i toastów, wnoszonych na cześć „najwspaniałomyślniejszej monarchini“ i jej wszechwładnego sługi, z brzękiem moskiewskiego złota mieszał się czasem głos sumienia i jak straszny zgrzyt wpadał w rozbawioną atmosferę salonów, albo skroś przemoc grzmiał w sali obrad pamiętnego Sejmu.

Wrzawa szalejącego miasta tłumiła najczęściej te głosy.

Marszałkiem sejmowym wybrany został głośny awanturnik, hulaka i szuler, Stanisław Bieliński, pozostający na żołdzie Rosji. Sievers, wyniosłszy na dostojeństwo marszałkowskie swego sługę, rozkazał usunąć z sali posiedzień publiczność, aby gwałt i zbrodnie nie miały niepożądanych świadków.

Dnia 20 czerwca obaj ambasadorowie państw rozbiorczych, Sievers i Buchholtz, zażądali od Sejmu wyznaczenia delegacji dla ułożenia traktatów rozbiorowych. Sprzeciwił się temu król, oświadczając, że przystąpił do konfederacji na podstawie aktu, który poręczał całość granic Rzeczypospolitej. I Sejm poszedł za przykładem króla i odmówił żądaniu. Ostatki wstydu nie pozwalały godzić się na wszystko bez oporu. Szukano pozorów. Więc marszałek Bieliński zaproponował wybranie delegacji do układania się tylko z dworem petersburskim. Poparli zaraz ten projekt jurgieltnicy moskiewscy: biskup Kossakowski i godny jego towarzysz, kasztelan Ożarowski. Delegacja nie miała decydować o ustąpieniu terytorjów polskich, lecz nawiązać nici porozumienia z Rosją. Sievers jednak domagał się ścisłego wypełnienia swych żądań, a żądania te poparł przemocą. Kilku opozycyjnych posłów aresztował, salę obrad otoczył wojskiem. Lecz opór się wzmagał i straszne sceny rozgrywały się w sali posiedzeń sejmowych.

— Zginmy raczej, — wołali nieprzedajni posłowie, — niżbyśmy mieli okryć się hańbą!

A poseł upitski, Józef Kimbar, z gorzką wymówką zwrócił się do Stanisława Augusta.

— Królu, — wołał, — cóż ci po koronie, okupionej hańbą. Cała Europa mówi, żeś imperatorowej winien tę koronę. Pokaż teraz światu, że to nieprawda! Wiedź nas na Sybir, nie będzie on dla nas bez wdzięku!...

Poparły go głosy pełne rozpaczy, ale stanowcze.

— Na Sybir; na Sybir!... — zabrzmiało w sali. — Prowadź nas na Sybir!

A poseł Karski zerwał się z miejsca i krzyknął, że pierwszemu, kto na podział pozwoli, pokaże, jakiego losu godzien jest zdrajca. Ale czcze to były pogróżki. Przedawczykowie brali górę i, starając się całą nienawiść skiero-

BIBLJOTEKA GŁÓWNA

wać przeciw Prusom, popierali Rosję. I dnia 22 lipca delegacja podpisała traktat, ustępujący Rosji terytorja, objęte aktem okupacyjnym. Dnia 17 sierpnia śród strasznej wrzawy i protestów Sejm olbrzymią większością głosów traktat ów zatwierdził. Sievers, zabezpieczywszy interesy Rosji. przystąpił do spełnienia drugiej połowy swojego zadania, I znowu uciekł się do przemocy. Groził opornym konfiskatą majątków, więzieniem, Sybirem, wreszcie, rozpowszechniwszy wieść, że na króla przygotowany jest zamach, opasał wojskiem zamek, w którym Sejm odbywał posiedzenia. Na rozkaz ambasadora zatoczono wokół zamku armaty, przy których, jak podczas bitwy, stanęli kanonierzy z zapalonemi lontami. Na dziedzińcu ustawiła się pod bronią piechota, a do wnętrza sali wtargnęli oficerowie moskiewscy, również w pełnem uzbrojeniu. W pobliżu króla zasiadł generał rosyjski, Rautenfeld. Sejm, steroryzowany, ustąpił i po dwunastogodzinnej walce upoważnił delegację do ułożenia traktatu podziałowego z Prusami, ale zastrzegł sobie zatwierdzenie umowy i termin tego zatwierdzenia odłożył do czasu zawarcia traktatu handlowego. Sievers, który odrazu skończyć chciał wszystko, wpadł w gniew. Rozkazał aresztować czterech najoporniejszych posłów i znowu wojskiem otoczył zamek, a gen. Rautenfeld na pamiętnej sesji dnia 23-go września po raz wtóry usiadł obok króla. Posłowie byli wzburzeni. Gdy marszałek Bieliński oświadczył, że sesja zagajona, podniosła się okropna wrzawa.

— Niezagajona! — krzyczeli posłowie i wołali, że nie pozwolą sesji zagaić, dopóki uwięzieni koledzy nie będą uwolnieni. Dwie godziny trwały hałasy i krzyki, aż zdecydowano wysłać deputację i domagać się od Sieversa wypuszczenia na wolność aresztowanych posłów. Ale ambasador odpowiedział, że Polacy nie umieją szanować prawa i na przedstawione żądanie odpowiedział stanowczą odmową.

Po wysłuchaniu tej odpowiedzi rozległy się znowu głosy protestu i oburzenia.

— Niema sesji! niema Sejmu! — poczęto wołać i straszna wrzawa uderzyła o sklepienie sali zamkowej. Sekretarz chciał odczytywać wnioski, ale głos jego ginął w okropnym tumulcie. Raz jeszcze wysłano delegację do Sieversa i raz jeszcze przyniesiono jego odmowę. Nie pomogła i prośba króla, zaniesiona ambasadorowi przez biskupa wileńskiego. Sievers był nieubłagany. Nie tylko nie zgadzał się na wypuszczenie aresztowanych, ale domagał się przyjęcia traktatu i groził, że w razie dalszej zwłoki, generał Rautenfeld ma stosowne rozkazy. Była już północ. Wrzawa mimo wysiłków Bielińskiego nie pozwalała na prowadzenie obrad. Wtem poseł Raczyński zaproponował, aby Izba zamknęła się w absolutnem milczeniu.

— Niech projekt czytają, — mówił, — milczenie nasze wymowniejsze będzie, aniżeli bezkorzystna opozycja. Będzie ono najlepszym tłumaczem naszych uczuć i położenia...

Był to pewien podstęp, którego się uchwycił natychmiast jeden z najpodlejszych służalców Moskwy, poseł krakowski, Józef Ankwicz, i w imię ocalenia reszty kraju popierał myśl Raczyńskiego. Straszne wyczerpanie nerwowe, znużenie, wreszcie dziwaczność projektu wywołała jakąś odrętwiałość. Ustały krzyki i w huczącej sali zapadło złowrogie milczenie. Wówczas rozpoczęto odczytywać deklarację Ankwicza, która wobec gwałtów zalecała poddanie się przemocy. Nikt nie zabrał głosu, nikt się nie zgadzał, nikt nie protestował. Jeszcze większa cisza zaległa salę. Powstał znowu sekretarz i śród głuchej ciszy odczytał wniosek, upoważniający delegację do podpisania drugiego z kolei traktatu podziałowego. I znowu nikt się nie poruszył, nie wyrzekł słowa. Płynęła minuta za minutą, kwadrans za

kwadransem zapadał w wieczność, a milczenia nikt nie myślał przerywać. Zimną grozą wiało po sali. Posłowie siedzieli niemi, bladzi, nieruchomi, jak posągi, wykute z kamienia.

Stropił się generał Rautenfeld i nie wiedział, co czynić. Posłał po rozkazy do Sieversa, bo otrzymane instrukcje nie przewidywały takiego przebiegu sesji. Wreszcie zwrócił się do króla i prosił go, aby przerwał tę dręczącą ciszę. Ale król, blady jak śmierć i do widma raczej, niż do człowieka, podobny, odpowiedział sucho, że nie posiada władzy, którąby mógł zmusić posłów do mówienia. I niemy, tragiczny, a zarazem potworny swoją niemocą protest trwał dalej. Czas płynął powoli, ociężale, zapadła głucha noc, wreszcie brzask dzienny zajrzał do sali obrad, padł na trupio blade oblicze króla, oświetlił twarze senatorów i posłów, twarze znużone, ale zawzięte i twarde, jakby zastygłe w kamiennej, milczącej rozpaczy.

Rautenfeld, widząc, że sesja się nie kończy, zwrócił się już do drzwi, aby zawezwać grenadjerów. Zdawało się, że za chwilę wejdą siepacze i uderzeniami bagnetów wyrwą z piersi opornych posłów krzyk grozy, który zakończy tę okropną scenę milczenia. Ale wtedy powstał Józef Ankwicz i śród najwyższego napięcia i pełnego grozy oczekiwania zaproponował, aby milczenie uznano za jednomyślny znak zgody na przyjęcie projektu. Więc marszałek Bieliński zapytał, czy Sejm zgadza się na podpisanie traktatu. Odpowiedziała mu śmiertelna cisza. Wtedy powtórzył swoje pytanie po raz drugi i trzeci. W sali wciąż panowało głuche milczenie. Więc marszałek w myśl pomysłowego zdrajcy Ankwicza ogłosił jednomyślne przyjęcie odczytanego projektu.

Hańba została spełniona: Sejm zatwierdził nowy podział kraju.

Rosja zagarniała resztę Białej Rusi i Ukrainy, prawie całe Polesie i prawie cały Wołyń, Prusom dostały się miasta Gdańsk i Toruń, Wielkopolska, Kujawy i Mazowsze, z wyjątkiem województwa mazowieckiego. Razem traciła Rzeczpospolita 5600 mil kwadratowych, a pozostałe przy niej terytorjum wynosiło zaledwie 3830 mil kwadratowych, z czterema miljonami mieszkańców.

Targowica spełniła swoje zadanie. Więc konfederację targowicką, jako już niepotrzebną, jeszcze podczas trwania obrad sejmowych rozwiązał wszechwładny Sievers i na jej miejsce powołał do życia konfederację grodzieńską. Sejm trwał jeszcze czas jakiś. Jedna z najważniejszych uchwał późniejszych dotyczyła zmniejszenia liczby wojska polskiego, które postanowiono zredukować do cyfry 15000. Ustanowiono nową formę rządu, zawarto przymierze z Rosją, które w gruncie rzeczy i pozostałą część Polski oddawało w ręce carycy. Ale uchwały te miał pokrzyżować dojrzewający plan patrjotów.

Przeciw gwałtom i zbrodniom na narodzie dokonywanym, przeciw panowaniu zdrajców, przeciw kupczeniu godnością i sumieniami, powstawała burza, przygotowywał się zamach, mający zaświadczyć przed światem, że naród nie stracił prawa do życia.

Wszystko, co lepszego miała Polska ówczesna, podało sobie ręce, by wrócić Ojczyźnie honor i wolność.

II.

TADEUSZ KOŚCIUSZKO

Zadanie było nielada.

Sejm grodzieński i ocaloną cześć Polski oddał na pastwę imperatorowej. Nowy, a raczej na nowo powołany do życia rząd polski, w postaci Rady Nieustającej, z przedajnym, chciwym grosza marszałkiem swoim, Józefem Ankwiczem, na czele, żył wolą i nakazami Moskwy. Nigdy władza kraju w podlejszych nie znajdowała się rękach. Nowi „hetmani", wielki litewski, Szymon Kossakowski i polny litewski, Józef Zabiełło, do każdej niegodziwości zdolni i niegodziwością żyjący, hetman wielki koronny Ożarowski, kupczący wszystkiem, nawet honorem swojej własnej żony, marszałek wielki koronny Moszyński, podkanclerzy biskup Skarszewski, obaj przez Rosję kupieni, oto jacy ludzie piastowali najwyższe dostojeństwa, oto jacy ludzie ostatnią piędź ziemi polskiej przyprowadzić mieli do ostatecznej zagłady. Wkoło nich skupiały się jednostki, należące do najgorszych i najciemniejszych żywiołów, jakie tylko posiadała Polska ówczesna. A nad całą tą zgrają dzierżył niepodzielną władzę nowy ambasador rosyjski, na miejsce Sieversa przysłany, generał Igelström, nieokrzesany,

dziki grubjanin, nie kryjący wzgardy dla swoich służalców, pomiatający królem, despota, który, nawet zdaniem historyka rosyjskiego, Kostomarowa, postępował w Polsce tak, jakby zaledwie w dzikiej Azji uszło. Igelström wszystko chciał wiedzieć, we wszystko się wtrącał, nad wszystkiem rozpościerał swoją opiekę.

Pod okiem króla polskiego i polskiego rządu dokonywały się rewizje i areszty, czyhało wszędzie szpiegostwo, panoszyły się denuncjacje. Jak w podbitej prowincji rosyjskiej srożyła się przemoc i na każdym kroku zastawiała na patrjotów swe zdradzieckie sidła.

A jednak nadzwyczajnie ciężkie warunki życia nie zabiły w kraju ducha wolności, ducha ofiarnego patrjotyzmu i poświęcenia. Z wielkich rodów magnackich, które swemi wpływami ważyły niedawno na losach kraju, jedynie Czartoryscy, popychani skrycie przez Austrję, sprzyjali insurekcji i usilnie, acz z wielką ostrożnością popierali myśl wyniesienia Kościuszki na naczelnika powstania. Natomiast śród młodzieży szlacheckiej, a zwłaszcza w sferach mieszczańskich idea wystąpienia zbrojnego przeciw obcej przemocy, zyskiwała coraz więcej gorących i zapalonych wyznawców. Lecz praca, rozpoczęta przed laty nad odrodzeniem kraju, nie mogąc już występować jawnie, skryła się w podziemiach. Tajny spisek, którego celem było wypędzenie najazdu rosyjskiego, a środkiem—uzbrojona siła narodu, krzewił się, ogarniał coraz szersze koła i urągał swojem istnieniem całej potędze Igelströma. Duszą i sercem tego spisku był generał Ignacy Działyński. Nie uląkł się ten patrjota ogromu grożącej mu odpowiedzialności i dla wyjarzmienia kraju, już w końcu roku 1792, czy też w początkach r. 1793, założył sprzysiężenie tajne.

Generał Działyński posiadał ognisty temperament, umysł zapalny, serce gorące, ale umiał zdobywać się na zimną

krew, a energję, pchającą go do czynu, łączył ze zmysłem praktycznym i rozwagą. W razie potrzeby potrafił hamować swoją kipiącą, popędliwą naturę, nie zważać na urazy, znosić wszelkie przykrości i gdy wymagała tego sprawa, usuwać się na plan drugi. Jako wojskowy, przedewszystkiem w wojsku szukał oparcia dla swoich planów, ale, rozumiejąc dobrze, iż w dziele wyzwolenia narodu wszystkie warstwy społeczeństwa udział wziąć powinny, skwapliwie otaczał się ludźmi wszelkiego stanu.

Śród mieszczaństwa krzątał się żywo Franciszek Barss i wywierał na nie wpływ ogromny. Gdy Barss w charakterze pełnomocnika polskiego wyjechał do Paryża, Działyński dzielnego pomocnika znalazł w bankierze warszawskim, Andrzeju Kapostasie. Węgier rodem, ale oddawna osiadły w Warszawie, ceniony przez mieszczaństwo i popularny w mieście, piastujący godności starszego kupiectwa warszawskiego i radcy magistratu, Kapostas posiadał liczne i rozgałęzione stosunki, a zarówno serce, jak kasę otwarte miał szeroko na potrzeby sprawy. Człowiek ten, według opinij współczesnych, „acz mały i z wątłą ciała budową, posiadał tęgą, sprężystą duszę“, był „płodny w sposoby“, miał dużo zdrowego sądu o rzeczy i wielką chytrość w działaniu.

Oprócz Kapostasa i Działyńskiego kierowali spiskiem, przynajmniej w pierwszej jego fazie: Jan Czyż, Józef Pawlikowski oraz Eljasz Aloe, z pochodzenia Francuz, pełniący w epoce Sejmu Czteroletniego obowiązki agenta dyplomatycznego na usługach Rzeczypospolitej. Z czasem wielką rolę odgrywać zaczął w spisku Piotrkowianin, Tomasz Maruszewski, śmiały emisarjusz, niestrudzony agitator, głowa dzielna, charakter jak z żelaza, mocny, nieugięty. Odznaczali się gorliwością ksiądz Meier, człek gwałtowny i jak proch zapalny, obok niego Ignacy Zajączek i wielu innych

Przez Franciszka Barssa, przyjaciela Kołłątaja, spiskowi porozumiewali się z patrjotami, którzy przebywali zagranicą, a którzy, jako ludzie o wielkich zasługach i wielkiej popularności w Rzeczypospolitej, uważani byli za naturalnych przywódców wszystkich wyzwoleńczych dążeń narodu.

Działyński miał plany wielkie. Wszystkie dzielnice Rzeczypospolitej chciał pokryć siecią organizacji spiskowej, wszędzie na prowincji pozadładać kluby, przygotować do powstania lud, wyznaczyć naczelników na ziemie, powiaty i województwa, gromadzić broń i na widownię walki rzucić odrazu siłę potężną, imponującą. Ale warunki pracy podziemnej, zastawiane na patrjotów sidła, wreszcie okoliczności nieprzewidziane inaczej miały pokierować sprawą.

Sprzysiężenie, ożywione jedną myślą wyzwolenia kraju, nie miało jednolitości wewnętrznej, lecz dzieliło się na dwa odłamy, z których jeden był umiarkowany, drugi — radykalny, rewolucyjny, a do głębi przejęty wydarzeniami, wstrząsającemi życiem Francji ówczesnej. Do umiarkowanych należeli Działyński i Kapostas, lewe skrzydło spisku stanowiła młodzież: Pawlikowski, Aloe, Zajączek, ksiądz Meier, a przedewszystkiem ruchliwy i czynny Maruszewski. Ci, zwani jakobinami, marzyli o wybuchu rewolucji, któraby ogarnęła olbrzymią przestrzeń i od Donu aż po Odrę rozpaliła pożar wolności. Wyzwolenie polityczne łączyli z daleko sięgającemi w głąb życia reformami społecznemi. Hasłem równouprawnienia wszystkich warstw narodu, hasłem wolności, równości i braterstwa chcieli rozpocząć rewolucję w Polsce i na szale walki cisnąć przebudzoną siłę miljonowych mas ludu wiejskiego.

Francja rewolucyjna istotnie w owym czasie ogromnie oddziaływała na umysły, a jej hasła i wezwania nietylko śród jakobinów polskich sympatycznem odzywały się echem. Zwycięskie walki, toczone przez rewulucję z przemagającemi

siłami wrogów, były dla patrjotów polskich wymownym przykładem, co zdziałać może męstwo, kierowane wielkiemi ideami. To też nad Wisłą z podziwem i sympatją śledzono tytaniczne wysiłki ludu francuskiego, czerpano z nich otuchę i wiarę w lepszą przyszłość własnego narodu.

„Nigdzie — pisze w swojem znakomitem dziele prof. Tokarz — wiadomości o powodzeniach oręża francuskiego nie przyjmowano z taką radością, jak w Warszawie. Na twarzach inteligencji warszawskiej można było wprost wyczytywać nowe wieści z Zachodu, tyczące się czy to bezpośrednich walk z koalicją, czy też powodzenia oręża republikańskiego w Wandei lub pod Tulonem".

A pod wpływem wypadków, rozgrywających się we Francji, nie tylko radykali warszawscy, ale i umiarkowany odłam sprzysiężenia podzielał opinję, że na sztandarach przygotowywanego w Polsce powstania wypisane być winny hasła demokratyczne, dalej idące, niż Konstytucja 3-go Maja, a niosące ludowi wiejskiemu wyzwolenie z poddaństwa i wolność obywatelską.

Na tle ideałów demokratycznych swojej epoki szerzył i rozgałęział się spisek.

Niestrudzony Działyński zawiązał liczne stosunki na Litwie, na Wołyniu, na Ukrainie, pozyskiwał dla sprzysiężenia coraz wybitniejsze jednostki, wciągnął do spisku generała Madalińskiego, z czasem porozumiał się z komendantem Warszawy, generałem Cichockim, sam jeździł w różne strony i rosnące niezadowolenie skierowywał w podziemne łożysko swojego sprzysiężenia.

Szczególniej na Litwie sporo osób przystąpiło do dzieła, a wielkie usługi sprawie powstania oddali obożny Wielkiego Księstwa Litewskiego, Karol Prozor, Józef Niesiołowski i Stanisław Sołtan. A duszą spisku wojskowego był pułkownik Jakób Jasiński, jeden z najdzielniejszych ludzi swo-

jego czasu, a do najzawziętszych jakobinów polskich zaliczany.

Stosunki pomiędzy kołami spiskowemi Litwy i Korony podtrzymywali z wielkiem poświęceniem poseł sejmowy Konstanty Jelski i szambelan Piotr Grosmani. Pełno zdrajców, utrzymywanych za pieniądze moskiewskie, zmuszało spiskowców do nadzwyczajnych środków ostrożności. Jakoż strzeżono się ogromnie, wiedząc dobrze, czem grozi wykryta przynależność do spisku. Ale niebezpieczeństwa nie wstrzymywały od działań patrjotów. Dzięki tej działalności burzyła się Rzeczpospolita i w podziemiach kuła oręż do walki z przemocą. Pod powłoką znikczemnienia, którą nad całym krajem niby sieć rozpostarły bratobójcze ręce Targowiczan, w głębi życia polskiego jasnym płomieniem palił się patrjotyzm i biło zdrowe serce narodu.

Więc szerzył się spisek i coraz mocniejsze zdobywał podstawy.

Wojsko polskie, formowane pod wpływem Sejmu Wielkiego, ożywione ideami twórców Konstytucji Majowej, prześladowane przez Moskali, upokarzane, gnębione, a zagrożone w swojem istnieniu przez uchwały grodzieńskie, niecierpliwie wyglądało chwili, która pozwoli mu zmierzyć się z wrogiem. Najlepszym duchem ożywiona była artylerja koronna, a szczególną sympatją ludności cieszył się regiment imienia Działyńskich. „Działyńczycy“, rekrutowani po większej części z rzemieślników warszawskich, jak jeden mąż żywili straszną nienawiść ku Moskalom i ich służalcom. Dumą i nadzieją mieszczaństwa patrjotycznego był ten pułk, doskonale wyćwiczony, o dziarskiej, dzielnej postawie. Na widok ich czerwonych koletów i żółtych naramienników weselały twarze, ufność wstępowała w serca. Działyńczycy, jak i inne regimenty, zagrożeni redukcją, postanowili umrzeć raczej, niż dożyć tej hańby. „Przysięgamy

niebu, że wszyscy wprzód padniem trupem, niżeli broń sobie z ręki wydrzeć damy", oto było ich hasło! I w innych pułkach usposobienie panowało dobre, a oficerowie, krzewiący w szeregach ducha patrjotyzmu, wdzięczne mieli zadanie.

Śród ludności cywilnej na pierwszy plan wysuwał się lud miejski, młodzież rzemieślnicza, robotnicy z młynów i z browarów, czeladź pańska, a śród cechów rej wodzili szewcy i rzeźnicy. Całe wreszcie mieszczaństwo, wzgardzone i prześladowane przez Targowicę, pozbawione praw obywatelskich, nadanych przez Ustawę Majową, płonęło nienawiścią ku zdrajcom i zemstę zaprzysięgało zarówno Moskwie, jak i jej wszystkim służalcom. I tłumy drobnej szlachty, ciemne, nieoświecone, ale szczerze miłujące kraj, a oszukane i zdradzone przez Targowiczan, zaczęły przecierać oczy, burzyć się i odgrażać. Na takie siły rachowali spiskowi. Ale nie poprzestawali na nich. Doskonale zdając sobie sprawę, że największą potęgę kraju stanowi miljonowy lud wiejski, myśleli o środkach, któreby tę nową siłę wyprowadziły na widownię walki.

Szerzył się spisek w kraju, a patrjoci, co przed syczącą zemstą Targowiczan musieli uchodzić z Polski, również nie marnowali czasu i również mobilizowali swe siły. Zrzeszał się obóz patrjotyczny i gotował się do walnej rozprawy. A wszyscy oglądali się za człowiekiem, któryby stanął na czele wielkiego przedsięwzięcia i zbuntowaną Polskę powiódł w ogień wojny o wolność.

Opinja powszechna widziała takiego człowieka w Tadeuszu Kościuszce.

* * *

Bohater, którego imię miało niebawem zabłysnąć najwspanialszą gwiazdą na horyzoncie dziejów ojczystych,

a którego tytuł do sławy i niewygasłej wdzięczności pokoleń stanowi przedewszystkiem naczelnictwo w pierwszem powstaniu narodu polskiego o swój znieważony honor i o swoją wolność, pochodził ze starej, zubożałej rodziny szlacheckiej, zdawna osiadłej na Litwie.*) Ojciec odumarł go wcześnie. W dzieciństwie pozostawał pod kierunkiem matki, z domu Ratomskiej, oraz jej brata, czy krewniaka, o którym wiadomo, że był człek bywały, że dużo podróżował po świecie i że wiele miał do opowiedzenia wrażliwemu i bystremu chłopcu. Jemu zawdzięczał Kościuszko pierwsze początki swej wiedzy, on to zapewne rozwinął w swym uczniu zamiłowanie do rysunków i matematyki, a opowiadaniami o szerokim świecie nieraz pobudzać musiał lotną myśl chłopca do ogarniania szerszych widnokręgów. Ulubioną lekturą przyszłego bohatera był w latach dziecięcych Plutarch. W piersiach chłopczyny tlała widocznie iskra bohaterstwa, a żywoty sławnych mężów, opowiadania o wielkich czynach dogadzać musiały gorącej wyobraźni. Wykształcenie szkolne pobierał pod kierunkiem światłych Pijarów w Kolegjum Lubieszowskiem (w pobliżu Pińska), a następnie kształcił się w słynnym korpusie kadetów. W roku 1766, jako młodzieniec dwudziestoletni, otrzymał patent oficerski i rangę chorążego, a w dwa lata później awansował na kapitana.

Wysłany do Paryża dla dopełnienia swych studjów, Kościuszko poszedł za głosem swojej natury artystycznej i wstąpił do sławnej Akademji Królewskiej malarstwa i rzeźby. Kształcił się na wydziale malarskim i z górą rok spo-

*) Szczegóły biograficzne wzięte są z dzieła Korzona i pracy Włodzimierza Andrzeja Dzwonkowskiego. Miejsce i data urodzenia Kościuszki nie zostały dotąd ustalone. Najprawdopodobniej urodził się w lutym 1746 r. na folwarku Mereczowszczyźnie. Na chrzcie otrzymał imiona Andrzeja, Tadeusza, Bonawentury.

sobił się na malarza. Ale natura ruchliwa, czynna, umysł rzutki, ciekawy, szerokie życie Paryża, wielkie idee, które rodziła Francja, wreszcie przerażające wieści, nadchodzące z Polski, nie pozwalały mu poświęcić się sztuce. Wieści te, jak grom, uderzać musiały w serce młodego malarza. Rzeczpospolita, szarpana waśnią wewnętrzną, a rozerwana w roku 1772, szła ku zatraceniu, waliła się w przepaść hańby. Można sobie wyobrazić, jak te wieści oddziaływały na Kościuszkę, jakim wstydem musiały rumienić jego jasne i uczciwe czoło, jaką straszną rozpaczą napełniać jego wrażliwe serce! Być może, iż pod wpływem tych wieści zatrzasnął za sobą wrota sztuki i wkroczył na gościńce różnorodnych studjów. Wiadomo bowiem, że zajmował się badaniami ekonomicznemi, że interesowała go w wysokim stopniu sztuka rządzenia, że zastanawiał się, w jaki sposób mógłby powstać i działać rząd trwały a mocny, uszczęśliwiający wszystkich obywateli, że wreszcie wiele czasu poświęcał sprawom wojskowym, ku którym czuł pociąg nieprzeparty, a których znajomość, jak tuszył sobie zapewne, odda mu usługi, gdy wybije godzina porachunku i przyjdzie do krwawej z wrogami rozprawy! Niewiadomo, jak i gdzie się kształcił, ale wiadomo, że w zakresie inżynierji wojskowej rozległą zdobył wiedzę, że był niepospolitym artylerzystą, że pogłębił i rozszerzył zdobyte w korpusie kadetów wykształcenie.

Pięć lat bawił zagranicą. Wróciwszy w r. 1774 do kraju, obejmował szersze widnokręgi i głębiej a wszechstronniej ocenić mógł wypadki, które rozgrywały się w Rzeczypospolitej i czyniły z niej bezwładną a posłuszną cudzej woli niewolnicę. Młody, wykształcony kapitan nie mógł wstąpić do wojska. Było to dla niego niepodobieństwem. Nie posiadał środków pieniężnych, a na to, by służyć w szeregach narodowych, trzeba było podówczas

znaleźć oficera, któryby ustąpił swego miejsca i za to miejsce zapłacić drogo, bo 18,000 złp. kosztowała szarża kapitańska. Zaledwie 11,000 głów liczyła wówczas armja polska, ale służba czynna nie była dostępna dla młodych talentów, nie wspieranych złotem. Ubogi oficer kołatał się u krewnych. Przeżył nową straszną hańbę, spełnioną przez Sejm, który ostatecznie w roku 1775 zatwierdził wszystkie uchwały delegacji, powołanej do zaakceptowania traktatów rozbiorowych, przeżył osobiste nieszczęście, nie mogąc połączyć się z ukochaną dziewczyną, której ojciec, Józef Sosnowski, szlachcic-pyszałek, pnący się po szczeblach karjery na wielkie dostojeństwa, poświęcił dla osobistej karjery szczęście własnej córki. Tak więc do klęsk publicznych dołączyły się osobiste niepowodzenia. Nie było miejsca w nieszczęsnej Polsce dla nieszczęśliwego Kościuszki. Smagany klęskami natury publicznej, znieważony w swych uczuciach, pozbawiony właściwej ukształceniu jego pracy, postanowił w r. 1776 wyjechać z kraju.

I znowu udał się do Francji.

Teraz dopiero swe skrzydła, przeznaczone do górnego lotu, rozwinąć miał szerzej. Właśnie Francja poruszona była walką, toczącą się podówczas w Ameryce Północnej, gdzie liczne kolonje angielskie, połączywszy się w jeden potężny związek, ogłosiły światu, że nie chcą dłużej znosić jarzma Wielkiej Brytanji i, rozwinąwszy sztandar niepodległości, porwały się do oręża. Wielu wojskowych francuskich podążyło za ocean, by stanąć po stronie dzielnych kolonistów. Entuzjazm Francuzów udzielił się Polakowi — i Kościuszko ruszył do Ameryki, by ofiarować swą szablę na usługi wolności.

Przyjęty do służby w randze pułkownika inżynierji, z poświęceniem i skromnością pełnił swój obowiązek. Jego męstwo i talenty inżynierskie, szybko zwróciły na sie-

bie uwagę zwierzchności wojskowej, a roboty fortyfikacyjne, które planował i wykonywał, niejednokrotnie przyczyniły się do powodzenia powstańców. Skromny, nie szukający zysku, ani wyniesienia, przez cały czas wojny ani razu nie awansował. Dopiero po jej ukończeniu otrzymał szarżę generała-brygadjera, order Cyncynata i spory szmat ziemi, uwolnionej już z pod obcej tyranji.

Pobyt w Ameryce doniosły wpływ wywarł na przekonania i poglądy Kościuszki.

Walka, rozpoczęta przez kolonistów, rozbrzmiewała hasłami, które głęboko w serce i umysł Polaka zapadły. Proklamowany uroczyście Akt Niepodległości Stanów Zjednoczonych zapowiadał, że wszyscy ludzie są sobie równi, że każdy ma jednakowe prawo do życia, do wolności, do szczęścia, że każdy naród w każdej chwili uprawniony jest do zmiany formy rządu, jeżeli tego szczęście i wolność narodu wymaga. Panowanie Wielkiej Brytanji nazywał manifest amerykański długim ciągiem nadużyć, utrwalających jeno nieograniczoną tyranję. W sercu Kościuszki, mającego przed oczyma dolę własnej ojczyzny, słowa takie brzmiały aż nadto zrozumiale! A widząc na wolnej ziemi amerykańskiej urządzenia demokratyczne, uznające jedynie władzę wybieralną, widząc przed sobą równych obywateli, jednakowo pojmujących swoje obowiązki, z jednakową odwagą i dzielnością bijących się o swą wolność, przejął się zasadami równości republikańskiej. Zasady te nie miały nic wspólnego z zacofanym republikanizmem szlacheckim, który, uciskając szerokie warstwy narodu, samej jeno szlachcie dawał nieograniczone przywileje i prawa. Republikanizm Kościuszki opierał się na miłości i poszanowanin człowieka, bez względu na jego pochodzenie, na zasadach równości obywatelskiej, na uznawaniu szczęścia ludu, jako najwyższego prawa. Wojna, której był uczestnikiem, pou-

czyła go jeszcze, że naród, ożywiony ideą równości, a występujący do walki z ciemiężycielem, jako zwarta masa, posiada nieprzebrane siły, stanowi potęgę, która śmiało o zwycięstwo kusić się może.

W obcowaniu z prostymi, szczerymi osadnikami Kościuszko, sam z natury szczery i prosty, pogłębił w sobie te piękne a tak rzadkie w Polaku zalety. Niepozorny zewnętrznie, skromny, niewymowny, zazwyczaj nie zwracał na siebie uwagi otoczenia. A jednak było coś oryginalnego i zarazem coś niezwykłego w tym prostym człowieku, coś, co przy zbliżeniu się pociągało ludzi, uderzało, budziło ufność i szacunek. Był jakiś wdzięk, który przemawiał do imaginacji, zastanawiał i zniewalał ku sobie. A tym wdziękiem i tą oryginalnością była właśnie owa przedziwna a przejrzysta prostota, z za której wyzierała szlachetność serca i promieniała pogoda duszy prawej i jasnej.

Powróciwszy w r. 1784 na Litwę, osiadł na roli w posiadłości swojej, Siechnowiczach. Opromieniony sławą, zdobytą za oceanem, nie szukał intratnych urzędów ani zaszczytów, spokojnie czekając chwili, w której zdobyte w wojnie doświadczenie będzie mógł oddać na potrzeby współobywateli. Poglądy swoje wypowiadał śmiało. Bolało go upośledzenie ludu wiejskiego, oburzała jego uczucia republikańskie straszna ciemnota i zależność włościan, gniewało stanowisko szlachty, nie pojmującej swoich obowiązków. „Mój Boże, jak mało prawdziwych obywatelów!“ — skarżył się w jednym ze swoich listów. A w innym dowodził, że „w naturze“ wszyscy są sobie równi, że różnice tworzą jedynie bogactwa i oświata, że słowo „poddany przeklęte być powinno w oświeconych narodach“. W Siechnowiczach ograniczył pańszczyznę do dwóch dni w tygodniu, czyli zmniejszył ją o połowę, od kobiet całkiem zabronił wymagać robocizny.

Uchwała Sejmu Wielkiego, pomnażająca siłę zbrojną polską do 100.000, wyniosła Kościuszkę na widownię szerszą. Mianowany generałem-majorem w wojsku koronnem, a przeznaczony do I dywizji Karola Malczewskiego w Wielkopolsce, porzucił Litwę i przeniósł się do Włocławka, skąd nieraz odwiedzał Warszawę. Zbliżył się w tej epoce do wybitniejszych działaczów ze stronnictwa patrjotycznego i sam dał się poznać. W kampanji 1792 r., walcząc pod dowództwem ks. Józefa, ustalił swoją reputację wojenną. Bitwa pod Dubienką w całym kraju uczyniła go popularnym i zwróciła na niego uwagę ogółu patrjotycznego. Wojna ta, acz nieszczęśliwie zakończona, acz bólem i męką napełniła serce Kościuszki, przekonała go, że wojsko rosyjskie i jego wodzowie wiele pozostawiają do życzenia. Więc rozpacznie załamywał ręce, myśląc, jak łatwo możnaby pobić Moskali, gdyby tylko „kraj miał energję, był czułym o swoją wolność, miał zapał prawdziwego obywatelstwa". Po przystąpieniu króla do Targowicy zażądał wraz z innymi dymisji. Osobiście proszony przez Stanisława Augusta o jej cofnięcie, odpowiedział stanowczą odmową. Nadaremnie wymowny król prosił, przekonywał, nalegał. Kościuszko nie zawahał się hersztów Targowicy nazwać zdrajcami, a argumentom króla przeciwstawił argument tak silny, jakiego król nie posiadał w arsenale swoich wywodów. Tym argumentem był: honor.

Odłożywszy szablę do „czasów pomyślniejszych", myślał narazie o tem, by schronić się „od świata złośliwego i niecnotliwego". W kraju odbierał niejednokrotnie dowody uznania i hołdu, świadczące, że zacniejsi obywatele poznali się na jego cnotach i talentach. Więc chciał w kraju pozostać. Ale dla wybitnego Polaka-patrjoty, który cenił swój honor, a na polu walki dowiódł miłości ojczyzny, nie było już piędzi ziemi polskiej, gdzieby swobodnie

mógł się zatrzymać. Więc i Kościuszko, jak wielu innych patrjotów, zmuszony był opuścić Polskę i pod obcem niebem dzielić z rodakami smutną dolę tułaczą.

Przed wyjazdem zrzekł się na rzecz małoletnich siostrzeńców swojego folwarku na Litwie, ale w liście do siostry wymagał, aby na chłopów nie nakładano nowych ciężarów. Wyrażał żal, że „poddanych" swoich nie może uczynić wolnymi, jakby to uczynił w każdem innem państwie, gdzie rządy szanują wolę swoich obywateli.

Wyjechał z Polski, ale pozostawił po sobie jasne wspomnienie i miłość ludzi zacnych, uczciwych. Już wtedy przejrzano jego czystą duszę, jego patrjotyzm ofiarny i płomienny, jego cnoty, na których można było budować nadzieję. Już wtedy był jednym z najpopularniejszych mężów, ku którym uciśniona a patrjotyczna Polska z tęsknotą zwracała swe oczy. W jednym z ówczesnych wierszy ku czci bohatera z pod Dubienki bezimienny poeta wzywał Kościuszkę, aby nie poddawał się rozpaczy, lecz żył dla przyszłości. Autor, jakby sięgając w tę przyszłość bardzo daleko, takie wypowiedział proroctwo:

Wtenczas Moskal Polaków w niewoli zagrzebie,
Gdy w ich duszy utłumi szacunek dla Ciebie.

A w hymnie patrjotycznym, śpiewanym podówczas na nutę: „Do Ciebie, Boże", a wzywającym kary boskiej na Targowicę, ostatnia strofka Kościuszce była poświęcona:

A gdy cię wzruszą nasze losy srogie,
Chowaj Kościuszki życie wszystkim drogie,
On jeden pęta haniebne zrzuci
A wolność wróci...

Dotychczasowe życie Kościuszki ujawniło w nim człowieka o umyśle żywym, bystrym, przedsiębiorczym, o sercu prawem i szlachetnem, o duszy podniosłej i wspaniało-



HUGO KOŁŁĄTAJ

Nie poddawano się jednak rozpaczy i wytrwale szukano środków ratunku. Oglądano się na Francję. Właśnie w owym czasie coraz silniej rozpłomieniał się tam olbrzymi pożar, a łuna rewolucji francuskiej złowrogo świeciła nad Europą. Śród strasznych walk z licznymi wrogami, w krwawej topieli wewnętrznej, pochłaniającej niezliczone ofiary, w huku armat i w dymie bojowym rodziły się wielkie idee, powstawał nowy świat wyobrażeń, ukazywały się nowe siły i całej Europie zagrażały olbrzymim, nieznanym w dziejach nowoczesnych przewrotem. Hasła wolności równości i braterstwa, wypisane na sztandarach rewolucyjnego Paryża, wstrząsające wieści o zmiażdżeniu potężnego, a sławnego przez długie wieki tronu i rządach ludowych płoszyły sen z powiek despotów i do nowych wysileń w walce z olbrzymem rewolncyjnym popychały zjednoczoną reakcję Europy.

Wychodźcy polscy ku Paryżowi mieli skierowane oczy i z najwyższą uwagą śledzili bieg wydarzeń we Francji. Boje, staczane przez wojsko rewolucji, przekonywały ich, jak straszną potęgę stanowi świadomość ludu, stojącego na straży zdobytej wolności, a idee, które głosiła rewolucja, wzbudzały nadzieję, że w walce o wolność Polski Francja naturalną stanie się sojusznicą.

Na czoło zgromadzonych w Saksonji wygnańców wysuwali się obok Kościuszki dwaj wielcy ludzie, najczynniejsi współtwórcy reform, uchwalonych przez Sejm Czteroletni: podkanclerzy koronny, ksiądz Hugo Kołłątaj i marszałek wielki litewski, Ignacy Potocki.

Kołłątaj, człowiek niezłomnej woli, jeden z największych statystów, jakimi może poszczycić się Polska, górował nad współczesnymi potężnym rozumem, szerokością poglądów, bystrym sądem i trafnością swoich przewidywań. On to szedł na czele ruchu reformatorskiego odradzającej

się Polski i był niezmordowanym rzecznikiem wyzwolenia miljonowych mas ludu wiejskiego. Jego liczne pisma, broszury, pisane przepiękną śpiżową mową polską, pozostały najwspanialszym pomnikiem dążeń reformatorskich swojego czasu. Wielką duszą Kołłątaja wielkie wstrząsały namiętności. Nieugięty, niezmordowany w pracy, mocarną ręką łamiący przeszkody, bezwzględny w swoich dążeniach, śmiało sięgający po władzę, ścigany był nienawiścią licznych swoich wrogów i, jak dąb, opierał się burzy, która często szalała tam, gdzie on rozpoczynał swoją działalność. Genjalny ten człowiek, spotwarzany, oczerniany, pomawiany o najrozmaitsze przestępstwa, ścigany mnóstwem zarzutów, których bezpodstawność wykazała dopiero historja, miał jeden ciężki błąd na swojem sumieniu: na posiedzeniu, zwołanem w swoim czasie przez Stanisława Augusta w sprawie jego przystąpienia do Targowicy, Kołłątaj nie powstrzymywał króla, jak inni, od powziętej decyzji, a co więcej! sam później próbował nawiązać z Targowicą stosunki. Chciał w ten sposób ratować kraj i co się da, ocalić z Konstytucji Majowej. Jego energja pozwalała mu się spodziewać, że niejedno uratować zdoła. Omylił się. Plany zawiodły, a fakt zwrócenia się do Targowicy pozostał. To przecież pewna, że niezmordowanym był pracownikiem na niwie odrodzenia narodowego. Gdzie Kołłątaj się znalazł, tam rozpoczynał się ruch, tam, jak z nieprzebranego źródła, płynęły projekty i pomysły, tam była kuźnia, w której młot idei bił nieustannie o kowadło życia i krzesał skry twórcze.

Przebywając w Lipsku, starał się wpoić w rodaków swoich przekonanie, że „nie można upadać na sercu, że należy wszystkimi sposobami starać się ratować ginącą ojczyznę, albo przynajmniej zdobyć się na jakie wspaniałe wysilenie, któreby zmazało hańbę dzisiejszego pokolenia“...

Do najwybitniejszych ludzi owego czasu należał również Ignacy Potocki. Możny magnat, dziedzic historycznego nazwiska, zrodzony w atmosferze prywaty, zawiści i hulaszczego szału, nie wolny od wad swojej epoki, miał umysł bujny, bogaty, serce ogniste i duszę wrażliwą. Prąd odrodzenia, budzący się w Polsce, ogarnął go całkowicie i poniósł drogą ofiarnej pracy dla ojczyzny. Jako charakter prawy, uczciwy, miał głębokie poczucie godności narodowej i godności własnej. Wobec potentatów obcych, przed którymi słaniała się niemal cała jego sfera z królem na czele, miał gest magnata. Nigdy nie umiał się zniżyć. Był wielkim panem wielkiego narodu. Przez cały czas swojej działalności świecił jasnem, niesplamionem czołem. Nienawidzili go możni panowie i krewni za jego patrjotyzm, za bezinteresowność, za rozum i talenty, za dążności postępowe, za to wreszcie, że o jego szlachetność, jak o skałę niewzruszoną, rozbijały się fale zdrady, podłości i znikczemnienia.

Ignacy Potocki był jedną z najpotężniejszych kolumn Sejmu Wielkiego, a nazwisko swoje na wieki związał z Konstytucją 3 Maja. Porzuciwszy kraj, pod obcem niebem dla kraju pracował i wraz z Kołłątajem obmyślał środki ratowania ojczyzny.

Z nimi przedewszystkiem Kościuszko porozumiewał się w owym czasie i razem z nimi omawiał plany działania, zarówno na emigracji, jak w Polsce.

Kołłątaj, bacznie śledzący wszystkie wydarzenia w Europie, powziął właśnie myśl nawiązania ściślejszych z Francją stosunków. Myśl ta nie była obca i Francuzom. Poseł francuski w Warszawie Descorches, zmuszony opuścić stolicę Polski po wkroczeniu do niej wojsk rosyjskich, przejeżdżając przez Lipsk, porozumiał się z wysłańcami i omawiał z nimi plan akcji, którą dla dobra obu krajów można-

by podjąć. Descorches, wysłany później do Konstantynopola, miał zgodnie z planami ministra spraw zagranicznych Lebrun'a nakłaniać Turcję do wypowiedzenia nowej wojny Rosji. Jednocześnie Lebrun dążył do tego, aby Czechów i Węgrów pobudzić do powstania przeciw Austrji, a Szwecję poróżnić z Rosją. Były więc w Paryżu na porządku dziennym sprawy, mające pierwszorzędną doniosłość dla projektowanego w Polsce powstania. Należało bliżej porozumieć się z rządem rewolucyjnej Francji. Kościuszko, którego w dowód uznania za uczestnictwo w wojnie o wolność Ameryki, Zgromadzenie Prawodawcze ogłosiło w tym czasie obywatelem honorowym Francji, jak nikt, nadawał się do tej roli. Więc, po porozumieniu się z wychodźcami, wyjechał do Paryża. Widział się z Lebrun'em, konferował z ministrem wojny, Pachem, ale czas, w którym znalazł się w stolicy Francji, był czasem najokropniejszych wstrząśnień wewnętrznych. Właśnie w owych dniach spadła pod gilotyną głowa Ludwika XVI, a fakt ten miał niebawem nową burzą od zewnątrz zagrozić rewolucji. Kościuszko, jak świadczy Kołłątaj, żądał, aby Francja „wysłała flotę na morze Baltyckie, żeby flotyllę zakupiła u Szwedów, żeby dała broni ręcznej i armat i 30 miljonów złp., a on tym sposobem obowiązywał się, gdziekolwiek wylądowawszy, czy w Litwie, rozpocząć insurekcję, któraby razem rozpocząć się mogła wśród Polski po wielu miejscach". Descorches miał jednocześnie nakłaniać Turcję, aby zagroziła Rosji z drugiej strony jej granic.

Śmiałe plany wychodźców, acz podobały się i wzbudziły zainteresowanie w Paryżu, nie dały na razie żadnych wyników.

Wychodźcy z Kołłątajem na czele, nie zaniedbując nic, co mogłoby Polsce zapewnić pomoc obcą, rozumieli przecież doskonale, że powstanie polskie przedewszystkiem

na własnych siłach Polski oprzeć się musi. A z kraju właśnie przychodziły wieści, że sprzysiężenie coraz większe czyni postępy, że zbliża się czas wystąpienia zbrojnego. We wrześniu 1793 r. przybyli do Lipska wysłańcy spisku, Aloe i Walichnowski, i zaofiarowali Kościuszce naczelne dowództwo. Kościuszko przyjął propozycję i, porozumiawszy się z wychodźcami, a przedewszystkiem z Kołłątajem i Potockim, sam postanowił jechać do kraju, by osobiście zdać sobie sprawę ze stanu przygotowań. Jakoż, udzieliwszy instrukcji wysłańcom, wyruszył z generałem Zajączkiem na pogranicze galicyjskie do Podgórza. Tutaj odbył naradę ze spiskowcami z Warszawy, Barssem i Pawlikowskim. Kiedy ostatni zapytał Kościuszkę, jakiemi zasadami kierować się będzie w powstaniu, ten odpowiedział:

— Za samą szlachtę bić się nie będę, chcę wolności całego narodu i dla niej tylko wystawię me życie.

Słowa te do łez rozczuliły młodego „jakobina“ i tem większa stała się jego niecierpliwość, tem goręcej nalegał na to, by natychmiast przystąpić do dzieła. Ale generał Zajączek, wysłany przez Kościuszkę do Warszawy, donosił, że przygotowania nie są jeszcze dostateczne, a z Litwy również niepocieszające przychodziły wieści. Więc Kościuszko nie zdecydował się na podjęcie walki. Wydał nowe instrukje i, ku rozpaczy sprzysiężonych w Warszawie, wyjechał do Włoch, aby tą swoją podróżą uśpić czujność wrogów, gdyż wieść o bytności jego w kraju szeroko się już rozniosła.

Tymczasem pod stopami spiskowców paliła się ziemia, warunki, w których czyniono przygotowania, stawały się coraz trudniejsze, gdyż nieostrożność sprzysiężonych budziła coraz większą czujność Moskali i coraz większe stwarzała niebezpieczeństwa. Raz jeszcze w grudniu 1793 r. wysłano do Florencji gońców za Kościuszką, ale znowu przywieziono odpowiedź odmowną. Zwłoka ta fatalne wy-

wołała następstwa: sprzysiężenie zaczynało się rozprzęgać. Działyński, dusza i serce spisku, pochwycony został na Ukrainie, wtrącony do więzienia w Kijowie, a później wysłany na Sybir. Było to klęską dla spisku, a wielką dla powstania stratą. Kapostas, którego Igelström polecił aresztować, umknął z Warszawy, ale na Litwie uwięziono wielu najwybitniejszych działaczów.

Wreszcie nowe niebezpieczeństwo zawisło nad powstaniem: oto w myśl uchwał Sejmu grodzieńskiego przystąpiono do redukcji wojsk polskich i ostateczny termin tej redukcji wyznaczono na 15 marca 1794 r. Więc nalegania z Warszawy stawały się coraz gorętsze i wychodźcy polscy w Saksonji, przez cały obóz sprzysiężony uważani za przywódców powstania, coraz silniej byli atakowani.

Dalsza zwłoka istotnie była niemożliwa.

Kościuszko, przybywszy z Włoch do Drezna, błagany był przez wysłańców z kraju, by dłużej nie zwlekał z wyjazdem, gdyż wszystkie przygotowania przepadną i ostatnia chwila ratunku Ojczyzny przeminie. Szczególniej nastawał na to Karol Prozor, dzielny patrjota, jeden z najgorliwszych działaczów na Litwie. Kościuszko miał wątpliwości, wahał się, bo wiedział, że decyzja jego jest decyzją stanowczą dla całego narodu. Rozumiał przecież, że struny przeciągać nie można. Więc aczkolwiek uważał, że przygotowania są niedostateczne, że szczególniej praca wśród ludu wiejskiego nie dała rezultatów, o jakie usilnie zabiegał, to przecież stan umysłów w kraju i wzmagające się niebezpieczeństwa na dalszą zwłokę nie pozwalają.

Powziął decyzję i władną swą ręką odwrócił nową kartę w księdze dziejów polskich: w połowie marca wyjechał do Krakowa, by naród zawezwać do broni i stanąć na czele walki o wolność Ojczyzny.

III.

AKT POWSTANIA.

Czas był najwyższy.

Już gorączkowe zniecierpliwienie ogarniało sprzymierzonych, już organizacja warszawska, zagrożona całkowitem rozbiciem, chwyciła się środków ostatecznych i zwróciła się do generała Madalińskiego z żądaniem, aby zbrojno wkroczył do Warszawy. Już wybuch w stolicy wisiał na włosku, już czekano tylko Madalińskiego, by podnieść sztandar powstania. Ale zaszły nieprzewidziane okoliczności. Madaliński, żołnierz ognisty i śmiały, zniecierpliwiony długiem czekaniem, a gotów na wszelkie hazardy, z radością zastosował się do przysłanych mu żądań, lecz nie obliczył się należycie z siłami. Zerwał się 12-go marca z połową swojej brygady w 700 koni z Ostrołęki i ruszył w kierunku Warszawy, w nadziei, że tuż za nim pociągnie reszta jego jazdy, że podniosą się inne oddziały, stojące w okolicy, że wreszcie 3000 wybornych strzelców, których z pośród Kurpiów rekrutował podkomorzy nurski, Zieliński, wesprze to poruszenie i szybkim marszem podąży w ślad za nim. Już Igelström gotował się do odporu i na gwałt powiększał garnizon rosyjski w stolicy. Ale wyrachowania Madaliń-

skiego zawiodły. Nikt za nim nie pociągnął i oto śmiały generał zawisł ze swoim oddziałem jakby w powietrzu. Z siłą, którą rozporządzał, nie mógł wkroczyć do Warszawy, a na cofanie się było za późno. Wtedy powziął plan równie nieoczekiwany, jak zuchwały. Postanowił przedrzeć się do Krakowa. W tym celu wkroczył w zabór pruski i, idąc wzdłuż nowej granicy, szedł przez Mławę, Sierpc, przebył pod Wyszogrodem Wisłę i skierował się do Nowego Miasta. Odtąd przerzynał się do Krakowa przez oddziały rosyjskie.

Krokiem swoim obudził Madaliński czujność władz w Wielkopolsce, wywołał liczne aresztowania i klęskę ściągnął na rozgałęzione tam sprzysiężenie. Jednocześnie zaś do ostrożności pobudził Igelströma, który w obawie o rozproszone w województwach południowych swoje oddziały, zarządził ich koncentrację w Radomiu.

Dnia 23-go marca, stosownie do otrzymanego rozkazu, i załoga rosyjska, zajmująca pod komendą podpułkownika Łykoszyna Kraków, opuściła to miasto i skierowała się do Radomia.

Tego samego dnia stanął w Krakowie generał Kościuszko.

Podejmował go w pałacyku swoim „za Szewską Furtą“ generał Wodzicki, zacny patrjota i światły obywatel. Zyskany dla powstania, już podczas pierwszej bytności Kościuszki pod Krakowem, z całem oddaniem się pracował dla sprawy. Otrzymawszy rozkaz przeprowadzenia redukcji w podległem mu wojsku, zastosował się pozornie do tego życzenia, ale zwolnionych żołnierzy rozlokował po sąsiednich wioskach i z własnej kieszeni żołd im wypłacał.

Nazajutrz, w pamiętnym na zawsze w dziejach Polski dniu 24 marca 1794 roku, ogromne poruszenie zapanowało w Krakowie. Już rozeszła się wieść o przybyciu Kościuszki, już nad prastarą Polski stolicą rozbłysło słońce nadziei. Żywiej uderzyły serca młodzieży, a żołnierz, dręczony dłu-

giem oczekiwaniem, odetchnął z ulgą. Ludność od samego rana wyległa na ulice, oczekując hasła i wskazówek, co czynić powinna i w jaki sposób ma przystąpić do dzieła. Przy bramach miejskich stanęły warty bataljonu Czapskiego i nikomu nie pozwalały na opuszczenie miasta. Świadczyło to, że zajdą jakieś ważne wypadki. Więc gorączkowe oczekiwanie ogarniało gromadzące się tłumy. Ale nie wszyscy dzielili tę radość, nie wszyscy rozumieli, co przyjazd Kościuszki oznacza i zwiastuje. Prezydent Krakowa, Filip Lichocki, figura licha, komiczna, Moskalom oddana, z największem zdziwieniem dowiedział się o wartach, strzegących bram miejskich. Jeszcze większe ogarnęło go zdumienie, gdy do jego domu wpadł adjutant Wodzickiego i oświadczył, że generał życzy sobie, aby on, Lichocki, najdalej w ciągu godziny zwołał urzędników miejskich i lud wszystek zgromadził przed ratuszem, gdyż tam stanie generał Kościuszko i wolę narodu proklamować będzie.

Lichocki, acz bardzo niechętnie, spełnił rozkazy. Nie wiedział, na co się zanosi, dostrzegał tylko „niezmierną radość i ukontentowanie, że Pan Kościuszko będzie z nami", ale nic z tego wszystkiego zrozumieć, ani wymiarkować nie mógł. A tu jeszcze Kościuszko przysłał kapitana z oświadczeniem, że go oczekuje w pałacu Wodzickiego. Lichocki, dotknięty w swojem dostojeństwie, naradzał się z kolegami, co mu czynić wypada i ostatecznie w towarzystwie trzech rajców stawił się przed obliczem Kościuszki. Ale był to fatalny dzień dla p. prezydenta. Wodzicki, ujrzawszy Lichockiego, huknął nań i, tupiąc nogami, wyrzucał mu sprzyjanie Moskalom. Tłumaczył się stropiony Lichocki, jak umiał, ale stropił się jeszcze bardziej, gdy zbliżył się do niego „Imć Pan Kościuszko" i, wziąwszy p. prezydenta dobrodusznie „za pas", rzekł:

— Mospanie prezydencie! nie wchodzę ja w to, jaki waćpan byłeś dla Moskali, ale się spodziewam, że i dla mnie będziesz grzecznym.

I spytał, czy lud gromadzi się przed ratuszem.

Niepomiernie zgorszony był tem wszystkiem Lichocki, oświadczył przecież, że rozkaz wypełnił, że lud się gromadzi i niebawem zbierze się wszystek.

Istotnie, tłumy ludu wszystkiemi ulicami waliły na Rynek. Płynęło mieszczaństwo, kupcy, rzemieślnicy, czeladź, przybyli niewypuszczeni za bramy miejskie włościanie, stawiła się obecna w mieście szlachta, zjawiło się mnóstwo kobiet i gwarna, różnobarwna fala ludzka rozlała się po Rynku. Młodzież przystroiła się w bandolety z różnemi napisami, jako to: Wolność lub śmierć; Równość, wolność; Za prawa i wolność; Za Kraków i Ojczyznę; były też napisy: Vivat Kościuszko! A wiele osób przyozdobiło się sylwetkami Kościuszki. Przed ratuszem ścisk był nadzwyczajny, a wewnątrz ratusza już ku największemu zgorszeniu p. prezydenta roztasowało się obywatelstwo, miłościwej, a mnóstwo dam tłoczyło się przy oknach. A tu jeszcze posypały się na widok Lichockiego żarciki. Zapewniano go, że wszystko się zmieni, skoro Kościuszko przyjedzie, że odtąd inaczej już będzie w Krakowie, ba! szeptano mu w uszy o gilotynie. Od tych żarcików i szeptów, jak od much natrętnych i kąśliwych, otrząsał się pan prezydent Lichocki i cierpiał straszliwie nad nieposzanowaniem władzy prezydenckiej, a wiele jeszcze niespodzianek miało go czekać.

WŁASNOŚĆ
ZOFII KESSEL

Oto w pełnej paradzie wkroczył bataljon drugiego regimentu szefostwa Wodzickiego i, jak struna, wyciągnął się wzdłuż Rynku. Porucznik Święcicki zabrał wtedy głos i oznajmił ludowi, że niebawem ogłoszony zostanie akt powstania obywateli województwa krakowskiego. Przemówienie swoje zakończył okrzykiem:

— Niech żyje Ojczyzna!

Zgromadzone tłumy z zapałem powtórzyły te słowa i z tysiącznych piersi wydobył się zgodny okrzyk na cześć

Ojczyzny i odbił się o szacowne mury, nieme, lecz dostojne świadki tylu scen, pełnych chwały, szczęścia i minionej wielkości Rzeczypospolitej.

O godzinie 10-ej na ulicy św. Anny ukazał się Kościuszko w orszaku osób cywilnych oraz oficerów. Wszedł na Rynek i zatrzymał się przed frontem wojska. Odezwały się bębny—i wnet głęboka, uroczysta cisza zaległa zgromadzone tłumy. Towarzyszący Kościuszce Aleksander Linowski, dawny poseł sejmowy, odczytał akt powstania. Następnie wojsko wykonało przysięgę na wierność Narodowi i posłuszeństwo Naczelnikowi Najwyższemu, Tadeuszowi Kościuszce. Słowa przysięgi ogromnym głosem powtarzały tłumy, by w ten sposób zjednoczyć się z wojskiem i zaznaczyć, że cała ludność Krakowa dobrowolnie oddaje się pod władzę Kościuszki. Z kolei Naczelnik zaprzysiągł, że powierzonej mu „władzy na niczyj prywatny ucisk nie użyje, lecz jedynie jej dla obrony granic, odzyskania samowładności narodu i ugruntowania powszechnej wolności“ używać będzie.

Po złożeniu przysięgi skierował się do ratusza. Stłoczony lud witał go okrzykami, pełnemi radości i zapału.

— Niech żyje Kościuszko! — wołali jedni.

— Niech żyje obrońca Ojczyzny! — głosili drudzy.

Naczelnik dał znak, że chce mówić, a gdy się uciszyło, zabrał głos i w gorących słowach zawezwał wszystkich do obrony kraju. W przemówieniu swojem oświadczył, że w obliczu Ojczyzny wszyscy, co jej służą, są sobie równi, bez względu na swój stan i swoje urodzenie: tak dobrze szlachta, księża, jak mieszczanie, chłopi i żydzi, wszyscy zatem z jednakową usilnością i poświęceniem bronić wspólnej sprawy winni. Następnie Linowski po raz drugi odczytał „Akt powstania obywatelów Województwa Krakowskiego“.

Dokument ten, zredagowany przy udziale Kołłątaja i Ignacego Potockiego, a świetnem Kołłątaja piórem napisany, stwierdzał istniejący w Polsce stan rzeczy, omawiał zemstę i chciwość rządów zaborczych, wypowiadał walkę „drapieżnemu despotyzmowi“ i w mocnych, jędrnych słowach piętnował zdrajców Ojczyzny, którzy nie tylko rozszarpali majątek i dochody publiczne i wydarli własność obywateli, ale, świętokradzko przywłaszczywszy sobie miano rządu polskiego, stali się niewolnikami obcej tyranji, stali się rządem niewolników, słuchających ślepo każdego skinienia despotów.

„Przytłoczeni tym ogromem nieszczęść, — brzmiały słowa pamiętnego Aktu, — znękani bardziej zdradą, aniżeli mocą oręża nieprzyjacielskiego, zostający bez najmniejszej krajowego rządu opieki, postradawszy Ojczyznę, a z nią używanie najświętszych praw wolności, bezpieczeństwa, własności, tak osób, jako i majątków naszych, zdradzeni i naigrawani od jednych, opuszczeni od drugich rządów, my, Polacy, Obywatele, mieszkańcy Województwa Krakowskiego, poświęcając Ojczyźnie życie nasze, jako jedyne dobro, którego nam jeszcze tyranja wydrzeć nie chciała, idziemy do tych ostatnich i gwałtownych środków, które nam rozpacz obywatelska podaje. Mając więc niezłomne przedsięwzięcie zginąć i zagrzebać się w ruinach własnego kraju, albo oswobodzić ziemię ojczystą od drapieżnej przemocy i haniebnego jarzma, oświadczamy w obliczu Boga, w obliczu całego rodzaju ludzkiego, a mianowicie przed wami, Narody, w których wolność jest wyżej ceniona nad wszystkie inne dobra świata, iż używając niezaprzeczonego prawa odporu przeciw tyranji i zbrojnej przemocy, wszyscy w duchu narodowym, obywatelskim i braterskim łączymy w jedno siły nasze; a *przekonani, iż pomyślny skutek wielkiego przedsięwzięcia naszego najwięcej od najściślejszego wszystkich*

nas zjednoczenia zależy, wyrzekamy się wszelkich przesądów i opinij, które obywatelów, mieszkańców jednej ziemi i synów jednej Ojczyzny dotąd dzieliły lub dzielić mogą i zaręczamy sobie wszyscy nawzajem nie oszczędzać wszelkich ofiar i sposobów, jakich tylko święta miłość wolności dostarczyć zdoła ludziom, pozostającym w rozpaczy na jej obronę."

Cele powstania w następujących słowach były ujęte:

„Uwolnienie Polski od obcego żołnierza, przywrócenie i zabezpieczenie całości jej granic, wytępienie wszelkiej przemocy i uzurpacji tak obcej, jak i domowej, ugruntowanie wolności narodowej i niepodległości Rzeczypospolitej, ten jest cel święty powstania naszego."

Dalej szły punkty, dotyczące organizacji powstańczej. W pierwszym z tych punktów Tadeusz Kościuszko uznany został za „Najwyższego i jedynego Naczelnika i rządcę całego zbrojnego powstania," w drugim była mowa o utworzeniu przez Kościuszkę Rady Najwyższej Narodowej, jako rządu, podległego rozkazom Naczelnika. Dalsze punkty wyliczały prawa i obowiązki Rady. W punkcie szóstym była mowa o utworzeniu Komisji Porządkowej Województwa Krakowskiego, jako narzędzia wykonawczego Naczelnika i Rady Najwyższej Narodowej. Punkt siódmy przepisywał utworzenie Najwyższego Sądu Kryminalnego dla sądzenia wszystkich zbrodni przeciw narodowi i przeciw „świętemu celowi powstania," jako „zbrodni przeciwko zbawieniu Ojczyzny popełnionych." Wszystkie te zbrodnie,— czytamy w tym samym punkcie, — „karze śmierci podlegać będą." Akt kończył się wezwaniem do Naczelnika i przyszłych członków Rady Najwyższej Narodowej, aby „zawsze przytomną mieli tę wielką prawdę," że:

— *„Ocalenie ludu jest najwyższem prawem."*

Takie było pierwsze dzieło rozpoczynającego się powstania, a zarazem pierwsza bitwa, którą powstanie stoczyło

z małodusznością rodzimą i rodzimem wstecznictwem. Bitwa już przez sam fakt dokonany była wielką wygraną. Po śmiałym wstępie, którym powstanie rozpoczynało swój żywot, niepodobna już było powrócić, ani podczas powstania, zaś w razie zwycięstwa, ani po ukończeniu powstania, do dawnych staroszlacheckich przesądów i dawnych opinij. Nigdy jeszcze żadna władza w Rzeczypospolitej nie przemawiała takim językiem i takiemi pojęciami. Wprawdzie już Konstytucja 3 Maja wzniosła rusztowania nowej budowli państwowej i w atmosferę odwiecznych przesądów tchnęła świeży powiew nowego życia. Wprawdzie już Ustawa Majowa ukazywała oczom mas upośledzonych widnokręgi lepszej i szczęśliwszej doli, a stan mieszczański podnosiła na wyższe szczeble życia społecznego. Ale Akt powstania szedł dalej, nie mówił bowiem już ani słowa o zachowaniu przywilejów szlachty, a stwierdzał wyrzeczenie się wszelkich przesądów i opinij, które mieszkańców ziemi polskiej dzieliły i dzielić mogły, wszystkim przyznawał obywatelstwo, wszystkich synów jednej Ojczyzny powoływał do jej obrony.

Powstanie, w ten sposób pojęte, było nietylko wyzwaniem, rzuconem rządom zaborczym: było jednocześnie wielkiem wstrząśnieniem wewnętrznem, a zarazem odblaskiem burzy, która szalała we Francji. Przez utworzenie sądów kryminalnych, mających śmiercią karać zarówno zbrodnie przeciw narodowi, jak i opór, okazywany powstaniu, Akt insurekcyjny zawieszał miecz sprawiedliwości nad głowami zdrajców, przedawczyków, łupiezców, nad całą, panoszącą się w Polsce zgrają, przesyconą duchem Targowicy. Był Akt rewolucją wewnętrzną i z tego względu, że przekreślał najzupełniej władzę króla-targowiczanina, zaś na czoło wielkiego przedsięwzięcia wysuwał człowieka, którego cnoty i patrjotyzm nie co innego, jeno patrjotyzm

zbiorowy, jeno cnoty obywatelskie, jeno ogarniająca duszę tęsknota do odzyskania wolności, jeno znieważone uczucia polskie stawiały u szczytu.

W gołębiem sercu Kościuszki nie było żadnej zawziętości. I Potocki Ignacy, a nawet Kołłątaj, tak często pomawiany o krwiożerczość, dalecy byli od myśli, by rządzić w Polsce terorem.

„Dla uchronienia się nieszczęśliwych wypadków rewolucji francuskiej — pisał Kołłątaj — zgodziliśmy się, że insurekcja w Polce powinna być pod dyktaturą jednego człowieka, któryby zyskał powszechne zaufanie..."

Ale unikając krwawych wypadków, srożących się codzień we Francji, niepodobna było zamykać oczu na znikczemnienie, szerzące się w kraju, na grasujące w biały dzień występki, na panoszenie się zdrady. Naród, który dopuszcza do tego, że zbrodnia, względem niego popełniona, nie odnosi kary, skazany jest na upadek i na śmierć w niesławie. Więc trzeba było złożyć dowód, że ocknęło się sumienie narodu, że powstanie, zrywając się do skruszenia łańcuchów, nie pozwoli na to, by ręce polskie stawały się narzędziem katów i za srebrniki judaszowe pomagały zakuwać te łańcuchy na żywem ciele pohańbionej Ojczyzny.

— Ocalenie ludu jest najwyższem prawem!

Słowa te najlepiej może odzwierciadlały przewodnią intencję moralnych przywódców powstania. Kościuszko wszystkich bez wyjątków ziemi polskiej mieszkańców powoływał do obrony kraju. I zdawał sobie doskonale sprawę z tego, jak możnym jeszcze i jak wpływowym czynnikiem jest szlachta. Ale szlachta nie była ludem i ludem się nie nazywała. Kościuszko, który zapowiedział, że za samą szlachtę bić się nie będzie, że chce wolności całego narodu, dotrzymał swego słowa i, rozpoczynając powstanie, wolność powszechną obwieszczał.

Akt powstania zbliżał się nieco do ogłoszonej we Francji „Deklaracji praw człowieka i obywatela," a treścią swą przypominał manifest, ogłoszony przez porywające się do walki z Anglją Stany Zjednoczone Ameryki Północnej.

Niezwykłem i od wieków nieznanem w Rzeczypospolitej zjawiskiem był również ten fakt, że jeden człowiek brał niepodzielnie w swoje ręce tak wielką władzę, jaką otrzymywał Kościuszko. Prawda, że już oddawna rządzili w Polsce samowładni ambasadorowie rosyjscy. Ale nie było dotąd wypadku, by Polacy Polakowi godzili się przyznać takie rozległe prawa, jakie Akt insurekcji przyznawał Kościuszce. Zjawisko było tem dziwniejsze, że zgromadzenie krakowskie, ważące się na tak wielkie przedsięwzięcie, nie było ani sejmem, ani konfederacją, ale zgromadzeniem ludu, przez nikogo niewybranem, do niczego nieupoważnionem, a składającem się głównie z mieszczaństwa, włościan oraz garstki patrjotycznie usposobionych żołnierzy.

Nie w komnatach pałacowych, nie w kancelarjach dyplomatycznych, nie wśród dostojników państwa, ale pod gołem niebem, na bruku patrjotycznego miasta, w obliczu różnobarwnych tłumów powstawała nowa władza i rozwijała święty sztandar walki o wolność. Nikt nie wybierał tej władzy. Patrjotyzm ją tworzył, a zapał ludu uświęcał.

Tłumy zgromadzone nie miały czasu zgłębiać, ani zastanawiać się nad doniosłością i wagą odczytanego aktu. Ale lud sercem odczuł, co mu niesie Kościuszko. Więc gdy Linowski skończył czytanie, rozległy się pełne zapału okrzyki i, jak świadczy Lichocki, „wielki stał się z radości łoskot i różne wołania." Zgromadzeni zabrali się zaraz do podpisywania wiekopomnego Aktu, a że miejsca na podpisy nie stało, więc na oddzielnych arkuszach spisywano swoje nazwiska.

Tegoż dnia na ratuszu krakowskim zapadły doniosłe uchwały obywateli Województwa Krakowskiego. Pierwsza z nich powoływała pod broń wszystkich zdrowych mężczyzn od lat 18 do 28, a nakazywała miastom i wsiom, aby przygotowywały się do obrony. Druga ustanawiała podatek postępowy od dochodów z dóbr ziemskich, i to podatek znaczny: 10% od 1000 złp. i wzwyż aż do 40% przy dochodzie 50,000 złp. Wreszcie zgromadzeni obywatele żądali przywozu zboża do magazynów wojskowych, dostawy podwód, koni i innych usług, od których nikt wymawiać się nie miał prawa.

Kościuszko, dopełniwszy wielkiego dzieła, powrócił zaraz do pałacu Wodzickiego, by po tym pierwszym wspaniałym kroku przygotować nowe. Odprowadzał go entuzjazm ludu i grzmiące, pełne radości i zapału okrzyki.

Akt insurekcji dopełniły niebawem dalsze uniwersały, czyli odezwy Naczelnika do wojska polskiego i litewskiego, do obywateli całego kraju, do kobiet, do duchowieństwa. W uniwersale do wojska nawoływał żołnierzy do łączności z obywatelstwem, aby cały walczący naród stał się „jednem ciałem." Hasło, które wojsku rzucił, brzmiało: „Śmierć albo zwycięstwo!" Zwracając się do obywateli, te wiekopomne wypowiedział słowa:

„Pierwszy krok do zrzucenia niewoli jest odważyć się być wolnym; pierwszy krok do zwycięstwa poznać się na własnej sile."

W tym samym uniwersale oświadczał, że zdrajców nie minie zasłużona kara, a ludziom chwiejnym i niezdecydowanym, pragnącym stać na uboczu i czekać bezczynnie na to, jaki obrót weźmie powstanie, zapowiadał groźnie:

— „Kto nie jest z nami, ten jest przeciwko nam!"

Kobiety wzywał, by przygotowywały się do niesienia pomocy rannym, a duchowieństwo, mające straszny przykład w postępowaniu wielu swoich dostojników kościel-

nych, nawoływał do ofiar i do zachęcenia ludu, aby śmiało garnął się do szeregów i śpieszył ratować Ojczyznę i wolność.

Tegoż dnia wysłał Kościuszko zawiadomienie do komendanta pogranicznych krajów cesarza austrjackiego, że wszystkim komendom swoim i urzędnikom wydał rozkaz, zalecający poszanowanie granicy austrjackiej. Liczył Naczelnik na neutralność monarchji austrjackiej i, rozpoczynając walkę z Moskwą, nie zaniedbał stosunku powstania polskiego do Austrji podkreślić.

Nazajutrz utworzona została Komisja Porządkowa Cywilno-Wojskowa Województwa Krakowskiego i w myśl uniwersałów Kościuszki rozpoczęła sprawowanie swoich czynności.

Olbrzymi ruch zapanował w cichym Krakowie, wszędzie kipiała praca, a Naczelnik świecił wszystkim przykładem. Już od 6-ej rano przyjmował interesantów, słał na wszystkie strony gońców i listy, zawezwał do natychmiastowego przyjazdu Ignacego Potockiego i Kołłątaja, zajął się sypaniem okopów ziemnych dla wzmocnienia fortyfikacyj Krakowa, koncentrował rozproszone w okolicy oddziały wojsk polskich, tworzył milicję mieszczańską, sam mustrował żołnierzy, był wszędzie, wszystkiem się zajmował, wszystkich ożywiał swoim duchem i swoją energją. Najważniejszą i najpierwszą jego troską było pomnożenie sił zbrojnych. Siły te miały się składać z trzech formacyj: z żołnierza linjowego, z milicji i z pospolitego ruszenia. Pierwszą pomnożyć mieli „rekruci dymowi," jeden żołnierz z pięciu „dymów." Rekrutów tych, wyekwipowanych należycie, obowiązani byli dostarczyć dziedzice, którym polecono obchodzić się z włościanami łagodnie i zachęcać lud wiejski, by dobrowolnie wstępował do szeregów. Do służby w milicji powołana była młodzież w wieku lat 18

do 28, wreszcie reszta mężczyzn stanowić miała pospolite ruszenie.

Przy formowaniu oddziałów z włościan wielkie zasługi położył generał ziemiański Gabrjel Taszycki, ofiarny, dzielny patrjota, który wraz z komisarzem porządkowym, Andrzejem Ślaskim, ogromnie o powiększenie sił powstania zabiegał.

Pod wpływem wypadków obudziła się w obywatelstwie ofiarność patrjotyczna i składki a dary na zasilenie funduszów powstańczych szerokim popłynęły strumieniem. Taszycki, oprócz sumy w gotówce, ofiarował srebra wartości blisko 20,000 złp. Kapostas dostarczył 5,000 kos, posypały się ofiary od okolicznej szlachty i mieszczaństwa w pieniądzach, w kosztownościach, w furażu, w broni, a znaleźli się i włościanie, którzy się swojemi darami do ofiarności przyłożyli, składając pierwszy dowód, że głos Kościuszki dotarł do chat wieśniaczych i nie przeminął bez echa.

Naczelnik, wglądając niezmordowanie we wszystkie czynności, śledził jednocześnie z największą uwagą ruchy wojsk tak polskich, jak rosyjskich, które już wiodły ze sobą utarczki. Generał-major Manget, wysłany z Krakowa, na czele brygady kawalerji za uchodzącym Łykoszynem, szedł trop w trop za nim aż do Opatowa. Natrafiwszy tutaj na znaczniejsze siły rosyjskie, cofnął się do Pińczowa, gdzie z jazdą swoją stał Madaliński. A Moskale koncentrowali się w Skalmierzu. Zanosiło się na bitwę i to na pierwszą bitwę, a od zwycięstwa lub klęski w samych początkach powstania wiele zawisło w przyszłości. Klęska mogła w samym zarodku rozwiać zapał, budzący się w kraju i najfatalniej wpłynąć na wiarę w powodzenie sprawy, może nawet całkiem tę wiarę zabić. Zwycięstwo najpiękniejsze zapowiadało skutki.

Więc Kościuszko, zostawiwszy w Krakowie małą załogę pod komendą generała Wodzickiego, sam 1-go kwietnia opuścił miasto i wymaszerował na czele dwu bataljonów, by stosownie do ułożonego planu połączyć się z innemi oddziałami i ruszyć przeciw wrogowi.

Los powstania przenosił się na plac boju.

IV.

BITWA POD RACŁAWICAMI.

Kościuszko szedł z Krakowa traktem lubelskim przez Mogiłę, Pleszów, Kocmyrzów, do Luborzycy, gdzie jednocześnie przybyli ze swoją jazdą generałowie Manget i Madaliński. Stawił się tu również pułk piechoty imienia hetmana Ożarowskiego, głośnego przedawczyka i zdrajcy. Nadciągnęły inne drobne oddziały. Razem siły Kościuszki wynosiły 5 bataljonów piechoty i 22 szwadrony jazdy, niespełna 4.000 żołnierzy i 12 armat małego kalibru.

Po sprawieniu szyków dnia 3 kwietnia Kościuszko posunął się do Koniuszy.

Tutaj komisarz porządkowy, Andrzej Ślaski, przyprowadził 2.000 „rekrutów dymowych," uzbrojonych w piki, siekiery i kosy. Byli to włościanie z okolic Krakowa świeżo oderwani od zajęć gospodarskich. Bez broni palnej, nieobeznani z wojną, niewyćwiczeni, mieli niebawem wykazać, że nie brak im ducha rycerskiego i że kosa w krzepkich rękach chłopa straszną jest bronią.

Kościuszko z całą tą siłą, zaledwie 6.000 głów liczącą, ruszył drogą, wiodącą do Skalmierza, gdzie z różnych stron ściągnięte wojska rosyjskie pod wodzą generała De-

nisowa przygotowywały się do rozpoczęcia kroków zaczepnych. W chwili, gdy Kościuszko wstępował na drogę do Skalmierza, z przeciwnej strony maszerował już nieprzyjaciel. Starcie było nieuniknione. Siły rosyjskie wynosiły również 6.000 ludzi, ale składał je żołnierz regularny, obeznany z wojną, a nadto zbrojny w liczniejszą, niż Polacy, artylerję, gdyż Moskale mieli dział 30. Denisow, otrzymawszy mylne doniesienie, że wojsko polskie posuwa się ku Koszycom, wysłał tam część swoich sił, sam z drugą częścią pozostał w Skalmierzu, a silną kolumnę pod wodzą generała Tomasowa pchnął na drogę, którą szedł Kościuszko.

Rankiem, dnia 4 kwietnia, w okolicy Racławic, jazda polska spotkała forpoczty kozackie i rzęsistym ogniem zmusiła je do ucieczki. Były to przednie straże generała Tormasowa.

Kościuszko, ostrzeżony o zbliżaniu się znaczniejszych sił nieprzyjacielskich, uszykował swe wojsko do bitwy.

Moskale zajęli mocną pozycję na górze Kościejowskiej, wojska polskie rozłożyły się na przeciwległem wzgórzu pod wsią Dziemierzyce. Osią pozycji polskiej stała się kręta droga, wiodąca do Działoszyc, a idąca przez Racławice i górę Kościejowską ku Dziemierzycom. U wylotu tej drogi rozkazał Kościuszko ustawić baterję z 6 armat, sam objął dowództwo nad środkiem, położonym po lewej stronie od drogi, lewem skrzydłem z drugiej strony tej samej drogi, a częściowo zasłoniętem przez zagajniki, komenderował generał Zajączek, prawem skrzydłem, przytykającem do głębokiego wąwozu, dowodził generał Madaliński.

Kosynierzy stali w odwodzie, ochraniani, jak ramionami, przez oba skrzydła polskie i niby piersią, wysuniętą naprzód, osłonięci od wroga przez tę część wojska, które

stanowiło środek. Ustawieni na pochyłości wzgórza, byli dla Moskali całkiem niewidoczni.

Tormasow nie przeszkadzał zajęciu pozycji i nie przejawiał jakoś ochoty do bitwy. Skorzystał z tego Kościuszko i dla wzmocnienia stanowisk, rozkazał usypać kilka szańczyków. Dokonawszy tego, czekał spokojnie, aż atak rozpoczną Moskale. Była już godzina pierwsza. Ale i Moskalom, usadowionym na stromej górze, nie śpieszno było do boju. I oni czekali na kroki zaczepne ze strony Polaków, a że w dodatku Tormasow miał zapowiedziane przybycie reszty sił rosyjskich pod Denisowem, więc trwał bezczynnie i żadnych nie wydawał rozkazów. W ten sposób obie armje stały nieruchomo i, jak świadczy Zajączek, „patrzyły na siebie więcej niż dwie godziny bez najmniejszego poruszenia".

Dopiero o godz. 3-ej Tormasow, zniecierpliwiony bezczynnością, a przekonany, że Denisow niebawem nadciągnie, postanowił rozpocząć bitwę. Wojsko polskie dostrzegło śród Moskali nagłe poruszenie, ale lasy i wzgórza przeszkadzały zorjentować się, jaki cel mają przedsięwzięte manewry. Już myślano w obozie polskim, że Rosjanie szykują się do odwrotu, gdy nagle krętą drogą, spuszczającą się z góry Kościejowskiej ku Dziemierzycom, zaczęła spływać kolumna nieprzyjacielska, prowadzona przez samego Tormasowa. Na lewe skrzydło polskie wiódł ją dowódca rosyjski.

Rzęsistym ogniem przywitało ten atak sześć armatek polskich, ustawionych na drodze, i celnemi strzałami wielkie zamieszanie uczyniło w następujących szeregach. Zachwiali się Moskale i nagłym zwrotem zmienili kierunek ataku, zwrócili się na lewo i ruszyli ku pozycjom, których bronił Kościuszko. Teraz prażyć ich zaczął ogień baterji polskiej z prawego skrzydła i rzęsisty deszcz karabinowy.

Ale Moskale mężnie wytrzymywali ogień i chociaż gęstym trupem zaścielali drogę, wciąż posuwali się naprzód.

Jednocześnie od wsi Racławice posuwała się druga kolumna rosyjska pod wodzą mężnego podpułkownika Pustowałowa, złożona z kozaków i bataljonu słynnych jegrów jekaterynosławskich. Kolumna ta, mająca okrążyć wojsko polskie od lewego skrzydła, wynurzyła się niespodziewanie z poza osłaniających ją wyniosłości. Zaledwie ją dostrzeżono, już zerwali się kozacy i, rozpuściwszy konie, zbliżali się ku pozycjom polskim, jak szumiąca rozwiana chmura, pędzona wichrem po ziemi. Zajączek rozkazał kawalerji narodowej powstrzymać śmiały zapęd kozaków. Na ten rozkaz dwa szwadrony oderwały się od lewego skrzydła i pomknęły ku nieprzyjacielowi. Ale paniczykowie, służący w tych szwadronach, fatalnie się spisali. Odrzuceni pierwszym impetem wyjącej burzy kozackiej, podali tył i najhaniebniej zemknęli z placu boju. Część ich, gnana strachem, dopadła aż do Krakowa i tutaj, ratując swoją reputację kłamstwem, zaalarmowała całe miasto złowrogą wieścią o doszczętnem zniesieniu wojsk powstańczych i o śmierci Kościuszki.

Groza i przerażenie padło na starą Polski stolicę. Na szczęście, kłamstwo wydało się niebawem i nową hańbą okryło uciekinierów.

To pierwsze starcie, acz fatalne uczyniło wrażenie, nie miało następstw poważniejszych. Kościuszko wzmocnił zaraz Zajączka kawalerją z prawego skrzydła. Ale i Moskalom nadbiegli w pomoc husarze pod wodzą pułkownika Muromcewa. Zajączek rzucił zaraz posiłki na jazdę rosyjską. Trzy razy kawalerja polska szarżowała konnicę nieprzyjacielską i trzy razy została odparta. Wzmagał się bój zażarty i ważyło się zwycięstwo, a zdawać się mogło, że na lewem skrzydle górę biorą Moskale.

Położenie niebawem pogorszyło się znacznie, gdyż Tormasow przebył najniebezpieczniejszą część drogi, ustawił swoje armaty i jął walić z nich do szeregów polskich, jednocześnie zaś wyłoniła się z lasów trzecia, najmocniejsza kolumna rosyjska i zmierzać zaczęła ku prawemu skrzydłu, osłabionemu znacznie przez odesłanie kawalerji na pomoc Zajączkowi. Był to sam Denisow, który, słysząc huk armat, śpieszył swoim z pomocą.

Chwila była krytyczna.

Ale Kościuszko zmierzył ogrom niebezpieczeństwa i w lot ocenił sytuację.

Rozkazał więc kawalerji Madalińskiego, nie bacząc na to, że Zajączek znajdował się w ciężkich opałach, wracać na dawne stanowisko i w razie potrzeby stawiać czoło Denisowowi, sam zaś nagłym rzutem postanowił zmiażdżyć kolumnę Tormasowa, nimby Denisow zdążył nadciągnąć. W tym celu rozkazał brygadjerowi Mangetowi bagnetem uderzyć na piechotę Tormasowa, a sam na czele kosynierów zdecydował ruszyć na grające armaty rosyjskie. Dwie kompanje piechoty pod kapitanem Nideckim otrzymały rozkaz wspomagać to przedsięwzięcie. Naczelnik, wydawszy Nideckiemu rozkazy, podjechał do stojących w odwodzie krakusów, zabrał ze sobą 320 uzbrojonych w kosy chłopów, przyprowadził na wzgórze i wskazał im ziejące ogniem działa moskiewskie.

Byli to sami rekruci i pierwszy raz w życiu oglądali bitwę, a przecież nie stracili serca. Patrzyli w Naczelnika, jak w tęczę, gotowi ruszyć, dokąd im każe. A Kościuszko, szablą wskazując kierunek, zawołał:

— Zabrać mi, chłopcy, te armaty! Bóg i Ojczyzna! Naprzód, wiara!

Na taką komendę biegiem puścili się chłopi, a dla dodania sobie ducha, okropne zaczęli wydawać okrzyki.

A tuż obok jechał konno Naczelnik i wiódł do boju to wojsko, jakiego świat jeszcze nie widział. Ponad barwnemi sukmanami krakusów wznosiły się błyszczące kosy, a zamiast komendy słychać było tylko owe straszne, krew w żyłach mrożące okrzyki i rozgłośniejsze jeszcze, a z końca w koniec kolumny lecące nawoływania:

— Szymku, Maćku, Bartku, a dalej!

Zagrały armaty rosyjskie i ogniem a żelazem zionęły w pędzącą kolumnę. Kilkunastu chłopów runęło na ziemię, kilkanaście strasznych jęków rozdarło powietrze. Ale kosynierzy rwali niewstrzymanie naprzód i jak hucząca lawina zbliżali się ku wrogom. Raz jeszcze narychtowali działa Moskale i raz jeszcze dali ognia, ale nim zdążyli wystrzelić po raz trzeci, już cała gromada zwaliła się na pierwszą baterję, w mgnieniu oka wyrąbała kanonierów i zdobyła trzy nieprzyjacielskie armaty. Pierwszy dopadł tu gospodarz ze wsi Rzędowice, Wojciech Bartos, i czapką krakuską, zerwaną z głowy, zatkał paszczę moskiewskiego działa.

Wtedy grenadjerzy rosyjscy zerwali się do ataku i spróbowali zatrzymać ów barwny wał chłopski, przewracający wszystko na swej drodze. Regularny żołnierz rosyjski szedł zmierzyć się z chłopem polskim, zaledwie parę dni temu oderwanym od pługa. Lecz już rozgrzali się rekruci, już owiani ogniem i dymem, zbryzgani krwią, wpadli w dziki szał bojowy. Nie ustraszyli się nowej przeszkody, lecz wsparci dwiema kompanjami kapitana Nideckiego, ścianą runęli na wroga. Usiłowali bronić się grenadjerzy, ale wtedy wzniosły się w górę straszne kosy i, jak błyskawica, opadły na zagradzające im drogę szeregi. Przeraźliwy jęk niewypowiedzianej trwogi rozległ się dokoła i nagle zamilkł, jak zduszony. Chłopi pędzili dalej. Tylko za nimi, jak snopy, rozrzucone po polu, leżały okropnie

poćwiartowane ciała grenadjerów. Na widok strasznej a nieznanej broni i niewidzianego żniwa śmierci dalsze szeregi rosyjskie podały tył i zaczęły uciekać w szalonym popłochu, „rzucając broń i patrontasze". Dopędzali ich chłopi, a gdzie śmignęła kosa, tam walił się żołnierz rosyjski i ginął rażony kosą, jak piorunem. Nadaremnie przerażeni Moskale krzyczeli: pardon! Rekruci nie rozumieli jeszcze, co znaczy to słowo, a w ogniu bitwy tak wielka namiętność w nich rozgorzała, że niczem nie można było ich powstrzymać. Nigdzie też bagnet pola nie dotrzymał kosie. Legli pokotem grenadjerzy, cała kolumna Tormasowa, poniósłszy okropne straty, poszła w rozsypkę. Nowych 8 armat zdobyli krakusi.

Atak ten rozstrzygnął los bitwy.

Generał Denisow, który rozpoczął już przeciw prawemu skrzydłu ogień armatni, widząc zupełny pogrom Tormasowa i uciekających w popłochu niedobitków jego kolumny, wolał nie próbować szczęścia w toczącej się bitwie. Więc kazał zamilczeć swojej artylerji, poczem sformował czworobok i, z duszą na ramieniu, uchodził czemprędzej pod osłoną pagórków i lasów.

Lecz walka trwała na lewem skrzydle. Mężny Pustowałow, przedzielony od swoich lasem, uparcie toczył bój z Zajączkiem, a nie wiedząc nic o klęsce, jaka spotkała Tormasowa, ani myślał ustępować z placu. Kościuszko skrzyknął resztę oddziałów, które dotąd nie brały udziału w walce, i poprowadził je na pomoc Zajączkowi. Przekonawszy się, że piechota polska ciężkie ponosi straty, stojąc w miejscu i plutonowym ogniem odpowiadając na strzały nieprzyjaciela, sformował jeden bataljon i sam stanąwszy na jego czele, bagnetem postanowił zakończyć toczoną przez Zajączka walkę. Za przykładem Kościuszki poszedł dzielny major Lukke i z karabinem w ręku drugi bataljon

poprowadził do ataku na bagnety. Zawrzał bój zacięty. Mężnie bronili się sławni jegrzy jekaterynosławscy, a dzielny Pustowałow do ostatniej chwili, jak lew stawiał czoło niebezpieczeństwu. Ale Polacy brali górę i mimo rozpaczliwego oporu walka i tutaj zakończyła się całkowitym pogromem Moskali. Padł Pustowałow, okryty trzynastoma ranami, dostał się do niewoli pułkownik huzarów Muromcew i jeszcze jedna armata stała się zdobyczą Polaków.

Resztki jazdy rosyjskiej w ucieczce szukały ratunku.

Bitwa była skończona.

800 żołnierzy rosyjskich zaległo trupem plac boju, 12 armat z amunicją i zaprzęgami dostało się w ręce zwycięzców. Polacy stracili 100 zabitych i tyluż rannych. Jeńców wzięto bardzo niewielu, gdyż kosynierzy nikomu nie dawali pardonu, a zaciętość boju na lewem skrzydle również na branie jeńców nie pozwoliła.

Była godzina ósma.

Mrok gęsty słał się na pobojowisku, zamilkły strzały i tylko przerażające jęki rannych i konających rozlegały się w ciemnościach zapadającego wieczoru. Kosynierzy ławą rzucili się na poszukiwanie zdobyczy i obdzieranie trupów, a wogóle młode szyki polskie, choć odniosły zwycięstwo, tak się połamały i pomieszały ze sobą, że nieład okropny zapanował w armji. Niepodobna było myśleć o pogoni i o zupełnem rozgromieniu pierzchającego wroga.

Dokoła Kościuszki tłoczyli się wojownicy, a radość z odniesionego zwycięstwa w pierwszem starciu z Moskalami, wszystkie przepełniała serca. Z uniesieniem wołano:

— Vivat naród! vivat wolność!

Naczelnik dziękował oficerom i żołnierzom za okazaną waleczność, a szeregi odpowiadały mu potężnym, jako grzmot, okrzykiem:

— Vivat Kościuszko!

A echa tych okrzyków dotarły do wszystkich zakątków rozszarpanej Ojczyzny i wszędzie obudziły zapał i nadzieję.

— Naród powstał! Kościuszko na czele! — powtarzano z ust do ust i z krańców w krańce Rzeczypospolitej leciała wieść radosna i wlewała nowe życie w strapione nieszczęściami serca i uzbrajała ręce patrjotów.

W ten sposób nieznaczne zwycięstwo wywierało olbrzymi wpływ na umysły i w całej Polsce święciło wielki triumf moralny. Podnosił się z błota hańby sponiewierany majestat wolnego narodu i z mieczem w ręku upominał się o należne mu prawa.

A cud ten sprawił nowy obywatel polski, chłop z okolic Krakowa: na ostrzu jego kosy rozbłysła nadzieja narodu i niby słońce zaświeciła nad nieszczęsnym krajem.

Potężna, a nieznana jeszcze siła wkraczała na widownię powstającej Polski.

V.

KRWAWE DNI W WARSZAWIE.

Tymczasem w Warszawie, jakby nic nie zaszło w kraju, po dawnemu rządził wszechwładny ambasador imperatorowej. Przed wolą jego gięła się przedajna i służalcza Rada Nieustająca, korzył się król, płaszczyła się gromada przedawczyków i zdrajców, co wraz z królem czerpała obficie ze szkatuły ambasadora i w złocie moskiewskiem topiła swój honor i swoje sumienia. Szpiegostwo, denuncjacje, areszty srożyły się codziennie i na każdym kroku zagrażały patrjotom. Zmieniła swój wygląd Warszawa. Już przy rogatkach miejskich stały straże rosyjskie i najszczegółowiej rewidowały każdego, kto wjeżdżał, lub wyjeżdżał z miasta. Wszystkie przedmieścia zajmowały wojska rosyjskie, na ulicach w śródmieściu stała pod bronią piechota, a w dzień i w nocy zwracały uwagę przechodnia rozstawione w różnych punktach stolicy, a gotowe do strzału armaty.

Wieść o powstaniu obywateli Województwa Krakowskiego wywołała nowe środki ostrożności i nowe zarządzenia. Igelström zażądał od Stanisława Augusta, aby wydał uniwersał przeciw „okazującym się w kraju rozruchom“, a posłuszny król i przedajna Rada Nieustająca natychmiast



JAN KILIŃSKI

rowi, aby wszelkiemi sposobami tłumił zarzewie buntu, a patrjotów wysyłał do miejscowości, w ktorych złe zamiary nie mogą już być groźne. Sługa carycy stosował się do tych wskazówek, a jednocześnie największą czujność zalecał komendantom poszczególnych oddziałów garnizonu swego w Warszawie.

Nie były to obawy przesadzone, aczkolwiek Igelström nie przypuszczał nawet, jak silny jest spisek i jak szeroko sięga swemi rozgałęzieniami. Przyzwyczajony do ślepej uległości Polaków, liczył na oddanych sobie służalców, sądząc, że mają jeszcze jakieś wpływy, a nie wiedząc, że jedynie bagnety moskiewskie utrzymują ich na widowni. I „hetman" Ożarowski łudził się razem z Igelströmem. Pułkownikowi Hiżowi, komendantowi gwardji pieszej koronnej, wydał nawet rozkaz, aby wojsko rosyjskie uważał „za przyjacielskie" i stale się z niem porozumiewał, a „obywatelów miasta, z pod przemocy dźwigających się, jako burzycielów spokojności traktował". Nie przeczuwał, że gwardja w całości swojej składa się z owych „burzycielów" i, jak inne pułki polskie, marzy tylko o tem, by wystąpić do walki z przemocą.

Istotnie zbliżała się godzina porachunku.

Uwięzienie generała Działyńskiego i przymusowa ucieczka Kapostasa zadały cios sprzysiężeniu, ale nie przerwały pracy, prowadzonej w podziemiach stolicy. Spiskowi stracili przywódcę, ale nie stracili ducha i nie wyrzekli się swoich zamiarów. Teraz, gdy zbliżała się chwila działania, przywództwo ujęli w swe ręce wojskowi, a najczynniejsi byli oficerowie artylerji konnej, wyborowy korpus wojska, najlepiej wyćwiczony i najlepszym ożywiony duchem, gdyż nawet szeregowcy należeli do spisku i zajmowali się agitacją patrjotyczną. Czynni byli i „Działyńczycy", a dwaj oficerowie tego pułku, major Zeydlic i kapitan Mycielski, szczególniejszą odznaczyli się gorliwością. Lecz nie było

teraz w spisku widomego przywódcy: nie jednostki, lecz masa pracowała już nad zorganizowaniem walki.

Z wyższych wojskowych należał do spisku komendant Warszawy, generał Cichocki, a pomoc jego była niezwykle cenna, gdyż Cichockiemu ufał Ożarowski, dzięki czemu nieraz udawało się uśpić czujność Igelströma. Duże zasługi położył również pułkownik artylerji, Krystjan Gotfryd Deybel de Hammerau oraz podpułkownik artylerji, Ludwik Dobrski. Wogóle jednak wyżsi wojskowi niechętnie należeli do spisku, acz nie wymawiali się od udziału, gdy godzina czynu wybije. Tak np. pułkiem „Działyńczyków", na których, jako na ulubieńców swoich, najbardziej liczyła Warszawa, dowodził pułkownik Filip Hauman, dzielny żołnierz, okryty sławą już na polach Zieleńca i Dubienki, a cieszący się zaufaniem Kościuszki. Ten ociągał się, gdy go chciano wciągnąć do spisku, śmiało jednak oświadczył:

— Gdy się zacznie, będę bił, naturalnie nie swoich, tylko Moskali...

Później przecież, gdy rozpoczęły się ostateczne przygotowania, czynnie je popierał.

Z cywilnych, cieszących się powagą i znaczeniem w Warszawie, ale od roboty spiskowej stroniących, pozyskano Ignacego Zakrzewskiego, prezydenta Warszawy, człowieka zacnego, a więc przez Targowicę zrzuconego z urzędu. Wciągnięty został również Józef Wybicki oraz kilku przedstawicieli zamożniejszego mieszczaństwa, jak Wulfers, Gautier i Rafałowicz. Z dawnych spiskowych wielką czynność rozwinął ksiądz Meier, uważany za najzawziętszego z „jakobinów", człek niezwykle zapalony, gwałtowny, a straszną nienawiścią pałający zarówno ku Moskalom, jak i ich polskim służalcom. On to pozyskał dla spisku człowieka, którego imię miało zdobyć niebawem olbrzymi rozgłos i wielką w całej Polsce popularność.

Człowiekiem tym był radny miejski, szewc Jan Kiliński.

Imię Kilińskiego wielka opromienia chwała, choć nieco inaczej wygląda ta ciekawa postać w świetle historji, niż w tradycji, którą zostawiła po sobie. Był to niewątpliwie patrjota szczery, natura czynna, ruchliwa, śmiała, ale zarazem gębacz i zarozumialec z niego był wielki, traktował siebie i rolę swoją w spisku z ogromną przesadą, chwalić się lubił bez miary, a i do kielicha zaglądał zbyt często. To przecież pewna, że umiał zdobyć popularność w mieście, zwłaszcza śród rzemieślników, że trząsł cechami, że mu nie brakło rezolucji, fantazji, ani odwagi, że zdołał zjednać ogromną liczbę mieszkańców stolicy dla sprawy powstania i że gorący patrjotyzm kierował jego krokami. On to wraz z księdzem Meierem szalał później na bruku stolicy, gdy trzeba było rozprawiać się z Moskalami.

Od chwili, gdy przyszła wieść o bitwie pod Racławicami, wzmogła się czujność Igelströma. Uspokajał go w dobrej wierze „hetman" Ożarowski. Wprowadzany w błąd przez generała Cichockiego, upewniał ambasadora, że nic Moskalom w Warszawie nie grozi. Ale codziennie mnożyły się oznaki, świadczące, że niezadowolenie mieszkańców wzrasta, codziennie ukazywały się przylepiane do murów miejskich kartki i afisze, ziejące nienawiścią do Moskali, i codziennie szpiedzy Igelströma przynosili mu jedne i te same wieści o rosnącem w stolicy wzburzeniu. Ale załoga rosyjska w Warszawie liczyła 8.000 głów, a wojsko polskie nawet połowy tej liczby nie dosięgało. Nadto na Powązkach stał generał pruski von Wolcky z 1.500 żołnierzy, a Igelström mógł liczyć, że w razie potrzeby otrzyma od niego posiłki. Ta przewaga sił i przekonanie, że, w razie wybuchu, część wojsk polskich stanie po stronie Moskali, sprawiały, że Igelström czuł się dość pewnym,

a przedsięwzięte środki ostrożności umacniały go w przeświadczeniu, że zaskoczyć się nie da. Rosyjski generał-kwatermistrz Pistor radził przecież otoczyć niespodziewanie w nocy koszary Działyńczyków, których najbardziej się obawiano, a potem opanować arsenał i w ten sposób uniemożliwić powstańcom wszelki wysiłek zbrojny. Jeszcze dalej poszli zaprzedani Moskwie Polacy. Opinja powszechna oskarżała Kossakowskiego, że podał plan innego zamachu. Radził mianowicie, aby podczas rezurekcji, którą o jednej i tej samej godzinie wyznaczyć miano we wszystkich świątyniach, otoczyć kościoły wojskiem moskiewskiem i nie wypuszczać z nich nikogo, a ubezwładniwszy w ten sposób ludność miejską, rozbroić wojska polskie, opanować arsenał i uwięzić spiskowców.

Trwożne wieści krążyły śród ludności. Mówiono o rzezi, którą Moskale szykują, o zamierzonem podpaleniu przedmieść, o przygotowywanych napadach na domy poszczególnych obywateli. A faktem było, że w dniu 16 kwietnia Igelström zażądał od Rady Nieustającej aresztowania dwudziestu patrjotów.

Dowiedzieli się o tem spiskowi. Wobec groźnego położenia i możliwości zamachu ze strony rosyjskiej, zdecydowano uprzedzić wypadki i wybuch powstania wyznaczono ostatecznie na noc z Wielkiej Środy na Wielki Czwartek, czyli z dnia 17 na 18 kwietnia.

Nadzwyczajnie trudne zadanie mieli przed sobą powstańcy. Moskale nie tylko rozporządzali siłą dwukrotnie liczniejszą, ale opanowali wszystkie ważniejsze punkty stolicy, a artylerja rosyjska, stojąca w pogotowiu, mogła ostrzeliwać główniejsze arterje miasta i niesłychanie utrudniać łączenie się poszczególnych oddziałów. Nie ulękli się przecież tego zadania patrjoci warszawscy, a wiara w świętość sprawy dodawała im otuchy i pomnażała słabe lecz pło-

miennym zapałem natchnione szeregi wojska narodowego. Z zapałem również gotowało się do boju mieszczaństwo, częściowo zorganizowane w oddziały, częściowo luzem, jak się da, mające szarpać Moskali. Wielu zamożniejszych mieszczan nie wiedziało o niczem, wielu, wiedząc, postanowiło nie wychodzić z domu. Ale rzeźnicy i szewcy, drobni handlarze, stróże, czeladź pańska, robotnicy z młynów i browarów, ulicznicy warszawscy, słowem, mnogi lud miejski, śmiały, rezolutny, dzielny, z upragnieniem czekał sygnału, który go powoła do walki.

Walka ta szczegółowo i starannie była przygotowywana. Plan ułożony został drobiazgowo, a w układaniu jego obok istniejącej wówczas Rady cywilno-wojskowej, o której bardzo mało mamy wiadomości, czynną i wielką rolę odegrać musiał Cichocki, który najlepiej znał dyzlokację wojsk moskiewskich i najwięcej wiedział o zamiarach Igelströma. Wszystkie pułki i wszystkie oddziały polskie otrzymały szczegółowe wskazówki, kiedy mają wystąpić i jakie zająć stanowiska. Nic nie pozostawiano przypadkowi, acz podczas samej walki prawie nieustannie rządził przypadek. Do najgłówniejszych zadań należała obrona arsenału i prochowni, napad na załogi rosyjskie i kwaterę Igelströma, skoncentrowanie poszczególnych oddziałów polskich i ujednostajnienie ich akcji. Plan układano z taką starannością, że nie zaniedbano nawet pomyśleć o rozstawieniu ukrytych straży wkoło pałacu Igelströma, by aresztować wysłańców, niosących wojskom moskiewskim jego rozkazy.

Zbliżała się chwila czynu.

Dzień 17 kwietnia upłynął cicho, spokojnie. Zapadał piękny wieczór kwietniowy i mrokiem otulał nieszczęsną Warszawę. Nic nie zwiastowało przygotowywanych wypadków i zdawać się mogło, że ludność stolicy spokojnie

układa się do snu. Ale w gęstniejących ciemnościach żywo biły serca patrjotów i gorączkowe zniecierpliwienie ogarniało rozpalone głowy. O północy ożywił się nieco ruch w mieście. Spiskowcy roznosili ostatnie rozporządzenia, a oficerowie śpieszyli do pułków, by powiadomić żołnierzy, co stać się ma tej nocy i zapytać, czy chcą być uczestnikami w walce o wyzwolenie stolicy. Wszędzie pytania te żołnierz witał okrzykiem zapału i z największą radością gotował się do boju.

Pikiety kozackie, krążące po ulicach, dostrzegły niezwykłe ożywienie i natychmiast zawiadomiły o tem swoje komendy. Ale ruch ustał, upłynęła godzina, za nią druga, trzecia, w mieście panowała cisza, zdawało się, że Warszawa śpi snem spokojnym, głębokim.

Już brzask rozpraszał ciemności ustępującej nocy, gdy w koszarach mirowskich otworzyły się wrota i wyjechało przez nie 20 dragonów pod wodzą rotmistrza Kosmowskiego. Oddział ten zwrócił się ku Żelaznej Bramie i całym pędem ruszył do ataku na placówkę rosyjską, stojącą z dwiema armatami u wejścia do ogrodu Saskiego. Zorjentowali się Moskale i z obu dział dali ognia. Lecz strzały chybiły, a żołnierze rosyjscy rzucili się do ucieczki. Wnet dragoni porąbali ławety i koła armatnie, poczem zawrócili do koszar i wkrótce cały pułk już bez przeszkody ruszył obsadzać prochownię.

Przebudziła się Warszawa, a mieszczaństwo, świadome rzeczy, wyległo na ulice. Uzbrojone w żelazne drągi, kije, siekiery, dubeltówki, śpieszyło zająć swoje stanowiska, lub pędziło do arsenału, by zaopatrzyć się w broń palną. Tymczasem w arsenale czuwał generał Cichocki. On to miał dać hasło do ogólnego poruszenia. Widząc, że pora zaczynać, kazał wytoczyć z arsenału armatę i kilkunastoma wystrzałami oznajmił patrjotom, że godzina zemsty wybiła.

Na ten sygnał całe miasto zawrzało gorączkowem życiem.

We wszystkich koszarach zahuczały bębny, a dzwony kościelne jęły bić na alarm i trwogę. Okrzyk: do broni! w jednej chwili rozległ się po wszystkich placach, ulicach i zaułkach miasta. Lud prosty wybiegał z domów, a widząc, co się święci, przyłączał się do powstańców i stawał do walki. Już zaczęto dobierać się do Moskali. Olbrzymi zgiełk wypełnił Warszawę. Coraz częściej słychać było ryk armat i grzechotanie karabinów, coraz głośniejsze okrzyki ludu rozlegały się wszędzie. A nad całą tą wrzawą górowały dźwięki dzwonów kościelnych, przeciągłe, głębokie, potężne, podnoszące grozę chwili, lecz zwiastujące zarazem, że uciemiężony naród przebudził się i zmartwychwstał.

Istotnie pohańbiona stolica, jak spętany olbrzym, wstrząsnęła kajdanami i w słusznym porywie swego gniewu, z długo tłumioną wściekłością rzuciła się do walki.

Wszystkie oddziały polskie wypełniły swoje zadanie i, ściśle trzymając się ułożonego planu, zajęły wskazane im stanowiska. Nawet z Pragi w porę nadciągnęła kawalerja narodowa i wzmocniła załogę przy arsenale, z którego broń wynoszono tłoczącemu się ludowi. Nawet warty, strzegące Zamku królewskiego, nie mogły ustać na miejscu. Wprawdzie na błaganie Stanisława Augusta żołnierze przyrzekli mu nie opuszczać jego osoby, ale strzały, grzmiące coraz silniej, wzywały ich do boju. Król, widząc, że mimo swych przyrzeczeń zbierają się do odejścia, podbiegł do żołnierzy i starał się ich zatrzymać. Ale wówczas wystąpił z szeregów młody oficer, nazwiskiem Leszczyński, i oświadczył królowi, że muszą iść tam, gdzie wzywa ich honor. Stanisław August odparł, że honor właśnie nakazuje im wytrwać przy osobie króla. Lecz w tejże chwili rozległa się salwa w pobliżu pałacu Igelströma. Dla serca żołnier-

skiego wymowa tych strzałów stokroć była silniejsza od wymowy królewskiej. Cały oddział rzucił się z taką gwałtownością w stronę ulicy Miodowej, że omal nie wywrócił zrozpaczonego, a wszelkiej straży pozbawionego króla.

Porwał się do broni i korpus kadetów, lecz nadaremnie kadeci błagali swoich przełożonych oficerów, aby prowadzili ich do boju.

Oficerowie, faworyci króla, odmówili tej prośbie i żaden z nich nie chciał objąć komendy. Wtedy zrozpaczona młodzież kolegę swojego, kadeta, okrzyknęła jednomyślnie komendantem. A kolegą tym był Józef Sowiński, sławny później generał, ten sam, co w powstaniu następnem okrył się nieśmiertelną chwałą na okopach Woli. Młodziutki komendant natychmiast wyprowadził swój oddział, wpadł z impetem na straż moskiewską, zajmującą posterunek na Dynasach, rozbił ją, zabrał jej armatę i zdobycz tę wraz z wziętym do niewoli oficerem moskiewskim i kilkoma żołnierzami odprowadził na odwach. Później kadeci przyłączyli się do Działyńczyków, bo ten pułk, koło którego tworzyła się legenda bohaterstwa, najbardziej przypadał młodzieży do serca.

I lud zajął swoje posterunki, gromadził się na ulicy Senatorskiej, Długiej, Zakroczymskiej, walczył na ulicach Starego Miasta.

Gdy tak wojsko i lud spełniały znakomicie według planu swoje zadanie, Moskale, acz oddawna wszystkie ich pułki miały wydane rozkazy, co w razie najmniejszego alarmu czynić powinny, całkiem stracili głowę. Kilka bataljonów przybyło zaraz do gmachu ambasady, niektóre oddziały, zaatakowane z furją przez lud, ginęły lub w ucieczce szukały ocalenia, inne jeszcze stały pod bronią, nowych oczekując rozkazów.

Igelström pomyślał przedewszystkiem o zabezpieczeniu ambasady. Więc bataljonami, które się stawiły, obsa-

dził wyloty ulic, prowadzących do ulicy Miodowej, i silnym oddziałem ubezpieczył odwach przy ulicy Podwale, zasłaniający tyły ambasady. Przed frontem od ulicy Miodowej cały bataljon z armatami strzegł przystępu do siedziby Igelströma. Ale satrapa nie czuł się jeszcze bezpiecznym. Więc słał rozkaz za rozkazem do innych pułków, by natychmiast maszerowały do głównej kwatery. Wyjątek stanowiło wojsko, przeznaczone do powstrzymania Działyńczyków, gdyby ci wtargnęli do miasta. Nie wiedział tylko Igelström, że lud czuwa nad ambasadą i że gońców swoich wysyła na śmierć niechybną.

W kilku punktach srożyła się walka.

Oddziały wojska i ludu ze wszystkich stron zaczęły obsadzać ulicę Miodową, zapchaną Moskalami. Z ogrodu Krasińskich grzmiały trzy polskie armaty i grzechotały karabiny na placu Krasińskich. Moskale również odpowiadali ogniem armatnim, a po pewnym czasie natarli z bagnetami na tłum, zgromadzony na placu Krasińskich. Atak się udał, ale już ulicą Długą posuwał się nowy oddział i, narychtowawszy armatę, jął prażyć Moskali. Ci znowu bagnetem odparli to niespodziewane natarcie i zabrali nawet armatę, ale powstańcy, odepchnięci, zjawiali się znowu, jak fala nieustannie wracająca i coraz natarczywiej dążąca do celu. Inny oddział moskiewski również bagnetami próbował oczyścić ulicę Senatorską, ale przywitany ogniem armatnim i rzęsistym deszczem kul, padających z dachów, z suteryn i okien domów, cofnął się pośpiesznie na dawne stanowisko.

Srożyła się również walka na ulicach: Świętojerskiej, Franciszkańskiej, Zakroczymskiej, na Lesznie, a wszędzie wojsko dzielnie przez lud było wspomagane. Z zaciętością straszną walczyli powstańcy. Strzelali z okien domów, z dachów, z piwnic, lub w starciu pierś o pierś razili prze-

ciwników uderzeniami pałaszów, siekier, drągów. Uwijał się porwany walką ksiądz Meier, a sutannę jego widziano nieraz w miejscach najniebezpieczniejszych, srożył się rzeźnik Sierakowski i szalał Kiliński na czele szewców, krawców i awanturniczej młodzieży. Mieszczanie, choć, jak się Kiliński wyraził, nie znali „taktyki, ani praktyki", bili się z nadzwyczajną zaciętością, nieraz nawet na brzuchach czołgali się po bruku i z dubeltówek strzelali do Moskali, jak „do kaczek". Inny pamiętnikarz powiada, że z zamożniejszego mieszczaństwa tylko najzawziętsi odważyli się iść na pomoc powstaniu. Natomiast „grupy ludu walczącego składały się z rękodzielników, ich czeladzi, służących, dozorców, parobków i Żydów, z których ostatni zaszczytnie się odznaczali". I generał rosyjski, Pistor, acz w słowach najobelżywszych, stwierdza niezwykłą odwagę ludu warszawskiego, który gromadkami po kilkadziesiąt osób atakował często z powodzeniem o wiele liczniejsze i dobrze uzbrojone oddziały moskiewskie.

Już kilka godzin trwał bój zażarty, a Działyńczycy, na których powstańcy liczyli najbardziej i których najbardziej lękali się Moskale, nie przystąpili jeszcze do działania. Nie zawiódł przecież oczekiwań ten świetny pułk, będący chlubą i nadzieją Warszawy! Z bronią u nogi, w pełnem pogotowiu bojowem stał od świtu w koszarach swoich, położonych w końcu Alei Ujazdowskiej, ale nie mógł wyruszyć odrazu, gdyż czekał na konie, które obiecano przysłać, a bez których niepodobna było zabrać ze sobą trzech armat, znajdujących się w koszarach. Koni nie przysyłano. A z miasta dochodziła potężna wrzawa, huk strzałów i dźwięki dzwonów, nawołujących do boju wiernych Polski synów. Niecierpliwili się żołnierze i, obstąpiwszy pułkownika Haumana, ze łzami w oczach naglili go i błagali, aby prowadził ich na odsiecz bijącym się braciom. Ale dowódca nie

chciał pozbywać się armat. Więc rozbiegli się żołnierze, wyłapali, gdzie się dało, konie, zaprzęgli je w mgnieniu oka do armat, do wozów z amunicją i sformowali się do pochodu.

W owym czasie było ich wszystkich w Warszawie 414, ale każdy z nich miał w swojem sercu ową iskrę, która bohaterów stwarza. Wyćwiczeni znakomicie, sprawni, dziarscy i zręczni, kochani przez lud warszawski, sami ludu tego dzieci, szli teraz usprawiedliwić pokładane w nich nadzieje, szli pomścić honor żołnierza polskiego i straszne krzywdy Ojczyzny!

Była godzina 6-ta rano, gdy pułkownik Hauman dał nareszcie rozkaz do wymarszu.

Ruszyli Działyńczycy...

Ruszyli marszem przyśpieszonym, gwałtownym, jakby na ratunek umierającej już w szponach moskiewskich stolicy.

Na placu Trzech Krzyży stał z 8 armatami bataljon sławnych jegrów jekaterynosławskich pod dowództwem podpułkownika Klugena. Bataljon ten bronił dostępu do Nowego Światu, a miał rozkaz nie przepuszczać Działyńczyków. Więc Klugen, ujrzawszy maszerujący oddział, wysłał oficera, by spytał Haumana, dokąd to zmierza. Hauman odparł, że ma rozkazy hetmana Ożarowskiego, by szedł do zamku i, nie zatrzymując się na chwilę, maszerował dalej. A maszerował w tak groźnej podstawie, że onieśmielony Klugen nie zaryzykował ponowić swego pytania. Na Nowym Świecie zagrodziły Działyńczykom drogę dwa szwadrony jazdy rosyjskiej pod komendą podpułkownika Igelströma, synowca ambasadora. Hauman znowu powołał się na rozkazy, ale Igelström posłał adjutanta do generała Miłaszewicza, zajmującego posterunek obok kościoła św. Krzyża, z zapytaniem, czy może regiment Działyńczyków przepuścić. I czekał na odpowiedź. Ale nie czekali

Działyńczycy, lecz zuchwale ruszyli naprzód. Jazda rosyjska, jak brama, rozemknięta potężnym pociskiem, rozwarła się przed śmiałym zastępem, wolne zostawiając mu przejście. Z najwyższą nieufnością spoglądali wzajem na siebie żołnierze, ale twarze i ruchy Działyńczyków miały w sobie coś niezwykle groźnego, coś, co wybiło z głowy Moskalom wszelkie zamiary zaczepne. Tak doszli Działyńczycy do ulicy Świętokrzyskiej. Przejścia bronił teraz generał Miłaszewicz. Hauman po raz trzeci powołał się na rozkazy i w sposób stanowczy zażądał, by mu nie stawiano przeszkód w pochodzie. Lecz tym razem podstęp się już nie udał. Wprawdzie Miłaszewicz stropił się i wolał uniknąć walki, ale nie śmiał złamać rozkazu. Może też żywiąc jeszcze nadzieję, że da się ostateczności uniknąć, wysłał adjutanta do Igelströma z zapytaniem, co czynić. Miał pod swoją komendą 500 ludzi i 8 armat, a niebawem wzmocniony został przez kompanję piechoty ks. Gagaryna.

Działyńczycy znaleźli się w trudnem położeniu: przed sobą mieli siłę dwukrotnie większą, za sobą również siły daleko znaczniejsze. Więc Hauman koniecznie chciał się przedrzeć na Krakowskie Przedmieście. Nadjechał generał Mokronowski i w imieniu króla żądał od Miłaszewicza, aby przepuścił Działyńczyków. Gdy mu odmówiono, spiął ostrogami konia i chciał się przerznąć do Haumana. Najeżyły się bagnete rosyjskie i zagrodziły generałowi drogę. Mokronowski dał wówczas za wygraną i ruszył z powrotem do zamku. Z górą godzinę trwały już układy i wojska stały naprzeciw siebie, mierzac się oczyma, wiedząc, że do bitwy dojść musi, a czekając tylko komendy. Wreszcie Hauman, widząc, że układy do niczego już nie doprowadzą, rozkazał swoim dać ognia z armaty. W odpowiedzi na to Moskale sypnęli kartaczami i bój się zaczął. Pierwsza linja Działyńczyków ruszyła natychmiast do ataku na bagnety,

ale widząc ogromną przewagę nieprzyjaciela, rzuciła się na prawo i wtargnęła do klasztoru dominikanów*), z którego rozpoczęła natychmiast gęsty a celny ogień do Moskali. Część Działyńczyków udała się przez Ordynacką, Tamkę i od pałacu Karasia zaczęła razić oddział Miłaszewicza; inna część, przedarłszy się przez Świętokrzyską i przyległe boczne ulice, z przeciwnej strony zagroziła nieprzyjacielowi, wreszcie Hauman z resztą pułku posuwał się Nowym Światem. Miłaszewicz, otoczony niemal ze wszystkich stron, prażony gęstemi strzałami, rozpoczął się cofać, dwie armaty zostawiając na placu. Ale Krakowskiem Przedmieściem od strony zamku walił już lud uzbrojony i śpieszył na pomoc ulubionym żołnierzom. Zawrzała walka zacięta, bezlitosna. Raz po raz rzucali się żołnierze rosyjscy z bagnetami na różne strony, ale, opasani zewsząd, jak obręczą, która tu i owdzie ustępowała, by za chwilę mocniej się jeszcze zacisnąć, zaprzestali daremnych ataków i, sformowawszy czworobok, wpadli na dziedziniec pałacu Małachowskich**). Chcieli stąd przedrzeć się na ulicę Królewską, ale major Zeydlic z garstką Działyńczyków zabiegł im drogę i ostatecznego dokonał pogromu. Padł w tej walce, rażony żelazną sztabą przez młodziutkiego kowalczyka, ks. Gagaryn, do niewoli dostał się generał Miłaszewicz, mnóstwo żołnierzy zaległo trupem dziedziniec pałacowy i Krakowskie Przedmieście, a niewielu tylko w bezładnej ucieczce znalazło ocalenie.

Cztery godziny trwała ta walka, a stanowczem skończyła się zwycięstwem.

Działyńczycy zebrali się na nowo i w sformowanej kolumnie, radzi ze swego dzieła, stanęli na Krakowskiem

---

*) Na tem samem miejscu stanął później pałac Staszica.

**) Dziś pałac Krasińskich.

Przedmieściu. Otoczył ich lud i witał gromkiemi okrzykami radości.

Zwycięstwo to utrwaliło przewagę powstańców, podniosło ducha w stolicy, uradowało walczące mieszczaństwo i okropny popłoch rzuciło na Moskali.

Podpułkownik Klugen, który ze strachu przepuścił Działyńczyków, nie tylko nie przybiegł generałowi Miłaszewiczowi z pomocą, ale słysząc strzały i odgłosy walki, opuścił pozycję swoją na Nowym Świecie i ruszył przez Aleję Jerozolimską ku rogatkom. Tu stał generał rosyjski, Nowicki. Cztery tysiące ludzi z armatami zgromadził pod swoją komendą, lecz przerażony wieściami, które rozbitkowie różnych oddziałów, chroniący się do niego, przynosili, nie tylko nie ważył się na wkroczenie do miasta, ale słysząc o strasznym pogromie Moskali, zdecydował się już opuścić Warszawę. W tej chwili właśnie doszedł go szczęśliwym trafem niezatrzymany rozkaz Igelströma, aby z całą siłą śpieszył ku głównej kwaterze na ulicę Miodową, gdzie walka na jedną chwilę nie ustawała.

I oto stał się fakt niezwykły, przez generała rosyjskiego Pistora opisany, fakt, świadczący, że straszna panika opanowała wojsko rosyjskie.

Generał Miłaszewicz zostawił przy sobie 1.000 żołnierzy, a 3.000 z 16 armatami wysłał na odsiecz Igelströmowi pod komendą podp. Klugena. Groźna kolumna sunęła niebawem przez Marszałkowską, skręciła w Królewską i zbliżała się do placu Saskiego.

Na placu stało kilkudziesięciu powstańców*) z jednem działem sześciofuntowem. Już podchodzili Moskale,

*) Generał-kwatermistrz rosyjski Pistor sam opisuje ten niebywały wypadek. Siły powstańców na placu Saskim wynosiły według niego 50—60 ludzi. Pistorowi, bardzo nieprzychylnemu dla Polaków, można tym razem wierzyć.

gdy wtem zagrzmiała polska armatka i celnym strzałem powitała czoło kolumny. Popłoch ogarnął Moskali. Zamiast uderzyć bagnetem na garstkę źle uzbrojonego ludu, przednie oddziały kolumny wpadły do pałacu Saskiego. Część żołnierzy natychmiast rozpoczęła wewnątrz pałacu niesłychany rabunek, część z okien rozwinęła ogień karabinowy. Nie stropiła się tem dzielna garstka powstańców. Cofnąwszy się z placu, wkroczyła na dziedziniec pałacu brühlowskiego i w bramie pałacowej ustawiwszy swe działo, raz po raz sypała ogniem na plac Saski i hamowała pochód potężnego nieprzyjaciela. Podpułkownik Klugen nie odważył się iść naprzód. Lecz oto od Krakowskiego Przedmieścia ukazał się oddział regimentu Działyńskich. Na ten widok cała groźna 3,000-na kolumna, ogarnięta paniką, zawróciła w miejscu i, zostawiwszy na placu Saskim dwa działa, pośpiesznym marszem wróciła do rogatki Jerozolimskiej.

Wtedy generał Nowicki z całą swą siłą opuścił objętą pożarem powstania Warszawę i ruszył do Karczewa, a po drodze mścił się za swój strach rabunkiem i morderstwami, których z całem okrucieństwem dopuszczało się wojsko rosyjskie na bezbronnych wieśniakach.

A w mieście walka wciąż trwała. Stanisław August chciał pośredniczyć pomiędzy powstaniem a Igelströmem i skłonić tego ostatniego do opuszczenia miasta, ale układy żadnego nie dały rezultatu. Powstańcy brali górę. Arsenał, zaatakowany z trzech stron, odparł zwycięsko wszystkie ataki, a gwardja koronna, stoczywszy walkę z idącym do arsenału bataljonem gen. Tiszczowa, cały bataljon z rannym dowódcą wzięła do niewoli. Lud wraz z wojskiem w różnych punktach miasta toczył walki z pojedyńczemi komendami i nieustannie szturmował kwaterę Igelströma. Od Podwala pomagała ludowi w atakach garść Działyńczyków, a ze wszystkich stron waliło się na gmach

ambasady tyle kul i kartaczy, że słupy dymu, ognia i kurzu, jakby jednym tumanem przesłoniły cały podwórzec. Wściekłość szturmujących rozbijała się o morderczy, nieustający ogień obrońców. I szturm trwał dalej.

O godzinie 5-ej po południu tłum ludu wtargnął na dziedziniec Zamku królewskiego i stamtąd śród radosnych okrzyków wyniósł na rękach generała Mokronowskiego oraz Ignacego Zakrzewskiego. Obu poprowadzono na ratusz. Mokronowski, acz nie należał do spisku i dotąd nie brał w walce udziału, okrzyknięty został komendantem siły zbrojnej województwa mazowieckiego, Zakrzewskiego zaś, zacnego patrjotę, uproszono, by sprawował znowu swój urząd prezydencki, z którego strąciła go zemsta Targowiczan.

Mokronowski był szwagrem Stanisława Augusta, a w tem nagłem wyniesieniu go na zaszczytne stanowisko nie obeszło się bez wpływów króla, który miał swoich stronników i śród zamożnego mieszczaństwa i w niektórych oddziałach wojska. Król bowiem stał się nagle wrogiem Rosji i oświadczał się za powstańcami. Ratował się przed smutnym losem, który na wypadek zwycięstwa insurekcji czekał zaprzedańców moskiewskich. Generał Mokronowski był dla Stanisława Augusta rękojmią, że jako komendant siły zbrojnej nie dopuści do tego, by stolica zażądała od swojego króla rachunku. Zakrzewski acz do stronników króla nie należał, słynął z łagodności i dobroci serca, a takiego prezydenta również król mógł się nie obawiać.

Śród takich wydarzeń słońce chyliło się ku zachodowi i mrok spływał na miasto. Ale nie spała tej nocy Warszawa. Walka nie przestawała się srożyć. Przez całą noc przeraźliwy gwizd kul łączył się z okrzykami tryumfujących powstańców i grobowym jękiem dzwonów, rozkołysanych nad walczącą stolicą. Tu i owdzie słychać było szczęk ręcznej broni, gdzieindziej rozlegały się żałośliwe wołania



OFICER REGIMENTU IM. DZIAŁYŃSKICH

rannych i konających, gdzieindziej jeszcze warczenie bębnów zlewało się z tętentem kopyt końskich, pędzących po skrwawionym bruku Warszawy. Raz wraz ryki armatnie, jak grzmoty szalejącej burzy, rozdzierały powietrze. A nad tą wrzawą pomieszanych głosów, nad całem miastem, drgającem w morderczej walce, rozpięła swój namiot noc jasna, głęboka i cicha.

„Przerażająco piękną nocą“ nazywa ją jeden ze współczesnych.

Mijała ta noc „przerażająco piękna“, wstało słońce i krwawym brzaskiem zalało ulice Warszawy, pełne wojska i zbrojnego ludu.

Dnia tego pałac ambasady rosyjskiej skoncentrował na sobie główne wysiłki powstańców.

W kurzawie ognia i dymu stanęła ulica Miodowa, a na siedzibę Igelströma istną ulewą sypały się w dalszym ciągu kule i pociski armatnie. Moskale bronili się rozpaczliwie. W posiadaniu ich pozostawała już tylko ulica Miodowa, część ulicy Długiej i zdobyty bagnetami plac Krasińskich wraz z pałacem Rzeczypospolitej. Igelström, wierząc, że wojsko rosyjskie przyjdzie z pomocą i uwolni go od tego strasznego oblężenia, trwał na stanowisku i nie chciał opuścić swojej kwatery. Ale spodziewana odsiecz nie nadchodziła, a ogień nie ustawał na chwilę. Więc w obawie, że pałac będzie zdobyty, pozostawił w nim silny oddział pod dowództwem pułkownika Parfieniewa, a sam z otaczającymi go generałami przeniósł się do pałacu Rzeczypospolitej.

Ale i na ten pałac sypały się pociski z armat, ustawionych w ogrodzie Krasińskich, ale i tutaj groziło niebezpieczeństwo, gdyż lud i wojsko osaczały przyległe do placu ulice. Igelström zawiadomił Mokronowskiego, że chce wejść w układy. Istotnie miał już zamiar kapitulować, ale gdy Mokronowski i Zakrzewski zbliżyli się do pałacu, żoł-

nierze rosyjscy, nie wiedząc może, w jakim celu jadą, przywitali ich ogniem karabinowym. Więc walka rozgorzała na nowo. Po chwili przecież na gmachu Rzeczypospolitej ukazała się biała chorągiew. Na ten widok okrzyk triumfu wydarł się z piersi powstańców. Lecz był to triumf przedwczesny. Igelström uległ naleganiom generała Pistora i, korzystając z chwilowego zamieszania, zdecydował się na opuszczenie miasta. Tylnemi ulicami, przez podwórza domów, przez płoty i parkany uchodzili Moskale i, odstrzeliwując się mniej licznym w tych punktach powstańcom, przedarli się na Powązki i dopiero w obozie pruskim znaleźli ocalenie.

Wieść o ucieczce Igelströma, której nie przewidział nowy komendant, generał Mokronowski, podwoiła wściekłość walczącej Warszawy.

W rękach Rosjan pozostawał jeszcze klasztor Kapucynów i gmach ambasady.

Do obu tych punktów przypuszczono najgwałtowniejsze ataki. W klasztorze siekierami rozwalono bramę i z niesłychaną furją rzucono się do szturmu. Powstańcy wciągnęli za sobą na krużganek działo i strzelali z niego wewnątrz samego budynku. Bój z dziką zaciętością toczył się na kurytarzach, w celach, na schodach, aż krew tryskała strumieniami, a stosy ciał, w okropny sposób poćwiartowanych, świadczyły, że zamilkło tu wszelkie uczucie ludzkie, że dzikie krwiożercze bestje rozpętały się w walczących, że rozhukana wściekłość żadnych granic nie miała w tem okropnem miejscu.

Klasztor, dymiący krwią, zdobyty został przez powstańców. Ale pałac ambasady bronił się jeszcze i, jak forteca, wyrzucał niezliczone pociski, grzmiał, błyskał, zionął zniszczeniem i śmiercią. Oblegający chcieli zawezwać broniący się garnizon do poddania, ale Moskale ogniem przywitali trębacza. Wtedy Działyńczycy rozpoczęli gwałtowny szturm

od Podwala, a lud z różnych stron podpalać zaczął to straszne siedlisko przekupstwa, zdrady i gwałtów. Buchnęły płomienie, czarne kłęby dymu, jak całun śmierci, otuliły wszystkie zabudowania ambasady, ogród i przyległe domy. Dzielni żołnierze rosyjscy nie dali za wygraną, lecz z bagnetem w ręku postanowili utorować sobie drogę. I ukazali się w szyku bojowym, by wyjść z czarnej czeluści, lecz ujrzawszy czerwone rabaty Działyńczyków, cofnęli się do płonącego wnętrza. I znów salwa za salwą, jak grom za gromem, wylatywała z gorejących murów. Już lud, nie zważając na grad kul i buchające płomienie, zaczął przystawiać drabiny i rąbać ściany od zewnątrz, gdy nareszcie Działyńczycy z największem męstwem rzuciwszy się naprzód, wtargnęli do pałacu i utorowali drogę zbrojnemu ludowi. Broniących się wykłuto, resztę wraz z pułkownikiem Parfieniewem wzięto do niewoli.

W ten sposób zdobyta została ostatnia placówka moskiewska. Warszawa była wolna.

Ale cały dzień jeszcze i całą noc następną słychać było strzały. To lud kończył dzieło, strzelał się z pomniejszemi komendami rozproszonych Rosjan, wyciągał ich z domów i kryjówek, odstawiał schwytanych na odwach, a co dziwniejsze, przeszkadzał rabunkom, których tu i ówdzie, jak w zdobytem mieście, dopuszczały się pijane gromady maruderów moskiewskich.

Dopiero w pierwszy dzień Wielkiej Nocy spokój zupełny zapanował w mieście.

Te dwudniowe walki blisko 1.000 patrjotów przypłaciło życiem, ale straty rosyjskie były bez porównania znaczniejsze. Z górą 2.000 poległych Rosjan zalegało ulice i prawie drugie tyle jeńców zagarnęli powstańcy. Zabrano nadto armaty, amunicję, broń, a w ocalałych od ognia częściach ambasady znaleziono znaczną sumę w papierach, wiele drogocennych przedmiotów, tajne archiwum, świadczące

o strasznych przekupstwach, o przedajności Targowiczan, o pensjach, które ambasada wypłacała kreowanym przez Targowicę dostojnikom, zabrano wreszcie 95.000 dukatów w złocie, w owem złocie, które splamiło tyle sumień i w otchłań wieczystej hańby pogrążyło tyle nazwisk, nieraz sławnych i w przeszłości dobrze krajowi zasłużonych.

Ulice Warszawy przedstawiały widok straszliwy: wszędzie można było dostrzec pomordowanych ludzi, a trupami Moskali, jak świadczy ówczesna Gazeta Krajowa, „prawie wszystkie ulice i kąty miasta“ były zasłane. Wszędzie widać było pozabijane konie, szczątki mundurów, kaszkietów i wszelakiej broni. Całe kałuże zakrzepłej krwi były wstrząsającem świadectwem srogości dwudniowego boju. Ale na tem pobojowisku, niemym świadku rozpaczliwego męstwa, na tym bruku, tak obficie zroszonym krwią najezdników oraz krwią obywateli polskich i patrjotów-żołnierzy, ukazała się istotna moc powstającego narodu. Zwycięstwo pod Racławicami było wielkim triumfem moralnym i przedewszystkiem moralne miało znaczenie; zwycięstwo, odniesione w Warszawie po dwóch dniach nieustannej walki z wrogiem, od wojska polskiego dwa razy liczniejszym, dobrze uzbrojonym, mężnym, przywykłym do zwycięstw, było już wielkim triumfem wojennym, który ośmielał cały kraj, wykazywał, że powstanie może liczyć na powodzenie, dawał insurekcji, prócz siły moralnej, wielkie korzyści materjalne: stolicę kraju ze wszystkiemi jej zasobami.

Pod Racławicami chłop polski wykazał swą siłę, dni kwietniowe w Warszawie wyniosły na jaw siłę ludu miejskiego. Od wyzyskania obu tych sił i umiejętnego pokierowania niemi wiele zależało w przyszłości.

Świetne początki świadczyły, że powstanie stać się może niezwalczoną potęgą.

VI.

W WYZWOLONEJ STOLICY.

Potęgę tę postanowili rozwijać patrjoci. Wypadki następowały po sobie szybko, powstanie szło naprzód olbrzymiemi krokami. Już dnia 19 kwietnia zgromadzeni w ratuszu warszawskim obywatele podpisali akces mieszkańców Księstwa Mazowieckiego do aktu powstania pod naczelnictwem Tadeusza Kościuszki i ustanowili Radę Zastępczą Tymczasową, która miała być czynna aż do otrzymania instrukcji i rozkazów od Naczelnika.

Do Rady wszedł prezydent Warszawy, Ignacy Zakrzewski, generał Mokronowski, Ksawery Działyński, Józef Wybicki, przedstawiciele zamożniejszego mieszczaństwa, Gautier, Rafałowicz, Wulfers, ze spiskowców, stanowiących „jakobiński“ odłam sprzysiężenia, znaleźli się w radzie Eljasz Aloe oraz Ignacy Zajączek, a z przedstawicieli rzemieślników szewc Jan Kiliński. Reszta członków Rady nie zaznaczyła się wybitniej w działalności, poprzedzającej wybuch powstania, ani też podczas walki na ulicach Warszawy. Kiliński nie był ze składu Rady zadowolony, uważał, że za wiele w niej szlachty, a za mało przedstawicieli ludu, który postawą swoją i udziałem w walce zasłużył na to, aby licz-

niej był reprezentowany. Ale głos ten przebrzmiał bez echa, a wielu niezadowolonych ze składu rządu zaczęło się zbierać i na własną rękę radzić o sprawie publicznej.

W odezwie do obywateli Rada Zastępcza podnosiła patrjotyzm Kościuszki i gorliwość województwa krakowskiego, stwierdzając, że Warszawa, zagrzana dzielnym przykładem, porwała się do oręża, a „Bóg wejrzał na unieszczęśliwiony naród". Odezwa stwierdzała, że w wolnem mieście nie istnieją już niewolnicze ukazy, które „wkładały jarzmo na najcnotliwsze serca", ani też niema zbrojnej ręki, która przemocą ukazy te popierała. „Jedna część nieprzyjaciół naszych padła trupem, reszta wzięta w niewolę, na dowód, że naród, co tyle klęsk wycierpiał, umiał się litować nad tymi, co tylko groźnych ukazów wykonawcami byli, na dowód, że w przedsięwzięciu naszem żadnych krwawych zamiarów, ale tylko samo święte hasło odzyskania wolności przed sobą mieliśmy". Odezwa zawiadamiała w dalszym ciągu ludność o powołaniu na naczelnika siły zbrojnej Księstwa Mazowieckiego generała Mokronowskiego i wzywała obywateli do zjednoczenia wszystkich sił, aby dzieło rozpoczęte mogło być doprowadzone do szczęśliwego końca.

Później powiększono nieco skład Rady powołaniem do niej nowych członków i ustanowiono cztery departamenty: spraw zewnętrznych, wojny, skarbu i policji.

Ogrom zadań stanął przed nową władzą. Na wszystkich dziedzinach życia znać było głębokie ślady drapieżnej ręki ambasadorów rosyjskich, wszystkie trzeba było zreorganizować i przystosować do warunków chwili. Powszechnie zdawano sobie sprawę, że na całym obszarze kraju rozpocznie się wojna, więc przygotowanie siły sbrojnej oraz środków, pozwalających walkę dalej prowadzić, stało się głównem zadaniem chwili. Warszawa była wolna, ale woj-

ska rosyjskie pozostawały w kraju, a Igelström zgromadził niebawem w Łowiczu 7.000 ludzi. W innych punktach również skupiali Moskale swoje wojska, a nie ulegało wątpliwości, że imperatorowa wyśle niebawem tysiące nowych żołnierzy, by władzę swoją przywrócić w zbuntowanej Polsce. Obecność wojsk pruskich i nieświadomość, jak się zachowają, wiele dawała do myślenia.

Rada Zastępcza Tymczasowa żwawo zabrała się do pracy.

Podobnie jak w województwie krakowskiem utworzona została Komisja Porządkowa Cywilno-Wojskowa dla zaopatrzenia potrzeb wojska i uzbrajania narodu, a akt krakowski był wzorem, który i w Księstwie Mazowieckiem starano się wcielić w życie. Wydano więc rozporządzenie, dotyczące powołania i rozkładu na „dymy“ rekrutów, zniesiono wszystkie magistratury przez sejm grodzieński ustanowione, powołano do życia sąd kryminalny, uwięziono zdrajców i ludzi o sprzyjanie Moskalom podejrzanych, zajęto się oszańcowaniem Warszawy, zbieraniem ofiar na potrzeby powstania, słowem, niezliczonemi czynnościami, których wymagała chwila.

Ludność chętnie stosowała się do wszelkich rozporządzeń i nowy ład, a zarazem duch nowy zaczął się utrwalać w stolicy.

Niestety, prezes Rady Zastępczej Tymczasowej, a zarazem prezydent miasta Zakrzewski, patrjota dobry, człek zacny, uczciwy, nie miał w sobie dość energji i zdecydowania, by wykorzystać usposobienie ludu i działaniom Rady nadać ów pęd niewstrzymany, jakiego domagały się okoliczności. Miękki, łagodny, pełen pobłażania, nie był on człowiekiem rewolucji. Wyrozumiały na błędy, posuwał się tak daleko, że powagą swoją osłaniał nawet oskarżonych o zdradę i przestępstwa więźniów, a rodzinom ich udzielał

zapomogi. Komendant zaś siły zbrojnej województwa mazowieckiego, generał Mokronowski, szwagier króla, pozbawiony wiary w ostateczny triumf powstania, obawiający się haseł rewolucji, z nieprzyjaźnią śledził pornszenia ludu. Wogóle śród członków Rady Zastępczej Tymczasowej znalazło się grono osób, na które rewolucyjna Warszawa patrzała pełnem nieufności okiem. I nie bez powodów. Tak np. Wulfers wchodził w konszachty z Moskalami, wziętymi do niewoli, a z archiwum ambasady rosyjskiej starał się usunąć papiery, które najgorsze świadectwo wystawiały królowi.

To też po mieście krążyły zatrważające pogłoski i gniewne podejrzenie coraz wyżej podnosiło głowę. Nienawiść do ludzi, co sumienia swoje splamili złotem moskiewskiem, rosła z dnia na dzień, a pobłażliwość Rady Zastępczej podsycała jeno wzburzenie. Odgrażano się strąconym dygnitarzom i z najżywszą pogardą mówiono o królu. W mieście tworzyły się kluby, o których ze zgrozą myśleli ludzie, mający nieczyste sumienie.

Tymczasem Stanisław August starał się przystosować do nowego położenia. Uważany przez lud za głównego sprawcę podziałów oraz wszelkich klęsk i nieszczęść, trapiących Rzeczpospolitą, wzgardzony od chwili przystąpienia do Targowicy, niebezzasadnie oskarżany o korzystanie ze skarbca imperatorowej, odsunięty teraz od wszystkiego, pozbawiony wszelkiego wpływu na bieg wydarzeń, w jednych budził litość, w drugich odrazę i gniew. Król obawiał się zemsty, a uwięzienie jurgieltników rosyjskich oraz ustanowienie sądu kryminalnego dla rozpatrywania zbrodni, przeciw narodowi popełnionych, przestrachem napełniały Stanisława Augusta. Przed oczyma jego stawało widmo Ludwika XVI, a los tego władcy zimnym lękiem i grozą przeszywał serce królewskie. Więc starał się zaskarbić sobie łaski tych,

co rządzili obecnie, oświadczał się za powstaniem i świecił w oczy frazesem patrjotycznym. Ale nikt mu już nie wierzył. Zbyt powszechnie znane były jego stosunki z Katarzyną i jej ambasadą w Warszawie, zbyt dużo wiedziano o królu, aby świeże jego nawrócenie mogło zyskać wiarę. Lud obawiał się, by król nie uczynił jakiegoś kroku, który cios mógłby zadać powstaniu i podejrzewał go o tajemne intrygi i knowania. W dodatku rozeszła się pogłoska, że Stanisław August na obraz i podobieństwo Ludwika XVI, zamierza uciec ze stolicy i od tej chwili zacieśniała się obręcz osaczających króla podejrzeń.

Rada Zastępcza Tymczasowa, w której zasiadał generał Mokronowski, nadzieja króla i jego rodziny, wysłała delegację do Stanisława Augusta, z prośbą, aby dopomagał usiłowaniom Rady, ale i z zawiadomieniem, że przyrzekła podlegać tylko rozkazom Kościuszki. Delegaci wspomnieli również o ucieczce. Król odpowiedział, że nikt bardziej, niż on, nie pragnie dobra i szczęścia kraju, a zarazem upewniał, że ani myśli z Warszawy wyjeżdżać. Przekonał się jednak, że mu stolica nie ufa, że pozbawiony został wpływu na bieg wydarzeń i od wszelkiej władzy usunięty. Przystosował się do nowych okoliczności i starał się tak postępować, aby przynajmniej na pobłażanie stolicy zasłużyć. W pierwszy dzień Wielkiej Nocy był w katedrze św. Jana na mszy uroczystej i wysłuchał *Te Deum*, które na życzenie Rady Zastępczej odśpiewał prymas, ks. Michał Poniatowski na podziękowanie Bogu za szczęśliwe wyzwolenie Warszawy.

Ale dnia 22 kwietnia zjawił się w zamku członek Rady Zastępczej Tymczasowej, Rafałowicz z eskortą wojskową i z pod oka króla zabrał hetmana Ożarowskiego, który w komnatach królewskich szukał schronienia przed czekającym go wyrokiem sprawiedliwości. Wkrótce potem, mimo

protestów i błagań króla, uwięziony został również na zamku szukający u króla opieki, biskup Massalski.

Drżał król i z trwogą patrzył w przyszłość. Przez dworaków starał się skarbić sobie ufność ludności, ale złowrogie widmo Ludwika XVI coraz częściej musiało stawać przed jego przerażonemi oczyma.

W ostatnich dniach kwietnia, w kościele św. Krzyża odbyło się uroczyste nabożeństwo za poległych. Cała świątynia przybrana była kirem żałobnym, a na olbrzymim katafalku, otoczonym laurami, widniały napisy, oddające cześć poległym za wolność wojownikom. I znowu prymas celebrował, a król, wojskowi, przedstawiciele wszystkich władz i tłumy ludu brały udział w żałobnej uroczystości. Znakomity kaznodzieja, ksiądz Witoszyński wygłosił podniosłe kazanie, a zwróciwszy się do króla, wypomniał mu jego panowanie i straszną przeszłość, na której wspomnienie drży cnotliwy naród. I wołał, że nawet akt powstania nie jest dziełem króla, ale brudna zdrada za przyczynę ostatnich nieszczęść kraju podana. Gdy jednakże kończąc swoje kazanie, ksiądz wspomniał o dobrem sercu króla i wyraził przekonanie, że obecnie król postanowił „mocno i nieodmiennie żyć lub umierać z narodem", Stanisław August powstał ze swojego miejsca i zawołał uroczystym głosem:

— Nie omyliłeś się, tak myślę, jak mówiłeś i tak też postępować będę. Zawsze będę trzymać z narodem, z nim żyć lub umierać pragnę.

Pamiętnikarz, opisujący tę scenę, powiada, że „takie wyznanie króla sprawiło niepospolite wrażenie", gdyż „znano go dobrze i wiedziano, że niekontent był z rewolucji".

Oto do jakich sposobów uciekał się król, oto jaką teatralnością starał się wkupić w łaski ludu warszawskiego. Za przykładem króla szedł brat jego, prymas Poniatowski, głośny zwolennik i sługa Rosji. Wydał on nawet odezwe

do duchowieństwa i wzywał księży, by modlili się za pomyślny rozwój zbrojnej siły narodu, za poległych bohaterów i za tych, co na polu chwały zginąć jeszcze mogą. W odezwie tej upewniał, że powstanie ma nie co innego na celu, jeno odzyskanie „wolności i niepodległości narodu".

Pod wpływem zwycięstwa zmieniały się usposobienia, opinje, poglądy i ci, co niedawno widzieli w powstaniu narzędzie obcej intrygi, a Kościuszce ośmielali się zarzucać przedajność, wielbili twórców insurekcji.

Ale niebawem zaszły w stolicy wypadki, które wstrząsnęły krajem, szeroko rozbiegły się po świecie, a króla nowym przepełniły lękiem. Oto dnia 8 maja, w dzień imienin Stanisława Augusta, zaczęły krążyć po mieście zatrważające wieści o zbliżaniu się do Warszawy wojsk rosyjskich i pruskich. Wieści były nieprawdziwe, ale lud uwierzył im i własną piersią postanowił zasłonić stolicę. W jednej chwili wzburzenie ogarnęło miasto. Na ulicę wysypała się ludność, a tłumy otoczyły arsenał i gwałtownie zaczęły się domagać rozdawnictwa broni. W koszarach odezwały się bębny, dzwony kościelne uderzyły na trwogę, warty stanęły pod bronią i alarm, jak pożar, rozszerzał się po całem mieście. Naraz gruchnęła wieść, że pogłoski są nieprawdziwe, że cały alarm jest dziełem króla, który, chcąc odwrócić od siebie uwagę, naumyślnie zaniepokoił ludność, a sam niepostrzeżenie uciekł ze stolicy. Natychmiast olbrzymie tłumy rzuciły się ku zamkowi, by przekonać się osobiście, czy król istotnie wyjechał z Warszawy. Króla w zamku nie było, więc wzburzenie rosło.

Tymczasem król wyjechał istotnie, ale nie miał zamiaru uciekać. Na wezwanie Rady Zastępczej, by cała zdrowa ludność miejska bez wyjątku śpieszyła do sypania okopów, codziennie tłumy publiczności stawały do roboty. Stało się to w szybkim czasie nałogiem i modą stolicy.

Król, dla przypodobania się tłumom, umyślił w dzień swoich imienin zwiedzić te roboty, a nawet sam wziął do rąk rydel, by ziemię rzucać na wznoszony szaniec, gdy zawiadomiono go o poruszeniu stolicy. Wystraszony, wybladły, wsiadł do powozu i wrócił do Warszawy. Na widok Stanisława Augusta uspokoiły się tłumy, a nawet rozległ się okrzyk:

— Niech żyje król!

I zaraz odpowiedział mu drugi:

— Ale niech nie ucieka!

Nie brak było i objawów wrogiego usposobienia, a tu i owdzie zrywał się pomruk niechęci i groźby.

Powrót króla na krótką chwilę uspokoił miasto. Wzburzenie wybuchło niebawem ze zdwojoną siłą: nowa wieść zaalarmowała tłumy. Wieść ta głosiła, że to stronnicy Moskwy i uwięzionych za sprzyjanie Moskwie dygnitarzy, wywołali umyślnie niepokój, by, korzystając z zamieszania, uwolnić i ukryć czekających wyroku sądowego więźniów. Wieść znalazła wiarę i gniew ogromny wzburzył lud warszawski. Rozlegały się nienawistne okrzyki pod adresem najbardziej znienawidzonych zdrajców. Sprawiedliwości i kary domagały się wzburzone tłumy. Hetmani Ożarowski i Zabiełło, marszałek Rady Nieustającej Ankwicz i biskup Kossakowski byli przedmiotem szczególnej nienawiści.

Całą noc trwało wzburzenie, całą noc lud zmawiał się, hałasował, huczał, a gdy słońce wzeszło nad Warszawą, cztery szubienice sterczały groźnie: trzy na Starym Rynku, jedna na Krakowskiem Przedmieściu, naprzeciw kościoła Bernardynów. Do każdej z nich przybita była tablica z napisem:

Kara na zdrajców Ojczyzny.

Po ulicach krążył lud i burzliwemi manifestacjami wypowiadał swą wolę. Prezydent Zakrzewski, dostrzegając rosnące w mieście wzburzenie, zwołał nagłe posiedzenie

Rady Zastępczej. Obecni, a wielu nie przyszło, uradzili, aby wezwać pomoc wojskową i obalić szubienice, jako bez woli, a nawet, jak się wyraził Wybicki, „z pogardą dla rządu wystawione". Ale podczas tych narad tłumy uzbrojone zaległy plac przed ratuszem, a z miasta przychodziły coraz groźniejsze raporty o postawie ludu. Radzili więc zebrani, co czynić i jak się zachować, gdy przyszedł nowy raport, że tłum wtargnął do więzień, porwał obu hetmanów oraz Ankwicza, Kossakowskiego i że wszystkich prowadzi do ratusza. Wzburzenie w mieście istotnie rosło z każdą chwilą. Na placu przed ratuszem urządzono naprędce trybunę i mówcy ludowi wygłaszali płomienne, a nienawiścią do zdrajców ziejące mowy. Grzmiał tu niejaki Konopka, dawny sekretarz Kołłątaja, i wołał na cały rynek, że Ojczyzna domaga się kary na zdrajców. Pomagał mu ksiądz Meier, ten sam, co wciągnął do spisku Kilińskiego, a w walkach z Moskalami brał udział najczynniejszy.

A Rada zastanawiała się nad sytuacją, lecz na nic zdecydować się nie mogła. Powstał spór, a szyby w sali posiedzeń aż drżały od okrzyków roznamiętnionego tłumu. Ratusz, otoczony zewsząd, wyglądał, jak oblężona forteca. Wtem lud wtargnął do wnętrza i zaczął się dobijać do sali posiedzeń. Otworzono drzwi, i tłum z dobytemi pałaszami, z bronią palną, gotową do strzału, wtargnął do izby obrad, jak szturmująca fala. Straszny krzyk wypełnił izbę. Ksiądz Meier i Konopka domagali się sprawiedliwości i kary na zdrajców, a popierały te żądania liczne a wzburzone głosy. Wybicki, przeciwnik środków gwałtownych, śmiało stawiał czoło napaści i mówił o znieważonej powadze rządu. Poparł go Wulfers, a wreszcie i inni członkowie Rady zaczęli przekładać, że przyprowadzeni więźniowie mogą być winni, ale trzeba, aby ich osądził sąd kryminalny i wydał wyrok śmierci, jeżeli na to zasłużyli.

Podniosła się okropna wrzawa. Jedni wołali, iż wszystkim wiadomo, że Ożarowski, Zabiełło, Ankwicz i Kossakowski są zdrajcami i że natychmiast trzeba ich powiesić, inni krzyczeli:

— Rząd nie odpowiada ufności ludu!...

Wywiązała się kłótnia zapalczywa, ostra, namiętna. Słowa krzyżowały się, jak miecze, pękały, jak granaty, w powietrzu czuć było krew. Gniew ludu, chodzący dnia tego po ulicach miasta, strasznym głosem domagał się zemsty. Zgodzono się wreszcie na sąd, ale pod warunkiem, żeby zebrał się natychmiast i niezwłocznie rozpatrzył sprawę. Jakoż w pół godziny zgromadzili się sędziowie i więźniów sprowadzono pod strażą. Hetman Ożarowski, starzec siedemdziesięcioletni, był chory, a doznane wrażenia tak go osłabiły, że zwalił się z nóg i nie mógł iść o własnych siłach. Więc usadzono go na krześle i tak przyniesiono do sądu. Biskup Kossakowski, człek olbrzymiego wzrostu, szedł zgarbiony, blady, ze wzrokiem wbitym w ziemię. Ankwicz i hetman Zabiełło nadrabiali miną i, trzymając w rękach nakrycia głowy, kłaniali się na wszystkie strony ludowi, jakby chcieli ułagodzić zwrócone przeciw nim oburzenie.

Sąd trwał krótko.

Dowodów zdrady i przedajności, popartych własnemi podpisami oskarżonych, dostarczyło archiwum ambasady. Niepodobieństwem było się zapierać. Jednakże „tłumaczyli się wszyscy w obszernych głosach", lecz ich, „przemyślne wymówki", są słowa urzędowego raportu, „nie mogły przytłumić niezaprzeczonych śladów ich ręki", pracującej na niechybną zgubę narodu. Biskup Kossakowski usiłował bronić się oświadczeniem, że jeśliby miał zginąć, to ten sam los powinien spotkać wielu biskupów i senatorów, gdyż wielu tak samo, jak on brało pieniądze moskiewskie.

BIBLIOTEKA

A z ulicy dochodziły okrzyki rozjuszonego tłumu:

— Na szubienicę zdrajców!

Sąd wydał wyrok śmierci. Sprowadzono kapucynów. Wyspowiadali się skazańcy, i zaraz zaczęła się egzekucja. Najpierw wykonano wyrok na Ożarowskim. Siedzący wciąż na krześle, nieprzytomny, drżący, nawpół żywy, zaniesiony pod stopy szubienicy, nie wiedział, co się z nim dzieje. Głuchy i niemy, bez najmniejszego sprzeciwu pozwolił założyć sobie stryczek na szyję i bez jęku zawisł na szubienicy. Zabiełło, prowadzony na stracenie, kłaniał się ludowi i, zapewniając, że jest niewinny, błagał o litość.

Odpowiadały mu okrzyki:

— Zdrajca! zdrajca!...

I tłum nie pozwolił mu mówić i hałasował dopóty, dopóki wyroku nie wykonano.

Jeden Ankwicz, ubrany we wspaniały zielony kontusz, szedł z podniesioną głową i pewnym siebie a twardym wzrokiem wodził badawczo dokoła, jakby chciał przeniknąć do samej głębi usposobienie tłumu i jakiemś słowem, czy gestem uratować się od niechybnej śmierci. Był to człowiek zdolny, sprytny, pomysłowy. Może też strzeliła mu jakaś myśl, bo stanąwszy pod szubienicą, podniósł głowę i rozpoczął mówić:

— Narodzie szlachetny!... nie znajdę-ż u ciebie zmiłowania...

Tłum poruszył się, zakotłował i tysiącem głosów odpowiedział:

— Niema zmiłowania dla zdrajców!

Ankwicz czekał chwilę, aż się uciszy i patrzył. Ale tłum miał oblicze nieubłagane, zawzięte. Przekonał się zdrajca, że niema dla niego ratunku. Nie stracił przecież fantazji. Wydobył złotą tabakierkę, zażył tabaki i z gestem wielkopańskim oddając drogocenny przedmiot katu, rzekł:

— Nie męcz mnie długo.

I sam stryczek założył sobie na szyję.

Biskup Kossakowski był to, według określenia Niemcewicza, „prałat ogromnej kościstej postaci, z lamparcią twarzą i lisiem spojrzeniem". Tego prowadzono na szubienicę, wystawioną na Krakowskiem Przedmieściu. Budził on za swoje do spółki z bratem dokonane łupiestwa, za swoje jawne sprzyjanie Rosji, za swoją drapieżność, chciwość, za bezlitosne serce taką nienawiść, że tłum, idący za nim, również dopuszczał się okrucieństw i lżył skazańca, szarpał, darł na nim suknie, tak, że szedł wkońcu w jednym kaftanie i bieliźnie. Przechodząc koło Bernardynów, chciał wstąpić do kościoła, ale tłum podejrzliwy, wietrzący w prośbie podstęp, nie pozwolił na to. Biskup Malinowski dokonał zdjęcia święceń i w chwilę potem Kossakowski zawisł na szubienicy, olbrzymi, wpółnagi, straszliwy...

Tłum wciąż hałasował. Z okrzykami: „Wieszać zdrajców!" łączyły się okrzyki:

— Niech żyje rewolucja!

„Tysiące obywateli obojej płci—pisał z powodu tych wydarzeń prezydent Zakrzewski, — którzy od podobnych egzekucyj oczy odwracali i przez życie swoje na one patrzeć nie chcieli, tym patrjotycznym scenom oklaski i okrzyki radości dawali".

Rada Zastępcza Tymczasowa tegoż dnia wydała odezwę, głoszącą, że kara, która dosięgła zdrajców za zbrodnie przeciw Ojczyźnie popełnione, nie może przynosić plamy ani dotykać ich rodzin i potomstwa. Odezwa stwierdzała, że dwaj synowie Ożarowskiego przyłożyli się dzielnie do powodzenia powstania i ochoczo a wiernie pełnią służbę pod sztandarami narodowemi.

Ukaranie śmiercią zdrajców dało powód do wyrzekania na krwiożerczość klubów, które działały w stolicy.



IGNACY POTOCKI

dwaj stale odtąd pełnili służbę na zamku, dzień i noc towarzysząc królowi. Stanisław August, zręczny, dowcipny, potrafił w krótkim czasie zjednać sobie całą asystę.

Tymczasem Kościuszko, stosownie do zapowiedzi w akcie insurekcyjnym, ogłoszonym w Krakowie, powołał do życia Radę Najwyższą Narodową z siedzibą w Warszawie, a Kołłątajowi i Ignacemu Potockiemu, którzy na jego wezwanie przybyli z zagranicy i znajdowali się w obozie, polecił jechać do stolicy i zająć w Radzie wyznaczone im stanowiska.

Przyjazd ich wyprzedził Kapostas i wraz z Kilińskim zajął się przygotowaniami do uroczystego przyjęcia zasłużonych mężów. Jakoż 24 maja, w dzień przyjazdu wyległ za miasto duży tłum i radosnemi okrzykami witał patrjotów, których Targowica zmusiła do porzucenia Ojczyzny, a zwycięska rewolucja z triumfem wprowadzała do stolicy kraju. Kołłątaj, cierpiący na podagrę, wjechał do miasta w powozie, mając obok siebie Kilińskiego, a Ignacy Potocki, witany ze szczególniejszą radością, gdy tłum zabrał się do wyprzęgania koni, wysiadł z pojazdu i, otoczony ludem szedł śród niemilknących wiwatów. Tak wkroczono do miasta. Pochód otwierała orkiestra, grająca marsze triumfalne, a asystę honorową stanowił zbrojny oddział mieszczan w mundurach municypalnych. Śród najwyższych oznak radości przeprowadzono obu na ratusz. Wieczorem Warszawa zapłonęła rzęsistą iluminacją, a lud do późnej nocy wiwatował na cześć swoich ulubieńców.

Wkrótce przestała istnieć Rada Zastępcza Tymczasowa: na jej miejsce powstała 29 maja Rada Najwyższa Narodowa, złożona z Naczelnika siły zbrojnej narodowej i ośmiu radców, stojących na czele ośmiu wydziałów. Kościuszko ustanowił nadto 32 zastępców. Stosownie do nominacji Kościuszki na czele wydziału porządku stanął Alojzy Sulistrowski, bezpieczeństwa—Tomasz Wawrzecki, spra-

wiedliwości—Franciszek Myszkowski, skarbu—Kołłątaj, żywności — prezydent Warszawy, Ignacy Zakrzewski, potrzeb wojskowych—generał Wielowiejski, spraw zagranicznych — Ignacy Potocki, wreszcie na czele instrukcji narodowej, czyli oświecenia—Jan Jaśkiewicz. Śród zastępców znaleźli się Kapostas, Kiliński, Sierakowski, Aloe i inni.

Rada Najwyższa Narodowa miała spełniać wszelkie czynności, związane z potrzebami chwili i co tydzień przysyłać raporty ze swojej działalności Naczelnikowi Najwyższemu, Kościuszce. Nie wolno było Radzie Najwyższej wydawać żadnych praw o charakterze konstytucyjnym, natomiast po uwolnieniu Rzeczypospolitej z pod przemocy wrogów, Rada Najwyższa miała się zająć zorganizowaniem wyborów do wolnego Sejmu, któremu obowiązani będą zdać sprawę ze swoich czynności zarówno Najwyższy Naczelnik, jak i członkowie Rady. Dopiero sejm wolny w wolnej Polsce miał uchwalić Konstytucję Narodową.

Ustanowieniu Rady Najwyższej Narodowej towarzyszyła gorąca odezwa Kościuszki, wydana „do obywatelów Polski i Litwy", a głosząca, że „na wzajemnej ufności, na świetle i prawości w radzeniu, dzielności w czynieniu, zawisło zbawienie nasze... Nie może się naród ocalić bez rządu, lecz rząd nie może być czynnym bez zaufania, posłuszeństwa i gorliwości ludu". Najwyższy Naczelnik zwracał uwagę, że w Radzie zasiadać będą prawi patrjoci, mężowie, na których najsroższą zemstę wywarłby nieprzyjaciel, „gdyby się Ojczyzna uratować nie mogła". Ale,—pisał Kościuszko— „uratujemy ją, bracia, tylko myślmy zgodnie ,czyńmy dzielnie i bijmy się walecznie"... Wszakże ze składu Rady Najw. Narodowej przedstawiciele mieszczaństwa nie byli zadowoleni.

Kiliński domagał się, aby mieszczanie w równej liczbie ze szlachtą zasiadali w Radzie. Kilińskiego popierał Kapostas, a cała sprawa oparła się o Naczelnika. Jednak-

że Kościuszko odpowiedział, że rząd składają „obywatele cnotliwi, zatem przyjaciele ludu", zapewniał zarazem, że nominując członków Rady, nie zważał bynajmniej na to, czy należą do szlachty, mieszczaństwa, czy włościan.

Pod wpływem zwycięstwa pod Racławicami, uwolnienia Warszawy i odezw Kościuszki, cały kraj ogarniało coraz większe ożywienie i coraz więcej ziem i powiatów przystępowało do powstania. A wszędzie tworzono komisje porządkowe, uzbrajano lud, mustrowano rekrutów, gromiono, gdzie się dało, pomniejsze oddziały rosyjskie.

Rozpoczynały się pierwsze starcia, niby pierwsze grzmoty, poprzedzające rozpętanie się burzy. Dzielny pułkownik Hauman, mianowany niebawem generałem-majorem, pociągnął na czele Działyńczyków i ułanów królewskich za ową kolumną generała Nowickiego, która w chwili najzagorzalszej walki opuściła Warszawę i pozostawiła Igelströma na pastwę powstaniu, a później gwałtami, rabunkiem i morderstwami mściła się na mieszkańcach bezbronnych wsi i miasteczek. Hauman szedł za Moskalami, jak wilk za stadem owiec, szarpiąc pomniejsze oddziały i gromiąc rabujące hordy kozaków. Wyszedł z Warszawy generał Cichocki i obserwował cofający się oddział wojsk pruskich, do którego, uciekłszy ze stolicy, schronił się Igelström z garstką swoich niedobitków. Już błysnął miecz Dąbrowskiego i nadchodziły pierwsze raporty o jego pomyślnych utarczkach. Ożywiał się kraj, rosła siła zbrojna, duch lepszy wstępował w serca i stopami najeźdców zdeptana ziemia polska oddychała nową nadzieją i niby runią wiosenną nowem zakwitała życiem.

W tym samym czasie podniosła się Litwa i przeciw wspólnemu wrogowi wyciągnęła uzbrojone ramię i dzielnie wsparła wysiłki Korony.

VII.

POWSTANIE NA LITWIE.

Na Litwie, pod osłoną bagnetów moskiewskich, działał niezmordowanie hetman wielki litewski, Szymon Kossakowski. Samozwańczy hetman nie cofał się przed żadnemi środkami, mogącemi powiększyć jego znaczenie i bogactwa. Obok rabunków na wielką skalę, prowadził handel rangami wojskowemi, które sprzedawał więcej dającym, a jednocześnie zasługiwał się carycy zawziętem prześladowaniem patrjotów i niszczeniem zbrojnej siły polskiej.

— „Polacy — powiada w pamiętnikach swoich generał rosyjski, Engelhardt—mieli całą słuszność nienawidzieć go tak zapamiętale, niewątpliwie bowiem był on zdrajcą Ojczyzny swojej, a nadto żaden Rosjanin tylu krzywd i gwałtów, ile on na własnych swoich rodakach, się nie dopuścił".

Kossakowski rabował jawnie, jawnie służył Rosji i jawnym był zdrajcą. Widząc, na co się zanosi i drżąc o własną skórę, przestrzegał Moskali, aby się mieli na baczności. Od wybuchu powstania w Krakowie nie zaznał już chwili spokoju. Lękał się szczególniej o Wilno, przeczuwając, że na wezwanie stolicy cała Litwa porwie się do oręża. Miał swoich szpiegów i donosicieli, domyślał się

istnienia spisku, odgrażał się sprzysiężonym, a Moskalom nieustannie największą zalecał ostrożność.

W Wilnie generał głównodowodzący, Arsenjew, miał do swego rozporządzenia dwa pułki piechoty, bataljon jegrów, pułk dońców i artylerję, liczącą 19 armat, a dowodzoną przez podejrzliwego majora Tuczkowa. Sile tej powstańcy przeciwstawić mogli zaledwie cztery niepełne kompanje piechoty i kilka armat mniejszego kalibru, razem około 400 ludzi. Nierównomierność sił tak uspokajająco działała na Arsenjewa, że długo lekceważył ostrzeżenia Kossakowskiego.

Istotnie siły były nierówne, ale na czele spisku w Wilnie stanął człowiek niezwykłej energji i odwagi, a był nim młody jeszcze pułkownik inżynierów, Jakób Jasiński. Wykształcony, zdolny, idący z prądem czasu, żarliwy zwolennik haseł, rozbrzmiewających na rozpalonym bruku Paryża, Jasiński miał w sobie dużo cech owego nieustraszonego rycerza, którego typ zanikał już w Polsce ówczesnej, a który w poprzedniem stuleciu zdumiewał świat swojem rycerskiem szaleństwem, swoją gotowością do największych hazardów, swojem junactwem, pełnem nadmiernej tężyzny, zdrowia i prawdziwie polskiej brawury. Wdzięk bił od tej postaci i pociągał serca. Wódz i poeta w jednej osobie, łączył gorący patrjotyzm z wewnętrzną siłą, pchającą go do czynów. Urodzony do wyższych przeznaczeń, stworzony do rozkazywania, miał sławę najzawziętszego jakobina i rewolucjonisty. A jednak ten krańcowy republikanin, wołający w jednym ze swoich utworów poetyckich: „Niech zginą króle, niech świat będzie wolny"!—budził szacunek u ludzi odmiennych przekonań, budził wiarę w swą wyższość, w swój talent. Ubóstwiali go koledzy, szanowali uczciwi przeciwnicy.

Jasiński, pozostając w ścisłym związku z generałem Działyńskim i sprzysiężeniem w Warszawie, był w Wilnie

duszą spisku, a w ostatnich chwilach przed wybuchem głównym organizatorem i kierownikiem ruchu powstańczego w stolicy litewskiej.

Kossakowski wiedział, jak niebezpiecznym człowiekiem jest Jasiński i baczną zwrócił na niego uwagę, ale i Jasiński ze swojej strony zwrócone miał oczy na hetmana, a walka, jaka się rozegrała między tymi ludźmi, fatalnie miała się skończyć dla potentata, wspieranego przez imperatorową i jej liczne wojsko. Kossakowski, wietrząc spisek, rozkazał aresztować kilku oficerów sztabowych, a na liście proskrypcyjnej znajdowało się i nazwisko Jasińskiego. Ale młody pułkownik, mający czucie „urodzonego rewolucjonisty", nie dał się zaskoczyć. Uprzedzony o grożącem mu uwięzieniu, ukrył się w jednym z domów na Antokolu, a do Kossakowskiego wysłał list, w którym pisał szyderczo, że „kibitką wojażować, ani polować na sobole nie ma ochoty". Nie zaniechał przecież pracy spiskowej, Lekceważąc wszelkie niebezpieczeństwa, przychodził do Wilna w przebraniu kominiarza i w dalszym ciągu rozwijał niezmordowaną, a wręcz zuchwałą działalność. Przeszkody i trudności rozpalały w nim tylko energję. Ująwszy w swe ręce ster działań, całe sprzysiężenie natchnął swoim zapałem i swoją odwagą. Burza się zbierała nad załogą rosyjską w Wilnie, miecz pomsty zawisł nad głową zdrajcy Kossakowskiego.

Dobroduszny Arsenjew, alarmowany coraz trwożniejszemi pogłoskami, zaczął się mieć na baczności. Dnia 21 kwietnia wydał rozkaz pułkowi tambowskiemu, aby przybywał do Wilna. Następnego dnia przyjechał do Wilna przerażony w najwyższym stopniu Kossakowski. Na święta wielkanocne wyjechał na wieś do swojego brata. Wypłoszony z gościny ruchem wojsk polskich, przywoził najtrwożniejsze wiadomości o zbuntowanych oddziałach polskich, które, jak zapewniał, łączą się ze sobą i ciągną ku miastu.

Jakoż istotnie tak było.

Już 16 kwietnia do stojącego w Szawlach brygadjera Sulistrowskiego przybyło grono poważnych obywateli litewskich, by naradzić się z nim nad rozpoczęciem powstania. Do grona tego należeli szef pułku 6-go Niesiołowski, dawny wicebrygadjer Gedroić, sędzia ziemski Piotr Zawisza i Antoni Prozor. W tym samym czasie przyjechał do Szawel generał-major Chlewiński, który z polecenia Kossakowskiego dokonać miał redukcji miejscowej załogi. Chlewiński, przekonany przez patrjotów, przyłączył się do nich i stanął po stronie powstańców. W Szawlach ułożono plan połączenia rozpierzchnionych komend polskich i uderzenia większemi siłami na Wilno. Stosownie do tego planu sprzysiężeni rozjechali się w różne strony, a załogi wszędzie z największą gotowością oświadczały się za powstaniem. Wyjątek stanowił pułkownik Baranowski, stojący w Wyłkowyszkach. Ten nie tylko odmówił złożenia przysięgi, ale umyślną sztafetę wysłał do Kossakowskiego, aby uprzedzić go o niebezpieczeństwie.

Było już za późno.

Kossakowski, wypłoszony ze wsi oddziałem powstańczym generała Chlewińskiego, który podobno chciał porwać hetmana, radził Arsenjewowi, aby z całem swem wojskiem opuścił miasto. Ale Arsenjew nie sądził, aby niebezpieczeństwo było tak bliskie. Podejrzewał hetmana o przesadę i nadmierny strach przed widmem rewolucji. Nie wiedział zresztą i Kossakowski, że tegoż dnia (22 kwietnia) Jasiński, nie czekając aż wojska z prowincji nadciągną, wydawał ostatnie rozporządzenia i za parę godzin rozpocząć miał walkę.

Przerażony Kossakowski, widząc, że nie zdoła przekonać Moskali, zwrócił się do swoich podwładnych i zalecał im czujność najwyższą, uprzedzając, że wszelki bunt krwawo będzie stłumiony.



JAKÓB JASIŃSKI

— Pamiętajcie, — groził hetman, — że krew wasza rynsztokami będzie się lała.

Nie ulękli się gróźb patrjoci i na wezwanie Jasińskiego tejże nocy przystąpili do dzieła.

Niewielka załoga polska, ożywiona zapałem swego kierownika i, jak on, gotowa na czyny najszaleńsze, podzielona została na drobne oddziałki, które jednocześnie uderzyć miały na wojska rosyjskie, na pałac Arsenjewa i na kwatery oficerów. O godzinie pierwszej w nocy miał się odezwać wystrzał armatni, jako sygnał, że wszystkie przygotowania są już ukończone i że pora zaczynać.

W mieście panował zupełny spokój. Nic nie zwiastowało groźnych wypadków. Nagle, o godzinie 1-ej rozległ się wśród nocnej ciszy grom armatni i śpiące Wilno zerwało się ze snu. Zajęczały dzwony kościelne, w koszarach polskich odezwały się bębny i wojska powstańcze z największą gwałtownością ruszyły do ataku na załogę rosyjską.

Z krańców w krańce miasta grzmiały potężne okrzyki:

— Do broni! do broni!...

Spiskowcy cywilni, uzbrojeni w pistolety, topory, noże, dubeltówki, wylegli na ulice i szli pomagać wojsku lub pobudzali mieszkańców do łączenia się z powstaniem. Wrzawa wojenna, zgiełk, bicie dzwonów, cały alarm nagły i niespodziewany rzucił okropną grozę na Moskali. Nim zdołali się zorjentować w sytuacji, już powstańcy szli do ataku i szturmowali wyznaczone im placówki. Wojsko rosyjskie, przebudzone niespodziewanym napadem, nie próbowało nawet stawiać oporu. Pułki narwski i pskowski, prawie bez obrony, poddały się powstańcom. Oddział rosyjski, stojący przy odwachu z dwiema armatami, po krótkiej walce również kapitulował i w całości dostał się do niewoli.

Kościół świętego Kazimierza, przeznaczony dla schwytanych jeńców, w jednej chwili napełnił się tłumem żoł-

nierzy i oficerów. Cały dobytek garnizonu rosyjskiego z częścią armat, składy broni i amunicji, sztandary, kasy z niezwykłą szybkością przechodziły w ręce powstańców.

Minęły dwie godziny i Wilno było wolne.

Wśród jeńców znalazł się generał Arsenjew, a między uwięzionymi Polakami był hetman Kossakowski.

Pierwszy, według podania, aresztowany został we własnej kwaterze. Oficer na czele dwudziestu żołnierzy, zbliżywszy się do pałacu, rozkazał dać salwę do okien. Arsenjew, przebudzony wystrzałami, usłyszał niebawem w ciemnościach nocy pełną energji komendę:

— Cały bataljon naprzód! Marsz!

W odpowiedzi na to krzyknął, że się poddaje. Po chwili dopiero, lecz już jako jeniec, przekonał się, że „cały bataljon“ stanowi zaledwie dwudziestu żołnierzy.

Kossakowski, według jednych źródeł, aresztowany został w swoim pałacu przez Jasińskiego, według innych, zbudzony ze snu alarmem w mieście, zerwał się na równe nogi, pochwycił pistolet, i tylko szlafrok nałożywszy na siebie, zbiegł do warty, stojącej przed bramą pałacu, rozkazał żołnierzom cofnąć się do wnętrza i salwą karabinową z okien powitać nadciągających powstańców. Potem wpadł na tylne schody, by szukać w kryjówkach pałacowych bezpieczniejszego dla siebie schronienia. Na schodach spotkał adjutanta Michałowskiego.

— Bunt! — krzyknął Kossakowski.

— Bunt! — odpowiedział adjutant i z całej siły uderzył w twarz „hetmana“.

Po takiem powitaniu zawrócił przerażony zbrodzień i, pędem przebiegając komnaty, ukrył się gdzieś za kominem i z trwogą czekał, co stanie się dalej. Czekał niedługo. Powstańcy wtargnęli do pałacu i wkrótce znaleźli przyczajonego hetmana. Kossakowski, wiedząc, co go cze-

ka, bronił się rozpaczliwie, ale powalony na ziemię, związany, wyciągnięty został niebawem z pałacu i jak dziki zwierz, na postronku wleczony był przez miasto do więzienia. Przez całą drogę towarzyszył mu tłum i wypominając łupiestwa, gwałty, okrucieństwa oraz niezliczone zbrodnie, zionął strasznemi przekleństwami, rzucał błotem i plwał na zdrajcę-hetmana.

Powstanie w Wilnie, dzięki niezwykłej energji dowódcy i śmiałości wojsk powstańczych, skończyło się najzupełniejszym triumfem. Jedynie dowódca artylerji, major Tuczkow, wymknął się szczęśliwie na Pohulankę, zgromadził przy sobie ocalałe od pogromu oddziały rosyjskie, podpalił przedmieście i pośpiesznym marszem pociągnął do Grodna, rabunkiem i łunami pożarów znacząc swój pochód.

Dnia 24 kwietnia licznie zebrani obywatele wileńscy podpisali akt powstania narodu litewskiego i powołali do życia Radę Najwyższą Rządową, która na drugi dzień wydała uniwersał do województw i powiatów Wielkiego Księstwa Litewskiego, wzywający obywateli do pospolitego ruszenia i nakazujący pobór rekrutów. Uniwersał nawoływał szlachtę, by przemówiła do „dręczonego uciskami ludu“ łaskawym „głosem natury“, aby „to narzędzie, którego mu do uprawy roli rozpustny sołdat użyć przeszkadza, w jegoż piersiach utopione, ocaleniu Ojczyzny i wolności“ poświęcone zostało. Przy Radzie utworzone zostały deputacje opatrzenia, skarbu i bezpieczeństwa publicznego. Ustanowiony został sąd kryminalny dla sądzenia zdrajców, który zebrał się zaraz i na śmierć przez powieszenie skazał Kossakowskiego.

Egzekucja odbyła się publicznie.

Na rynku wzniesiono szubienicę, a olbrzymie tłumy zapełniły plac, przyległe ulice, tłoczyły się przy oknach, a nawet na dachach domów. O godzinie drugiej na ulicy Zamkowej ukazał się oddział żołnierzy, poprzedzany dobo-

szami, bijącymi w bębny. Za tym oddziałem w karecie, zaprzężonej w białe konie, jechał Kossakowski. Jechał tak, jak go nocą pochwycono: w żółtym nankinowym szlafroku „z białemi barankami". Dzikiem wejrzeniem z pod brwi nastroszonych mierzył tłumy, przypatrujące się ciekawie rozgłośnemu złoczyńcy. Gdy kareta zbliżyła się do miejsca kaźni, wyjechał naprzeciw niej Jasiński i zawezwał lud do spokoju i milczenia. Wojsko, otaczające rynek, zwróciło się z nabitą bronią frontem do tłumów. Zapadła cisza śmiertelna. Kareta z głuchym turkotem wtłoczyła się na rynek i stanęła przed szubienicą. Wtedy zbliżył się do niej siedzący na białym koniu instygator sądowy, szambelan Elsner, i donośnym głosem wśród groźnej ciszy odczytał wyrok, który hetmana, przekonanego o zdradę kraju, odsądzał od czci, majątku i skazywał na śmierć przez powieszenie. Następnie wszedł do karety ksiądz bernardyn, by wyspowiadać skazańca. W chwilę potem kat w czerwonym płaszczu przystąpił do szubienicy, a pachołkowie katowscy chwycili hetmana pod ręce. Kossakowski przemówił do ludu i publicznie przyznał, że w ostatniej chwili wydał pułkownikowi Baranowskiemu rozkazy, aby wystąpił przeciw powstaniu. I chciał jeszcze coś mówić, ale słowa jego zagłuszyło grobowe bicie bębnów. Kat przystąpił do egzekucji. Skazaniec bronił się, opierał, a potem długo jeszcze miotał się na szubienicy, nim śmierć ulitowała się nad nim. Trup wisiał do godziny 7-ej wieczorem. Zwłoki bez trumny wywieziono za miasto i rzucono do dołu.

Tak skończył Szymon Kossakowski, ostatni hetman litewski.

Po śmierci jeszcze przez długie lata pamięć jego ścigała straszna nienawiść i bezgraniczna wzgarda opinji.

Wieść o uwolnieniu Wilna radosnem echem odezwała się po całej Litwie. Śpieszyli teraz na usługi powstania

liczni obywatele i gorliwie przykładali rękę do rozwoju i pomnożenia siły narodowej. Jak w Koronie, tak i na Litwie powstawały wszędzie komisje porządkowe i energicznie przystępowały do pracy. Wojsko naczelnym wodzem obrało sobie Jasińskiego, a Najwyższa Rada Rządowa przychyliła się do życzeń wojska i oddała Jasińskiemu jeneralną komendę na Litwie, zastrzegłszy wszakże naczelne zwierzchnictwo Kościuszki, jako Najwyższego Naczelnika „sił obojga narodów". Nadto dodała Jasińskiemu do boku delegację, złożoną z trzech członków, a mianowicie: wojewody nowogrodzkiego Niesiołowskiego, pułkownika Kociełła i generała Gedroicia.

Niebawem bory i puszcze litewskie zabrzmiały odgłosami walk i szczękiem oręża. Już 21 kwietnia wojsko powstańcze stoczyło pod dowództwem dzielnego pułkownika Stefana Grabowskiego krwawą bitwę z przemagającemi siłami Rosjan pod Niemenczynem, a wkrótce potem Jasiński, do którego przymknęło 700 chłopów-kosynierów, bił się pod Polanami. Coraz więcej oddziałów powstańczych ukazywało się w różnych stronach Litwy, coraz częstsze stawały się utarczki i coraz większą ogarniały przestrzeń. Płomień wojny rozszerzał się od Bugu i Niemna aż po brzegi Bałtyku. Poruszyła się nawet Kurlandja, a generał major powiatu telszewskiego, Wojtkiewicz, przerwał komunikację lądową pomiędzy Rosją a Prusami.

Kościuszko, na wiadomość o wybuchu powstania na Litwie, wydał parę odezw, w których nawoływał obywateli Litwy do zgodnej działalności i podkreślał konieczność oświecania i uzbrajania „licznego ludu". Ale nie wszystko zaakceptował, co zdziałało Wilno. Nie wydało mu się odpowiedniem wobec powołania do życia w Warszawie Rady Najwyższej Narodowej istnienie w Wilnie jakby równorzędnego ciała w postaci Rady Najwyższej Rządowej. Więc

Rada Najwyższa, powolna życzeniom Naczelnika, przemianowała się na „tymczasową zastępczą“, a nieco później ustąpiła miejsca Deputacji Centralnej Wielkiego Ks. Litewskiego, która podzielona została na osiem wydziałów, na czele których stanęli już przez Kościuszkę mianowani kierownicy. Nadto Kościuszko, obawiając się może jaskrawej rewolucyjności Jasińskiego, przysłał mu rangę generała-lejtnanta, ale powierzył mu tylko komendę nad jednym korpusem, a dwa inne oddał pod dowództwo generałów Chlewińskiego i Sapiehy. Rozporządzenie to stało się przyczyną wielu niepowodzeń, gdyż nad całą akcją wojenną nikt już nie czuwał, a brak jednolitości w działaniu wojsk wywołał niesnaski i nieporozumienia, odbił się szkodliwie na całokształcie operacyj wojennych powstania. Rozumiał to dobrze Jasiński i po pewnym czasie prosił Naczelnika, aby przysłał na Litwę wodza nad całą siłą zbrojną. Kościuszko sam rozumiał, że źle się dzieje i spełnił to żądanie, ale, niestety, wybór jego nie okazał się szczęśliwym: mianowany na to odpowiedzialne stanowisko generał Michał Wielhorski był wodzem bezczynnym, ospałym, pozbawionym talentów i ducha wojennego. Powodem tej nominacji były intrygi przeciw Jasińskiemu. To też czuł się on nieszczęśliwym i w liście Kościuszki nie taił swego oburzenia. „Zdrada jest koło ciebie, jak zazdrość i intryga przeciw mnie“,—pisał do Naczelnika. Dwa „wielkie kryminały“ przypisywał sobie Jasiński. Jednym z nich była okoliczność, że „nie będąc z rodu książęciem“ umiał pozyskać ufność całego kraju, a drugim fakt, że pokazał, iż „wielkiego szelmę, równie, jak małego złodzieja powiesić można“.

Jasiński, odsunięty po raz wtóry od dowództwa, wyruszył w 4.000 ludzi na zgromadzone w Sołach pod Oszmianami wojska rosyjskie generałów Zubowa i Bennigsena.

Śmiałym atakiem zdobył Soły i zmusił Moskali, przewyższających go liczebnie, do ustąpienia z tego miasteczka, w nocy jednakże, nie uważając swojej pozycji za dość mocną, ustąpił ze zdobytego stanowiska. Wyprawa ta nie była przegraną, ale też nie była powodzeniem, wywołała wszakże nieporozumienia pomiędzy Jasińskim a Wielhorskim a miała ten skutek, że Jasiński, zniechęcony ostatecznie stanem rzeczy na Litwie, złożył komendę swojego korpusu i udał się do Warszawy. Kierunek działań wojennych przeszedł całkowicie w ręce Wielhorskiego. Strata dla powstania na Litwie takiego generała, jak Jasiński, niepowetowaną była stratą. Wielhorski ani mógł, ani umiał podołać zadaniu, które spadło na niego.

Wybuch powstania w Koronie i na Litwie w ogromnie trudnem i ciężkiem położeniu postawił te oddziały wojsk polskich, które znajdowały się przed drugim rozbiorem Rzeczypospolitej w prowincjach z Rosją graniczących, a które wraz z temi prowincjami, jakby łup zdobyczny, dostały się imperatorowej i sprawie Rosji służyć odtąd miały. Oddziały te były rozproszone na ogromnych przestrzeniach, a otaczały je pułki rosyjskie i podejrzliwość generałów moskiewskich, stale rosnąca od chwili wybuchu powstania.

Niektóre z tych oddziałów porozumiewały się oddawna z Warszawą, a wyjazd generała Działyńskiego na Ukrainę miał niewątpliwie związek z pozyskaniem dla sprawy powstania i tej części wojsk polskich. Ale nowy kordon graniczny ściśle był strzeżony, a czujność komend rosyjskich i przedsięwzięte środki ostrożności uniemożliwiały oddziałom polskim przedarcie się na plac boju. Ale na wołanie Kościuszki żywiej zabiły serca żołnierzy. Nic nie pomogła wzmożona czujność Moskali.

„Wszystkie te ostrożności, wszelkie te zabiegi zniweczyła gorliwość synów Ojczyzny i miłość sławy".

Słowa te wypowiedział Józef Kopeć, w owe czasy major kawalerji z pod lekkiego znaku wojska litewskiego. Brygada, w której służył, rozsypana była w Kijowszczyźnie „na rozciągłości krajów obszernych, nie mając ani środka połączenia, ani komunikacji". Mimo tak trudne warunki, Kopeć, wiedzący o tem, co się dzieje w kraju, ale na czas pewien przed wybuchem powstania, pozbawiony wszelkich wiadomości, wyczytawszy w otrzymanej z Warszawy gazecie wiadomości o marszu Madalińskiego, uznał, że zwlekać dłużej nie można. Przezwyciężywszy niezliczone trudności, uśpiwszy czujność swojego komendanta, brygadjera Słomińskiego, zdołał połączyć poszczególne części brygady w Owruczu i stąd postanowił ruszyć w województwo krakowskie. Brygada, osaczana ze wszystkich stron, przedzierała się przez dzikie haszcze, moczary i ostępy leśne. Stawiając nieustannie czoło Moskalom, wymijając zastawiane po drodze sieci, dzielni żołnierze, pod wodzą dzielnego Kopcia, dotarli w Lubelskie i tu połączyli się z wojskami powstańczemi.

Niemniej godną uwagi była przeprawa majora Wyszkowskiego, który z pod Białej Cerkwi przyprowadził drugą brygadę jazdy aż pod Dubienkę. Podobnie jak Kopeć i Wyszkowski toczyć musiał po drodze walki z nieprzyjacielem. Pod Starym Konstantynowem zabiegł mu drogę bataljon pułku jekaterynosławskiego z 7 armatami. Pięć godzin trwał bój zacięty. Wyszkowski odniósł zwycięstwo i nie tylko zmusił piechotę nieprzyjacielską do odwrotu, ale zabrał jej jeńców, wozy z amunicją i kasę pułkową. Również pod Dubienkę przyprowadził 2.000 żołnierzy brygadjer Łaźniński. Ten przedzierał się z Wołynia. Ścigany przez Moskali, wkroczył na Wołoszczyznę, a później, wymijając szczęśliwie korpusy austrjackie w Galicji, dostał się w ówczesne granice Polski i stanął pod rozkazami Kościuszki.

W ten sposób z górą 4.000 żołnierzy polskich, skazanych na służbę imperatorowej, powiększyło szeregi obrońców narodu. Ale ten triumf okrutnie zemścił się na pozostałych żołnierzach, tych zwłaszcza, którzy na własną rękę postanowili opuścić szeregi, by łączyć się z powstaniem. Historyk rosyjski, Kostomarow, przyznaje, że sąd kijowski 280 żołnierzy polskich skazał na łamanie kołem.

Wielu swoją gorliwość patrjotyczną przypłaciło śmiercią na szubienicy, wielu po strasznej chłoście cielesnej wysłano do pułków rosyjskich w głąb państwa.

A jednak mimo wszystkie przeszkody, trudności, okrucieństwa, dźwigała się Polska i powiększała swe siły.

Po wyzwoleniu Krakowa, Warszawy i Wilna, z górą 30.000 regularnego żołnierza stało na usługi sprawy narodowej. Przybywały nowe formacje, tworzyła się milicja, a zwycięstwa, idące trop w trop za pierwszemi krokami powstania, wiarą, otuchą i nadzieją przepełniały serca.

Powstanie nabierało rozpędu, stawało się siłą, budzącą szacunek i uznanie.

Rzeczpospolita, po stu latach niebytu politycznego, własną swą siłą stwarzała fakt dziejowy. Więc oczy Europy skierowane były na walkę wyzwalającego się z niewoli narodu.

A oczy narodu zwrócone były na Najwyższego Naczelnika, Kościuszkę.

VIII.

UNIWERSAŁ POŁANIECKI.

A Kościuszko rozumiał, jak olbrzymi ciężar odpowiedzialności dźwiga na swoich barkach i nie ustawał w pracy, by dziełu, które rozpoczął, zapewnić ostateczny triumf. Po zwycięstwie racławickiem wszystkie jego myśli i wszystkie troski skierowane były ku temu, by pomnożyć szeregi wojowników o wolność. Imię jego, otoczone blaskiem i chwałą, miało podówczas moc wielką. Rozkazy, które wydawał, wszędzie spełniane były bez protestu, władzy, którą podjął, nikt nie ośmielał się lekceważyć. Było to w Polsce zjawisko niezwykłe. W kraju, gdzie przez wieki pomiatano wszelką władzą i wszelkiem prawem, w kraju, gdzie najzasłużeńsi królowie i hetmani za lada wykroczenie, lub nawet za pozór takiego wykroczenia ścigani byli najstraszniejszem oburzeniem rozhukanej szlachty, w kraju, gdzie samowola doprowadziła ostatecznie do tego, że przestała istnieć wszelka władza i wszelkie prawa przestały obowiązywać, w kraju takim jeden człowiek ujął w swe ręce dyktaturę i uzyskał zgodę, znalazł uznanie i posłuch. Świadczyło to, że społeczeństwo, które się zdobyło na Konstytucję 3 Maja, istotnie odrodziło się moralnie, że przejrzało i nowe wytworzyło dla siebie

wartości. Ale Kościuszko znał dobrze swój naród. Wiedział, jak ten naród skłonny jest do uniesień i zapału w pierwszej chwili podniecenia i niewątpliwie zdawał sobie sprawę z tego, jak prędko wygasa ów słomiany ogień, gdy zaczynają się piętrzyć przeszkody, gdy życie dzień po dniu wymaga nowych ofiar i nowych poświęceń, gdy chodzi o to, aby walka nie była jednorazowym porywem, lecz miała charakter stały, ciągły, nieugięty. Kościuszko, który przypatrywał się Francuzom i poznał za oceanem żelazną energję kolonistów, walczących o swą wolność, wiedział, że Polak nie posiada ognistej, a w miarę niepowodzeń, rosnącej tylko zawziętości Francuza, ani też codziennej, nieznużonej wytrwałości osadnika amerykańskiego. Może i dlatego w swoim czasie nie kwapił się mimo natarczywe nalegania z rozpoczęciem insurekcji, chcąc, by dzieło, o którem miał decydować, osiągnęło w trudnej pracy przygotowawczej całkowitą dojrzałość. W pamiętnym dniu 24 marca, kiedy Kraków grzmiał wiwatami, Kościuszko, jak upewnia generał Paszkowski, „nie dzielił radości ludu, lecz rzuciwszy okiem na garstkę wojska, miał rzec, że „za mało jest nas“, aby odnieść zwycięstwo, ale „dosyć, aby zginąć uczciwie“. W swoim „Raporcie pierwszym narodowi polskiemu o zwycięstwie pod Racławicami“ pisał: „Narodzie!... umysł twój przygotuj do zwycięstw i do klęsk; duch prawdziwego patrjotyzmu powinien w obydwóch zachować swą tęgość i energję“.

Złowrogo musiało w uszach wielu współczesnych zabrzmieć to słowo: „klęska“. Przewidywał ją przecież Kościuszko, uprzedzał o niej, być może, sam lękając się przedewszystkiem tej klęski, nie dlatego, by miała ona być decydującą, ale dlatego, by nie osłabiła ducha patrjotyzmu, by nie rozwiała tęgości i energji polskiej, by nie była ciosem śmiertelnym, wymierzonym wprost w serce powstania,

ciosem, któryby zabił całą jego siłę moralną. Powstanie ściśle było dotąd związane z osobą Kościuszki. Ale on zdawał sobie sprawę, że powstanie, choćby w dalszym ciągu miało przeciw sobie tylko jedno potężne mocarstwo, musi natężyć wszystkie siły, by osiągnąć zwycięstwo i że te siły wydobędzie wtedy, gdy sprawa niepodległości stanie się dążeniem powszechnem, dążeniem wszystkich warstw narodu.

Przejęty duchem republikańskim, hołdujący ideałom demokratycznym swego czasu, od pierwszej chwili wstąpienia na ziemię ojczystą starał się o to, aby nową siłę społeczną wprowadzić na widownię wojny. Tę siłę widział w ludzie wiejskim, podówczas bardzo ciemnym i nieoświeconym, pozbawionym wszelkich praw, wyzyskiwanym, ciemiężonym, a stanowiącym najliczniejszą klasę ziemi polskiej mieszkańców. Podnieść ten lud z upadku, zainteresować go wojną, przekonać, że zwycięstwo powstania niesie mu polepszenie doli, wyzwala z łańcuchów poddaństwa, oto co stanowiło najgłówniejszą troskę Naczelnika. Niestety, bardzo prędko miał się przekonać, że aczkolwiek władza, jaką rozporządza, jest wielka, aczkolwiek tej władzy poddaje się król, a tam tylko przeciw niej odważają się protestować, gdzie za protestem stoją bagnety moskiewskie, to jednak władza sama nie wystarcza, jeśli jej nie wspiera dobra wola obywateli. A tej dobrej woli nie zdołał wykrzesać w zacofanym ogóle szlachty, stojącej zazdrośnie na straży dawnego ładu i dawnych przywilejów. Do uszu Naczelnika dochodziły nieustannie skargi żołnierzy i rekrutów, że za to, iż służą Ojczyźnie, „żony ich i dzieci nie tylko żadnego osłodzenia nie mają“, ale „wystawione są na większe uciążliwości“.

Pokutował w szlachcie duch złotej wolności, na niewoli ludu opartej i do niewoli całego narodu prowadzącej, i przeciw dążeniu Naczelnika powstawał opór i krzyżował

jego zamiary. Myślał więc Kościuszko o ustanowieniu prawa, któreby w myśl jego dążeń regulowało stosunek ludu wiejskiego do szlachty. On, który już przed laty twierdził, że słowo poddany „przeklęte być powinno w oświeconych narodach", stanąwszy na czele narodu, musiał uważać za swój obowiązek wystąpić przeciw temu przekleństwu, zarówno w interesie ludzkości, jak i w interesie sprawy powstającej Polski.

Marzyła się Kościuszce Polska wolna, ludowa, republikańska, siłami ludu obroniona i na siłach ludu, jak na opoce z granitu, oparta.

Obozując pod Połańcem, nieustannie poprawą doli ludu był zajęty.

W liście swoim z d. 12 maja do Franciszka Sapiehy pisał: „...Pamiętaj, że *wojna nasza ma swój szczególny charakter*, który dobrze pojąć należy: jej pomyślność zasadza się najwięcej *na upowszechnieniu zapału i na uzbrojeniu generalnem* wszystkich ziemi naszej mieszkańców. Do tego wzbudzić potrzeba miłość kraju w tych, którzy dotąd nie wiedzieli nawet, że Ojczyznę mają. Postawić odrazu *100.000 wojska linjowego jest trudno* w naszych okolicznościach, *lecz postawić masę 300.000-czną* łatwo przyjdzie, byle szczerze chcieli ziemianie i księża, którym lud powodować się daje. Wiem ja, że wojskowi, do zwyczajnej metody w prowadzeniu wojny przywiązani... znajdować będą co moment trudności w obracaniu sił takowych, ale należy umieć odstrychnąć się czasem od reguł pospolitych. Ktoby uwierzył, że z dwiema kompanjami infanterji i trzechset tylko ludźmi z kosami, w wigilję do obozu zebranymi, złamaliśmy pod Racławicami piechotę moskiewską... I dla tego lud do sprawy publicznej przywiązać należy..."

Na uwagę zasługuje odezwa Kościuszki, również z obozu pod Połańcem, do obywateli brzeskich i kobryńskich

wydana, a wskazująca zasadę, na której oparty winien być stosunek z Rusinami. Komisja Porządkowa, tam utworzona, powołała do swojego grona osiem osób „obrządku grecko-orjentalnego".

Rozradowało się serce Kościuszki.

„Wybór od was uczyniony — pisał w swej odezwie — okazuje, jak z duchem obywatelstwa zdrową politykę łączyć umiecie. Starajcie się, aby drugie powiaty, gdzie się dosyć ludu tego wyznania znajduje, naśladowały przezorność waszą. Tym sposobem lud, fanatyzmem od Moskwy zwodzony, do Ojczyzny przywiążecie. Będzie on życzliwszy swoim rodakom, gdy obaczy, że z nim po bratersku postępują, że go obok kładą, i że mu do pierwszych magistratur, jako współobywatelom, wstęp otwierają. Zapewnijcie wszystkich grecko-orjentalnych imieniem mojem, że wszelkie swobody, któremi wolność pozwala cieszyć się ludziom, będą mieć spólnie z nami i że konsystorz ich z całą władzą, podług praw sejmu konstytucyjnego, jest powrócony. Niechaj użyją tego wpływu, który mieć mogą do ludu swego wyznania, na przekonanie ich, że my, walcząc o wolność, *wszystkich ziemi naszej mieszkańców uszczęśliwić pragniemy*"...

Głosił więc Kościuszko równość praw, bez względu na wyznanie, a do uszczęśliwienia *wszystkich* mieszkańców ziemi polskiej na jedną chwilę dążyć nie przestawał. Sam, ze swojej strony, robił wszystko, by w myśl głoszonych zasad, podnieść lud wiejski i sprawę wolności uczynić sprawą ludową. Po bitwie pod Racławicami Wojtka Bartosa, przezywanego „Głowaczem", nazwał Głowackim i mianował go chorążym. Rekrutów-kosynierów zaszczycił mianem regimentu grenadjerów krakowskich. Chcąc jeszcze w inny sposób uczcić ich waleczność, sam przywdział chłopską sukmanę krakowską i często w niej paradował. Nieraz przebywał śród swoich grenadjerów, pilnował, aby im na

niczem nie zbywało, aby żołd należny w porę im wypłacano. Wieść o postępowaniu Naczelnika szeroko roznosiła się po kraju, docierała do chat wieśniaczych, jednała Kościuszce serca prostego ludu, sprawiała, że imię jego powtarzane było z czcią i miłością.

Gdy 19 kwietnia powołano pospolite ruszenie włościańskie do walki z rabującemi ziemię krakowską hordami Kozaków, Kościuszko z obozu pod Bosutowem wydał odezwę, z zaleceniem, aby włościanie, walczący z nieprzyjacielem, wolni byli od robocizny przez cały czas pozostawania na służbie wojennej. Z obozu pod Winiarami rozkazywał szlachcie darować każdemu żołnierzowi jeden dzień pańszczyzny, tych zaś, co uczestniczą w pospolitem ruszeniu, od pańszczyzny uwolnić zupełnie na cały czas przebywania w obozie, a rodziny ich najtroskliwszą otoczyć opieką.

W innych odezwach, listach, wskazówkach, udzielanych władzom, Kościuszko nieustannie wystawia potrzebę upowszechnienia zapału i zajęcia się poprawą doli ludu wiejskiego. Ale jedynie prawo mogło uregulować stosunki pomiędzy dworem a chatą włościańską. Właściwie prawa takiego Kościuszko, w myśl Aktu powstania z d. 24 marca, nie był mocen ustanawiać, uznał przecież za możliwe wydać w dniu 7 maja z obozu pod Połańcem swój słynny uniwersał z zarządzeniami, obowiązującemi na czas insurekcji, póki władza prawodawcza, jako najwyższa instancja Polski, stosunków tych na stałe nie ureguluje.

W owym czasie w obozie Kościuszki bawili po powrocie z zagranicy Hugo Kołłątaj i Ignacy Potocki, więc niewątpliwie przy ich udziale powstało to wspaniałe dzieło, a według wszelkiego prawdopodobieństwa, przez Kołłątaja ostatecznie zostało zredagowane.

Uniwersał Połaniecki, nazywany często w literaturze naszej Manifestem Połanieckim lub Manifestem z pod Po-

łańca, a zatytułowany *„Uniwersałem, urządzającym powinności gruntowe włościan i zapewniający dla nich skuteczną opiekę rządową, bezpieczeństwo własności i sprawiedliwość“*, składał się z wstępu i 14 artykułów. Wstęp stwierdzał fakty „srogiego obchodzenia się z ludem“ i wskazywał włościanom komisje porządkowe, do których w razie ucisku powinni się udawać, nadto groźnie zapowiadał, że „ciemiężyciel, prześladowca obrońców kraju, jako nieprzyjaciel i zdrajca Ojczyzny karany będzie“. Artykuł pierwszy obwieszczał ludowi, że podług prawa pozostaje pod opieką rządu krajowego, drugi, że „osoba wszelkiego włościanina jest wolna i że mu wolno przenieść się, gdzie chce“, byleby zawiadomił o tem komisję porządkową.

Artykuły następne przyznawały znaczne ulgi w pańszczyźnie, zapewniały opiekę nad ziemią tych, co służą w wojsku, zawarowywały włościanom własność posiadanego gruntu, wszakże „z obowiązkami do niego przywiązanemi“, ustanawiały dozory, które obsadzane być miały przez komisje porządkowe ludźmi „zdatnymi i poczciwymi“. Zadaniem dozorców było rozstrzyganie wszelkich spornych kwestyj pomiędzy dziedzicem a chłopem.

Uniwersał Połaniecki obok doraźnych korzyści zapewniał włościanom ogromne ulgi w pańszczyźnie, własności w ściślejszem znaczeniu tego słowa nie dawał, gdyż własność ta obwarowana była przywiązanemi do gruntu obowiązkami, ale najważniejszą i wiekopomną zasługą Uniwersału było zniesienie poddaństwa.

Uniwersał Połaniecki długi czas, szczególniej w epoce popowstaniowej, był przedmiotem gorących sporów i nawet do dnia dzisiejszego wywołuje sprzeczne poglądy i opinje.

Jedni zarzucali Kościuszce, że srodze pobłądził, nie mając odwagi znieść całkowicie pańszczyzny, inni, że Uni-

wersał jego był aktem bezprawnym, albowiem zmniejszenie dni pańszczyźnianych postanawiał bez porozumienia się i zgody zainteresowanych w tem posiadaczów ziemskich, a więc obrażał jakoby poczucie prawa. Ale pierwsi zapominali, że tak gruntowną reformą, jak zupełne zniesienie pańszczyzny, odepchnąłby Kościuszko od powstania szlachtę, której udział w ówczesnych warunkach był dla powodzenia sprawy niezbędny, drudzy nie pamiętali, że nie co innego, jeno zbawienie Ojczyzny było dla Kościuszki najwyższem prawem i że w sumieniu swojem pogwałciłby poczucie tego prawa, nie imając się środków, jakie doradzało mu serce a wskazywał rozum.

Uniwersał Połaniecki, acz nie rozwiązywał ostatecznie sprawy włościańskiej, był dziełem, wybiegającem znacznie poza metę, u której zatrzymała się myśl reformatorska twórców Konstytucji 3 Maja. Dzieło to liczyło się z niechęcią i zacofaniem szlachty, z którą jako z najmożniejszą i najwięcej wpływów posiadającą warstwą społeczną, nie mógł się nie liczyć Kościuszko. Jeżeli już poprzednie jego rozporządzenia wywoływały pomruki niechęci, jeżeli w dobie wojny o wolność narodu do uszu Naczelnika dochodziły skargi na obarczanie nowemi uciążliwościami rodzin chłopów-żołnierzy, stojących pod sztandarem powstania, jeżeli Kościuszko przy swojej wrodzonej łagodności i dobroci serca musiał prześladowcom i ciemiężycielom „walecznych kraju obrońców“ grozić karą, jako „nieprzyjaciołom i zdrajcom Ojczyzny“, to wystarczy, aby uprzytomnić sobie, jaki był stan umysłów w tej sferze, od której Uniwersał z pod Połańca domagał się złożenia ofiary na ołtarzu wyzwalającej się Polski.

To było powodem, dla którego Kościuszko musiał myśleć o takich sposobach i środkach, któreby istotnie poprawiły byt mas miljonowych, a zarazem nie zrażały

przynajmniej ukształceńszej i patrjotycznej, a skłonniejszej do poświęceń szlachty. Musiał się liczyć z siłami, które stanęły do obrony kraju i zarazem szukać sił nowych, któreby tę obronę czyniły skuteczniejszą.

Wytaczano też zarzut, że Uniwersał Połaniecki nie ziścił nadziei, że nie przysporzył tylu obrońców, ilu chciał przysporzyć Naczelnik. Zarzut to niewątpliwie słuszny, ale nie przeciw Kościuszce i współpracownikom jego powinien być zwrócony, lecz przeciw tym, którzy egoizmem swoim lub opieszałością stawiali tamę reformie i bronili się przed nią murem kastowych uprzedzeń. Zwracano jeszcze uwagę, że uniwersał nierównomiernie rozkładał na dziedziców ulgi pańszczyźniane, że były w nim przeoczenia. Zapewne, że dzieło Kościuszki miało swoje słabe strony, ale należy pamiętać, że powstało w obozie, pomiędzy jedną bitwą a drugą, że zrodziło się nie na wolnej ziemi, ale w obliczu potężnego nieprzyjaciela, który rozumiał doniosłość reformy i gwałtem a przemocą nakładał na włościanina dawne jarzmo, gdzie tylko zdołał rozciągnąć swą władzę. Zresztą fakt, że uniwersał nie wydał spodziewanych owoców, ma swoją przyczynę i w nieszczęśliwym biegu dalszych wydarzeń, w owych klęskach, które Kościuszko przewidywał zaraz w pierwszej swojej odezwie po triumfie racławickim, a które czaiły się w mroku przyszłości i na srogą próbę miały wystawić stałość i energję walczącej o swą wolność Polski.

Kościuszko, z którego imieniem nieodłącznie związane jest powstanie r. 1794, swojemi czynami, swoją działalnością, cnotą, wreszcie całem życiem wniósł do skarbca narodowego wiele drogocennych pamiątek: pomiędzy niemi Uniwersał Połaniecki jest jednym z najpiękniejszych i najczystszym blaskiem płonących klejnotów.

Szacowny ten dokument, stanowiący najpiękniejszy ciąg dalszy Ustawy Majowej, wybiegający daleko poza cia-

snotę poglądów swej epoki, idący dalej, niż późniejsze reformy, potężną wolą Napoleona przeprowadzone w Księstwie Warszawskiem, będący śmiałem przeobrażeniem, poza które nie śmieli sięgnąć kierownicy powstania w roku 1831-ym, jest najchlubniejszem świadectwem odrodzeńczych dążeń patrjotyzmu polskiego.

Podobnie jak Ustawa Majowa, rehabilitując w oczach świata wieki polskiego nierządu i samowoli polskiej, stawiała Rzeczpospolitą w szeregu najoświeceńszych państw europejskich, tak Uniwersał Połaniecki, wracający miljonom ludzi wolność, ten skarb najcenniejszy, to przyrodzone prawo każdego narodu i każdego człowieka, wyznaczał walczącej Polsce przodownicze śród otaczających ją mocarstw stanowisko. Wspaniałe to dzieło zatrzaskiwało wrota wiekowej niewoli i w dziejach rzesz miljonowych nową otwierało erę, nową zaczynało kartę. Nie polskie ręce tę kartę zbryzgały krwią i wyrwały ją z księgi dziejów naszego narodu, nie polskiemi rękoma otwarta została brama, przez którą wtargnęła powrotna fala chłopskiej niedoli. Nie Kościuszko i jego współpracownicy, Kołłątaj i Potocki, zawinili, że śmiały a szlachetny poryw zbuntowanej Polski stał się jeno dostojnem świadectwem najwznioślejszych wysileń przodowników narodu.

Świadectwa takie mają przecież moc niepożytą.

Żyją niemi pokolenia.

Niestety, dzieje walki, którą toczyło pokolenie ówczesne, nie pozwoliły mu doczekać owoców, które zrodzić miał Uniwersał Połaniecki. Obca przemoc strzaskała pomnikowe dzieło. Ale nie zdołała go zniszczyć we wdzięcznej pamięci potomnych.

IX.

PIERWSZE KLĘSKI.

Po bitwie racławickiej w działaniach wojennych Kościuszki nastąpiła przerwa, którą Naczelnik zużytkował na pracę organizacyjną i doprowadzenie skupiających się przy nim sił do sprawności bojowej. Ale zwycięstwo racławickie, acz miało olbrzymie znaczenie moralne, na pewien czas tylko onieśmieliło Moskali. Generał Denisow, który chciał już wycofywać się z Polski, przychodził powoli do siebie, a nieatakowany przez wojska powstańcze, skupiał swoje rozproszone komendy i zebrawszy kilkanaście tysięcy żołnierzy oraz czterdzieści kilka armat, sam zaczął myśleć o krokach zaczepnych. Dnia 12 maja zjawił się pod Połańcem, spróbował nawet ataku na pozycje polskie, a odparty przez Polaków, nie uchodził z pola, lecz trzymał się w pobliżu i pomniejsze swoje oddziały wysyłał na plondrowanie i rabunek kraju. Niebawem rozpoczęły się gwałty i morderstwa, a co noc świecące łuny pożarne oznajmiały Kościuszce, że Moskale gospodarują w okolicy.

Siły Kościuszki wzrastały, ale w obozie brak było pieniędzy, broni, amunicji, a nawet żywności. Żołnierz nieraz kładł się spać głodny i głodny wstawał, nadaremnie oczeku-

jąc porannego posiłku. Wartość bojowa sił zgromadzonych była niewielka. Manewr, który regularnym wojskom rosyjskim zabierał kwadrans czasu, w wojsku polskiem, wobec małego wyćwiczenia szeregów, wymagał nieraz dwóch godzin. Wogóle zaś sytuacja wojenna przedstawiała się niepomyślnie, gdyż rozproszenie wojsk polskich na wielkich przestrzeniach utrudniało niesłychanie komunikację i wykluczało uplanowaną jedność w działaniu. Moskale przedzielali znacznemi siłami wojska polskie i w owym czasie przeszkadzali w przeprawie generałowi Grochowskiemu, który, zgromadziwszy po drugiej stronie Wisły znaczniejsze siły, dążył do połączenia się z Kościuszką.

W takich warunkach Naczelnik trwał pod Połańcem i w obliczu nieprzyjaciela prowadził energiczną pracę organizacyjną, zajmował się wszystkiemi sprawami powstania, wydawał przy pomocy Kołłątaja i Potockiego liczne zarządzenia, dotyczące całego kraju lub poszczególnych ognisk powstańczych i, jak mógł, podsycał płomienie rozrastającej się insurekcji.

Nareszcie korpus Grochowskiego, zmyliwszy manewrami swojemi Moskali, przekroczył 17 maja Wisłę i śpiesznym marszem dążył do złączenia się z Kościuszką.

Dowiedział się o tem Denisow, zwinął w nocy swój obóz i posunął się ku granicy pruskiej.

Kościuszko, wzmocniony przez Grochowskiego, wyruszył za Moskalami, ale posuwał się powoli, ostrożnie. Dnia 26 maja wojsko polskie stanęło w Jędrzejowie. Nazajutrz zameldował się Naczelnikowi dawny jego wódz, książę Józef Poniatowski, który na odgłos walki przybył z zagranicy do kraju, by stanąć pod sztandarami powstania. Organizatorzy insurekcji i sama insurekcja zapomniała o ks. Józefie, a raczej pominęła go zupełnie: nieufność, żywiona do króla, przenosiła się na całą jego rodzinę i godziła swojemi

pociskami w prawego patrjotę, bohaterskiego ks. Józefa. Wzywał go jedynie król, szukający w popularności dawnego wodza wojsk polskich osłony dla siebie. Książę Józef, wierny swemu poczuciu obowiązku, nie ustraszył się nieżyczliwości, nie uląkł się krzyków i zarzutów, któremi obarczano całą jego rodzinę, i stanął teraz przed dawnym swoim podkomendnym, a na zapytanie, czego sobie życzy, odpowiedział, że chce służyć jako prosty żołnierz. Kościuszko ofiarował mu zaraz naczelną komendę na Litwie, ale Poniatowski, chcąc prawdopodobnie być bliżej króla, wymówił się od tej propozycji i, na nieszczęście dla powstania, na Litwę wyjechał Wielhorski, ks. Józef zaś udał się do Warszawy, nie otrzymawszy narazie żadnego stanowiska.

Kościuszko wraz ze swoją armją posuwał się dalej.

Tymczasem zagroziła mu nowa a bardzo poważna siła. Dnia 10 maja przekroczyła granicę województwa krakowskiego 10.000-czna armja pruska, a 3 czerwca przybył król Fryderyk Wilhelm i stanął na jej czele. Denisow połączył się z wojskiem pruskiem, właśnie w chwili, gdy Kościuszko postanowił go zaatakować. Połączone siły nieprzyjacielskie składały się z 26.500 żołnierzy, a artylerja wojsk obu miała dział 124.

Przeciwko tej sile prowadził Kościuszko 15.000-czne wojsko, w tem tylko 9.000 żołnierza regularnego i 24 armaty. Zarówno przewaga liczebna wojsk, jak przewaga artylerji nieprzyjacielskiej, była tak olbrzymia, że wydanie bitwy stawało się krokiem bardzo ryzykownym.

Co skłoniło Kościuszkę do tego kroku: czy nie był dobrze powiadomiony o sile wojsk nieprzyjacielskich, czy nie wierzył w połączenie się obu armij, czy został w błąd wprowadzony, lub inne miał powody do stoczenia bitwy— dość, że nie zmienił swego planu. Najprawdopodobniej rolę rozstrzygającą odegrała w tym wypadku chytra poli-

łyka pruska. Poseł pruski Buchholtz, przebywający w Warszawie, z powodzeniem łudził władze polskie życzliwością swojego dworu. Warszawa długo nie wierzyła w niebezpieczeństwo pruskie, a nie jest wykluczonem, że i Kościuszko podzielał to przekonanie i również łudził się nadzieją, że Prusacy nie wezmą udziału w walce z Polakami. Połączenie się wojsk Fryderyka Wilhelma z Moskalami było przecież groźnem ostrzeżeniem. Pomimo to wojska polskie posuwały się naprzód.

Dnia 6 czerwca armja polska stanęła pod Szczekocinami naprzeciw wojsk nieprzyjacielskich i teraz dopiero przekonali się żołnierze, że nie z samymi Moskalami będą mieli do czynienia.

Kościuszko zajął dobrze upatrzoną pozycję na nieznacznem wzgórzu. Prawe skrzydło, złożone niemal z samej jazdy, a dowodzone przez ks. Eustachego Sanguszkę, zajęło pola wsi Hebdzie, lewe, pod komendą Ponińskiego, wysunięte było przed Rawkę. Częściowo osłaniał je mały lasek, w którym ustawiono armaty. Wojska nieprzyjacielskie, zajmujące wieś Przybyszew, skutkiem błędów, które popełnili dowódcy poszczególnych oddziałów, nie stanęły na wskazanych im stanowiskach i w obliczu Polaków rozpoczęły manewry, by według planu obsadzić wyznaczone punkty. Kościuszko, nie chcąc najwidoczniej opuszczać dogodnej pozycji, jak nie chciał w swoim czasie uczynić tego pod Racławicami, nie wykorzystał zamieszania i w ten sposób stracił chwilę, w której można było osiągnąć znaczniejsze powodzenie. Skutkiem nieczynności Polaków wojska pruskie i moskiewskie bez przeszkód ukończyły swoje manewry i wyciągnęły się w długą na trzy wiorsty kolumnę.

Bitwę rozpoczął ogień artylerji, a jeden z pierwszych pocisków ugodził generała Wodzickiego i na miejscu położył go trupem. Armaty polskie, górujące celnością strza-

łów nad nieprzyjacielskiemi, o wielkie straty przyprawiały wojska połączone. Już dwie godziny trwała ta rozmowa artylerji, gdy silny oddział piechoty pruskiej zaczął postępować ku lewemu skrzydłu wojsk polskich. Kościuszko postanowił uprzedzić ten atak i ku zbliżającej się piechocie wysłał regiment grenadjerów krakowskich pod pułkownikiem Krzyckim i pułk Wodzickiego, pod wodzą majora Lukke. Śmiało skoczyli naprzód grenadjerzy, a pułk Wodzickiego, pragnący pomścić śmierć swego dowódcy, z największą furją rzucił się na nieprzyjaciela, rozbił dwa pierwsze bataljony i wciąż idąc naprzód, łamiąc po drodze przeszkody, dopadł armat nieprzyjacielskich i, wyrąbawszy kanonierów, zaczął je zagważdżać. Ale już druga linja piechoty pruskiej postępowała naprzód, rozbite bataljony sformowały się na nowo i zwycięski pochód piechoty polskiej został wstrzymany. Jednakże tę chwilę zamieszania wykorzystał Kościuszko i z powodzeniem zaatakował kraniec lewego skrzydła Prusaków. Wówczas 14 szwadronów jazdy rosyjskiej, wspomaganych przez jazdę pruską, ruszyło rozwiniętym frontem do ataku. Cofnęła się pierwsza linja piechoty polskiej i olbrzymi atak jazdy spadł całym swoim impetem na grenadjerów krakowskich. Dzielni chłopi kosami wstrzymali bohatersko zapęd licznej jazdy. Ale było to ostatnie wysilenie wojsk polskich. Nieprzyjaciel szybko odzyskał przewagę, złamał walczące szyki polskie, zmusił je do odwrotu, a w chwilę potem, niby żelazne ramię, wysunął potężną kolumnę, zaczynającą ogarniać wojsko polskie. Sytuacja stawała się niebezpieczną, cała armja polska była zagrożona. Pod wpływem tego niebezpieczeństwa Kościuszko zarządził odwrót i cofał się do Małogoszcza. Odwrót dzielnie zasłaniał generał Ignacy Kamieński.

Bitwa ta kosztowała wojsko polskie tysiąc kilkuset zabitych, rannych i wziętych do niewoli. Oprócz generała

Wodzickiego padł śmiercią walecznych generał Grochowski, rany odnieśli generałowie: Madaliński, Granowski, Poniński, pod Kościuszką ubito dwa konie, on sam odniósł lekką kontuzję. Gęstym trupem zasłali plac boju dzielni grenadjerzy krakowscy, legł na polu chwały bohater z pod Racławic, Bartosz Głowacki. Osiem armat dostało się w ręce nieprzyjacielskie.

Nieszczęśliwa ta bitwa spowodowała upadek ducha w młodym żołnierzu polskim, zachwiała wiarę w niezwyciężoność Naczelnika, zaćmiła sławę, zdobytą na polach Racławic, i po wielu powodzeniach była pierwszym poważnym ciosem, który przytłumił potężnie rozbudzoną w całej Polsce nadzieję i rzucił cień ponury na jasne tło dotychczasowych triumfów.

Niebawem nowa smutna wiadomość żałobnem echem rozeszła się po całym kraju. Oto generał Zajączek, wyprawiony przez Kościuszkę na czele kilkutysięcznego korpusu przeciw generałowi rosyjskiemu Derfeldenowi dla powstrzymania przeprawy przez Bug, dnia 8 czerwca, a więc w dwa dni po klęsce szczekocińskiej, pobity został pod Chełmem i podobnie, jak Kościuszko, ratował się odwrotem.

Po tych dwóch nieszczęśliwych bitwach wojsko polskie szukało oparcia w stolicy. Zajączek cofał się na Lublin i Puławy, Kościuszko, zręcznemi manewrami unikając nowego spotkania, ściągał zewsząd siły powstańcze i szedł ku Warszawie przez Kielce i Radom.

Ciężkie chwile przyszły na Naczelnika. Niespodziewana zbrojna interwencja Prus ogromnie pomniejszała szanse powstania, a dwie niemal jednocześnie przegrane bitwy zatrwożyły słabszych duchem i zwątpienie a trwogę rozniosły po kraju. Kościuszko nie stracił serca i nie zwątpił o sprawie. Nazajutrz po bitwie pod Szczekocinami, nie tając bynajmniej swego niepowodzenia, wzywał naród „do podwojenia gorliwości i natężenia republikańskiego mę-

stwa", a w trzy dni później, stanąwszy w Kielcach, wydał „ordynans generalny do całej siły zbrojnej narodowej względem wkraczania w kraje nieprzyjaciół naszych". W ordynansie tym wzywał komendantów, stojących na czele poszczególnych korpusów wojska linjowego, aby, o ile tylko pozwalają na to warunki, wkraczali w granice państw nieprzyjacielskich i tam, „głosząc wolność i powstanie Polaków, lud uciemiężony i jarzmem przyciśniony niewoli, wzywali do łączenia się z nami i uzbrojenia powszechnego przeciwko uzurpatorom i ich przemocy".

Istotnie sytuacja wymagała „natężenia męstwa", zdwojonej energji i zdwojonego zapału. Nowe poważniejsze zwycięstwo Polaków mogło podnieść ducha i wzmocnić wiarę, zaczynającą już rozwiewać się na tle niepowodzeń, jako dym na wietrze. Na nieszczęście, nowa klęska, jak grom, miała uderzyć w zatrwożone serca. Dnia 15 czerwca kapitulował Kraków, kapitulował haniebnie, bo komendant tego miasta, pułkownik Wieniawski, wydał je bez wyczerpania środków obrony, nawet bez próby stawienia czoła wojskom pruskim. Ze względów strategicznych kapitulacja ta w położeniu ówczesnem nie miała już większego znaczenia. Ale strata miasta, z którego padło hasło powstania, upadek szczególnie ukochanej przez ogół prastarej stolicy Polski, wstrząsające uczynił wrażenie i nowy smutek i nowe zwątpienie rozprzestrzenił po kraju.

Cios za ciosem, jak piorun za piorunem, walił się na głowy obrońców wolności, a do nieszczęść, które niosła wojna i jej zmienne koleje, przyłączyły się niebawem rozterki i waśnie wewnętrzne. Siła, mająca stawiać czoło niebezpieczeństwom zewnętrznym, zaczęła rozkładać się wewnątrz. Jeszcze tylko powaga Kościuszki, jego energiczna postawa, jego duch, niezłamany przeciwnościami losu, jego odezwy, świadczące, że nie rozpacza i nie traci nadziei,

trzymały w karbach posłuszeństwa rozprzęgające się siły powstania.

Ale wieść o haniebnem poddaniu Krakowa wstrząsnęła Warszawą.

Lud warszawski, który w dniach kwietniowych dał wymowny dowód swego patrjotyzmu i swego męstwa, nieustannie przejęty był trwogą, że to, co wywalczył patrjotyzm, zaprzepaści nikczemność i zdrada. Przykłady tej zdrady były tak częste, przedajność tak jawna, ludzie okryci hańbą tak znani, że przeciwko nim powstał znowu gniew patrjotycznego mieszczaństwa. Lud warszawski był podejrzliwy. Niepokoił go król, niepokoili osadzeni pod zarzutem zdrady więźniowie, których nie kwapiła się dosięgnąć ręka sprawiedliwości. Klęski na placu boju podniecały umysły, a nikczemne poddanie Krakowa przepełniło miarę.

Na widowni ukazał się znowu Konopka, ten sam duch niespokojny, który w dniu 9 maja wpadł na czele uzbrojonego ludu do ratusza i domagał się od Rady Zastępczej natychmiastowego powieszenia zdrajców. Konopka i ks. Meier wykorzystali wrażenie, jakie wywarł na ludności upadek Krakowa, i znowu rozkołysali w stolicy gromadzące się niezadowolenie. Dnia 27 czerwca Konopka zjawił się na okopach Warszawy i przemówił gorąco do ćwiczącej się za okopami milicji warszawskiej. Wskazując bosego żołnierza, porównał dolę jego z losem uwięzionych zdrajców, których Rada Najwyższa, nie szczędząc kosztów, utrzymuje i żywi. Przemówił później na Starem Mieście do zgromadzonej przed ratuszem publiczności, a słowa jego padały na zgromadzone prochy, jak płonące głownie. W jednej chwili zapalił się gniew ludu i rozszerzał się po mieście, jak pożar. Tłumy wypełniły ulice, hałasowały całą noc i, odgrażając się zdrajcom, przy krwawych blaskach pochodni

wznosiły szubienice. Następnego dnia, gdy z rozkazu Rady Najwyższej zaczęto szubienice burzyć, tłum z bronią w ręku nie dopuścił do spełnienia rozkazu, a nadto rzucił się do więzień, opanował je i porwał więźniów, budzących największą nienawiść. Straszne, grozą przejmujące sceny rozegrały się znowu na ulicach Warszawy. Nadaremnie wleczone na stracenie ofiary rozdzierającemi głosami błagały swoich oprawców o litość, nadaremnie, żebrząc zmiłowania, domagały się, by sąd ich sprawy rozpatrzył. Zemsta ludu, nieubłagana i ślepa, strasznym okrzykiem wzywała katów, a gdy ci nie przybywali, znaleźli się ochotnicy, którzy dobrowolnie podjęli się katowskiego rzemiosła. Wśród strasznych urągowisk powieszeni zostali: biskup Massalski, kasztelan książę Czetwertyński, Boscamp-Lasopolski, służalec Igelströma Roguski, szambelan Grabowski i Piętka, obaj obwinieni o szpiegostwo. Stracono również zupełnie niewinnego człowieka, Józefa Majewskiego, który niósł papiery do sądu i bronił ich, gdy tłum chciał je zabrać; zawisł również na szubienicy dawny członek Rady Zastępczej, Wulfers, na którym ciążyły podejrzenia, że podtrzymywał stosunki z wziętymi do niewoli jeńcami moskiewskimi. Prezydent Zakrzewski ocalił swoim wpływem od stryczka marszałka koronnego Moszyńskiego, znanego służalca Rosji, wiernego pomocnika Igelströma w ściganiu patrjotów, a datkiem uwolnił się od kaźni biskup Skarszewski.

Wypadki te były nowym ciosem dla Kościuszki, wiadomość o nich napełniła serce Naczelnika „goryczą i smutkiem". W odezwie do ludu warszawskiego pisał, że chęć ukarania winowajców była dobra, ale egzekucje bez wyroku sądowego dopełnione, powieszenie paru ludzi niewinnych, do głębi go poruszyły. „Kiedy wszystkie trudy i starania moje—głosił w swej odezwie — natężone są ku odparciu nieprzyjaciela, wieść mnie dochodzi, iż straszniejszy

nad obce wojsko nieprzyjaciel grozi nam i wnętrzności nasze rozdziera". I, potępiając pogwałcenie prawa, mocno podkreślał, że „kto prawu posłuszny być nie chce, ten nie wart wolności". Ludowi w sposób stanowczy zakazywał wdzierania się do więzień i wymierzania kary śmierci, a Radzie Najwyższej zalecił, aby ze swojej strony pilnowała, by sąd kryminalny zatrudniał się nieustannie „sądzeniem więzionych, karaniem winnych i uwalnianiem niewinnych"...

Sprawcy rozruchów pociągnięci zostali do odpowiedzialności. Sąd uwolnił Konopkę i księdza Meiera, lecz siedmiu, którym udowodniono, że brali udział w samowolnem wieszaniu więźniów, skazał na szubienicę.

Wypadki te wywołały ogromne niezadowolenie śród ludu Warszawy i wywołały rozterki w łonie Rady Najwyższej Narodowej. Obudziła się podejrzliwość i coraz ostrzej zaczęli się ścierać ze sobą przeciwnicy. Kołłątaj, którego nazywano Robespierrem i bez żadnych dowodów obwiniano, że jest moralnym sprawcą wypadków 28 czerwca, stał się przedmiotem najstraszniejszych oszczerstw i zarzutów. Coraz wyraźniej zarysowywały się dwie partje: jedna z nich, której głowę stanowił Kołłątaj, zwana jakobińską, istotnie odznaczała się radykalizmem i gotowa była do stosowania najgwałtowniejszych środków dla ratowania sprawy narodowej. Inna grupa skupiała się przy Mokronowskim i Wybickim, a składała się z ludzi umiarkowanych, nieraz zbliżonych do króla i nieraz nieprzyjaźnie względem Kościuszki usposobionych. Oba te obozy zwalczały się wzajemnie, obarczały się najcięższemi zarzutami, rzucały na siebie gradem podejrzeń i osłabiały powagę oraz sprawność rządu.

Kościuszko do żadnego z obozów tych nie należał. Był między niemi rozjemcą. W obawie przed wszelką krańcowością, w nieustannej trosce, by wszystkich w jednem zespolić dążeniu, łagodził swą powagą spory i nie do-

puszczał do wybuchu, któryby spowodował walkę wewnętrzną. Ufając talentom i patrjotyzmowi Kołłątaja i Potockiego, szanował również i ich przeciwników, nieraz może na rzecz tych ostatnich zbyt dalekie czyniąc ustępstwa. Ale wielkie serce Naczelnika, ożywione jednem jedynem uczuciem, niezdolne było do unoszenia się stronniczością. Kościuszko nie miał w sobie nic z człowieka partji, nic z namiętności stronniczej. Szczery demokrata i szczery republikanin, nie wytwarzał wkoło siebie siły jednego stronnictwa, nie opierał się na jednym obozie, lecz wszystkich chciał natchnąć jedną myślą i wszystkich prowadzić do jednego celu. Dawało mu to wielką siłę moralną, świadczyło o jego wielkiem sercu i wielkiej dobroci, ale krępowało nieraz w działaniach i skłaniało do liczenia się z okolicznościami, któremi jedynie żelazna i bezwzględna ręka mogła w dobie wojny narodowej kierować.

Położenie powstania stawało się coraz cięższe.

Kraj, zajęty przez wojska nieprzyjacielskie, objęty pożogą wojenną, rabowany, niszczony, utrudniał niesłychanie organizowanie sił zbrojnych, uniemożliwiał pobór potrzebnych na prowadzenie walki środków pieniężnych. Wprawdzie, dzięki niezmordowanej pracy i pomysłowości Kołłątaja, dzięki jego zarządzeniom, nie cofającym się przed użyciem na cele wojny nawet wszelkich bogactw, zgromadzonych w kościołach, najniezbędniejsze potrzeby, acz w niedostatecznej mierze i z wielkim trudem, były zaspakajane. Ale w najdotkliwszy sposób dawał się odczuwać brak odlewni armat, brak dostatecznej ilości fabryk broni, brak umundurowania i sprzętu wojennego. Nadomiar nieszczęścia rosły siły przeciwników. Kiedy Kościuszko ogłaszał Akt Powstania w Krakowie, ogółowi patrjotów zdawało się, że powstanie, przeciw Rosji zwrócone, z samą Rosją będzie miało do czynienia. Tymczasem zawiodła nadzieja,

pokładana w neutralności zdradzieckich Prus, zawiodła życzliwość Austrji, na którą liczył Kościuszko, a której do tego stopnia był pewien, że w swoim czasie wydał rozporządzenie, aby na wypadek niemożności obronienia Krakowa przed wojskiem pruskiem, wydano miasto Austrjakom. Wprawdzie Austrja nie pragnęła wojny z Polską, ale gdy nieszczęśliwy bieg wydarzeń wytworzył w Wiedniu przeświadczenie, że wynikiem powstania będzie nowy podział kraju pomiędzy Rosją a Prusami, odrazu zmieniło się stanowisko gabinetu wiedeńskiego. Austrja, nie chcąc pozostać na boku w razie rozbioru Polski, postanowiła czynnie wystąpić. Jakoż zgodnie z tem postanowieniem, korpus austrjacki, pod wodzą generała Harnoncourta, wkroczył w województwo sandomierskie. Nadaremnie Kościuszko wyrażał z tego powodu bolesne zdziwienie i zakładał energiczny protest. Harnoncourt dawał uspokajające odpowiedzi, zapewniał, że idzie tylko o zabezpieczenie granic cesarskich, o ochronę ludności Rzeczypospolitej od rabunku i pożogi, ale jednocześnie wojska jego maszerowały dalej, zajmowały Lubelskie i posuwały się na Wołyń. Ukazanie się na widowni wojny jeszcze jednego potężnego przeciwnika nową było dla powstania klęską. Zawiodła pomoc państw innych. Zawiodła Francja, przeżywająca paroksyzm strasznych walk wewnętrznych, zawiodła Turcja, nie mogąca zdecydować się na rozpoczęcie nowej wojny z Rosją, nie przyniosła powstaniu nic platoniczna życzliwość Szwecji—i runął w gruzy układany na emigracji projekt koalicji francusko-szwedzko-polsko-tureckiej. Natomiast rosły siły nieprzyjaciół i coraz potężniej zagrażały powstaniu.

Polska, pozostawiona samej sobie, w sobie tylko mogła szukać środków ocalenia.

X.

OBRONA WARSZAWY.

A tymczasem wolna przestrzeń Polski stawała się coraz mniejszą. Za ciągnącemi ku stolicy wojskami polskiemi posuwały się armje nieprzyjacielskie i dokoła Warszawy zaciskała się zwolna żelazna obręcz armat i bagnetów. O mury miejskie coraz głośniej obijały się echa wojennej wrzawy, niby echa burzy, zbliżającej się ku stolicy. Dnia 10 lipca rozległ się huk dział pod Gołkowem. To Zajączek odpierał generała Denisowa, a męstwo Działyńczyków i kosy chłopskie, płatające „jeźdźców razem z końmi", dzielnie wstrzymywały napór sił nieprzyjacielskich. Tegoż dnia dała się słyszeć rozgłośna kanonada na polach Raszyna. Tu znowu Kościuszkę atakowały wojska króla pruskiego. Były to już wyraźne sygnały, zwiastujące mieszkańcom Warszawy, że zbliża się dla nich okres ciężkiej próby.

Dnia 10 lipca zatrzymał się Kościuszko pod Królikarnią i zawiadomił Radę Najwyższą Narodową o ostatnich, szczęśliwie stoczonych utarczkach, poczem wprowadził połączone korpusy w okopy Warszawy. A w dwa dni później żołnierze polscy, stojący na szańcach, ujrzeli rozlewającą się dokoła lawinę wojsk nieprzyjacielskich. Ostrzeżono

mieszkańców stolicy: armata, ustawiona pod pomnikiem Zygmunta, ryknęła na alarm. Na ten sygnał wyruszyło z miasta uzbrojone mieszczaństwo i w największym porządku zajęło w okopach wyznaczone mu miejsca. Ukazał się Kościuszko. Objeżdżał konno linje fortyfikacyjne, pozdrawiał lud i wojsko. Zapał wojska i ludu witał go wszędzie. Na widok Naczelnika rozjaśniały się czoła, otucha wstępowała w serca i zaćmiona nadzieja żywszym zapalała się blaskiem.

Siły, któremi Kościuszko rozporządzał, składały się z 16.000 regularnego żołnierza, z 10.000 uzbrojonych włościan oraz milicji warszawskiej, obliczanej na 10.000 głów. 200 armat, nie posiadających dostatecznej obsługi, broniło szańców Warszawy. Brak broni nie pozwalał zużytkować wszystkich rąk, gotowych do pełnienia służby. Siły swoje podzielił Kościuszko na trzy korpusy. Sam stanął w Mokotowie i tam założył główną kwaterę, Zajączek zajmował Czyste i Wolę, a Marymont i Powązki bronione były przez Mokronowskiego, po którym objął później komendę ks. Józef Poniatowski, by z kolei ustąpić miejsca generałowi Dąbrowskiemu.

Połączone armje oblężnicze: pruska, pod dowództwem Fryderyka Wilhelma, i rosyjska, pod wodzą Fersena, liczyły 40.000 żołnierzy i armat 230.

Fortyfikacje, osłaniające Warszawę, acz cała ludność zdawna ochoczo sypała szańce, nie były jeszcze wykończone i wiele pozostawiały do życzenia. Ale wojska oblężnicze przygotowywały się do szturmu i, czekając na ciężkie armaty, nie kwapiły się z rozpoczęciem działań wojennych. Kilkanaście dni upłynęło w spokoju, a czas ten znakomicie wykorzystał Kościuszko, światły i doświadczony inżynier, mistrz w wojnie oblężniczej. Rozwinąwszy niezmordowaną działalność, osobiście doglądając robót, wzniósł

nową linję szańców i znakomicie umocnił Rakowiec, pozycję, co, jak strzała, na cięciwie łuku fortyfikacyj polskich wysunięta była ku nieprzyjacielowi.

W trakcie tych prac Kościuszko otrzymał radosną wiadomość o odparciu od Wilna, oblegających to miasto generałów rosyjskich, Knorringa i Zubowa. Nie była to zasługa komendanta zbrojnej siły na Litwie, Wielhorskiego, który nie znajdował się w Wilnie i nie śpieszył mu nawet z pomocą, ograniczając się do nadesłania z odsieczą jednego oddziału pod wodzą Stefana Grabowskiego. Komendant miasta Jerzy Grabowski, dzielność Stefana Grabowskiego, a przedewszystkiem mieszczanie wileńscy swoją energją, męstwem i poświęceniem ocalili stolicę Litwy. Wiadomość ta była dobrą dla Warszawy wróżbą. Rozradował się Kościuszko i wiwatami z dział kazał obwieścić miastu to szczęśliwe zdarzenie!

W kilka dni później inny huk wstrząsnął murami Warszawy. 27 lipca w nocy trzy silne kolumny nieprzyjacielskie zbliżyły się ku Woli, a o świcie husarze pruscy wpadli na straże polskie i zmusili je do ustąpienia. Wkrótce potem piechota pruska wyparła oddział strzelców polskich, usadowiła się w Woli i rozciągnęła się do wsi Szczęśliwice. Król pruski zamieszkał we Włochach, a wojska jego przystąpiły do działań oblężniczych. Następnej nocy Kościuszko kazał obrzucić Szczęśliwice płonącemi kulami, które wywołały ogromny pożar i zmusiły Prusaków do ustąpienia z tej wsi wraz z całą artylerją. W nocy z dnia 30-go na 31-y lipca działa polskie, skierowane ku Woli, grzmiały nieustannie, by przeszkodzić robotom nad przekopami nieprzyjacielskiemi, ale ogień był bezskuteczny. Nad ranem rozpoczął bombardowanie król pruski i deszcz kul ognistych, bomb i granatów sypał się na okopy polskie, a straszny huk wstrząsał murami miasta i zmuszał je do ustawi-

cznej czujności. Ogień ten nie przyczynił strat, ale nazajutrz król pruski wezwał Warszawę do kapitulacji. Odpowiedział mu na to Kościuszko, że „miasto Warszawa nie jest w przypadku potrzeby poddania się", a Stanisław August na list, do niego zwrócony, również odpowiedział odmownie, lecz nieomieszkał, jakby dla osłabienia swojej odmowy, odwołać się do uczuć ludzkości.

Odtąd codziennie grzmiały działa i raz wraz wzmagał się ogień obustronny.

Warszawa bardzo prędko oswoiła się z tą muzyką i najgwałtowniejsza kanonada przestała wkrótce robić wrażenie. Milicja warszawska, źle wyćwiczona, ale odznaczająca się odwagą i męstwem, na odgłos alarmu wesoło ruszała do okopów i z fantazją pełniła swą służbę. Śród tej milicji zwracał na siebie uwagę oddział starozakonnych pod dowództwem Berka Josielowicza, który później wraz z drugim swoim współwyznawcą, Aronowiczem, postanowił utworzyć pułk starozakonny lekkiej jazdy, co zyskało gorącą pochwałę i zachętę ze strony Kościuszki. Cała ludność nabrała otuchy i z zapałem wykonywała rozkazy Naczelnika, który pełnem prostoty postępowaniem bardzo prędko zjednał sobie serce Warszawy. Nieustannie czynny i czujny, na wszystko zwracał uwagę, był wszędzie i wszystkiem się zajmował. A gdziekolwiek się ukazał, tam promieniała, jak słońce, pogoda jego zacnej duszy, tam rozweselały się umysły i ufność wstępowała w piersi. Na widok jego sukmanki obnażały się głowy, ludność witała go przyjaznym szmerem, a na okrzyk: „Kościuszko jedzie!" nawet małe dzieci biegły do okien i pożerały oczyma bohatera, którego obraz, jak świadczy Lelewel, jako najdroższe wspomnienie, przez całe życie potem opromieniał dusze. A Kościuszko niezmordowany, wiecznie zajęty, przez cały czas oblężenia sypiający po parę godzin, i to nie inaczej, jak w ubraniu

zawsze łaskawy, serdeczny i prosty, natchnął zapałem całe wojsko i nowe życie tchnął w oblężone miasto. Nikt nie mówił i nie myślał o poddaniu stolicy, wszyscy byli święcie przekonani, że póki Kościuszko kieruje obroną, póty los Warszawy jest zabezpieczony.

Tylko nieliczne wyjątki tęskniły do dawnego stanu rzeczy, a byli to jurgieltnicy Moskwy, zdrajcy, siedzący w więzieniach, wreszcie strąceni dygnitarze, którzy nie mogli pogodzić się z faktem, że nieznaczny szlachcic w chłopskiej sukmanie stał się władzą najwyższą, której wszystko podlega, a która wiedzie Polskę ku nowemu życiu. Do tych wyjątków należeć musiał brat króla, prymas Poniatowski, którego śmierć nagłą i tajemniczą lud łączył z wykryciem zdrady, o której gruchnęła wieść po Warszawie. Mówiono, że Poniatowski komunikował się z nieprzyjaciółmi, że straże polskie przejęły jego list, w którym dawał wskazówki, w jaki sposób najłatwiej zdobyć można Warszawę. Już lud się burzył, już rozmyślał o stawianiu szubienicy, gdy nagły skon prymasa zażegnał wzburzenie. Podobno Stanisław August, dla uniknięcia strasznej hańby, namówił brata do zażycia trucizny. Okropny dwuwiersz zrodził się wówczas na bruku ulicznym i obiegał całe miasto:

Książę prymas zwąchał linę,
Wolał proszek, niż drabinę.

Wogóle lud warszawski z największą nieufnością odnosił się do wszystkich, którzy mieli związek z Targowicą, lub Targowicy zawdzięczali swoje stanowiska. Była chwila, że sam król znalazł się w poważnem niebezpieczeństwie. Ksiądz Franciszek Dmochowski, który po Jaśkiewiczu objął w Radzie Najwyższej kierownictwo wydziałem instrukcji, pomieścił w Gazecie Rządowej listę dygnitarzy, któ-

rzy według spisu, znalezionego w ambasadzie rosyjskiej, pobierali od Moskali pieniądze w czasie sejmu delegacyjnego. Na liście tej znalazł się i Stanisław August, a obok jego imienia figurowała suma kilkunastu tysięcy dukatów. Wiadomość ta ukazała się wkrótce po śmierci prymasa i wzbudziła gniew przeciw królowi. Musiał się Stanisław August tłumaczyć przed Radą Najwyższą i prosić ją o usprawiedliwienie go przed opinją publiczną. Raz jeszcze uniknął szczęśliwie strasznego losu, ale opinja, nieustannie obawiająca się zdrady, często wybuchała oburzeniem. Szczególny gniew budził sąd kryminalny, nie śpieszący się bynajmniej z osądzeniem więźniów, o zdradę oskarżonych. Dla zażegnania tego gniewu sąd skazał zaocznie na szubienicę autorów aktu targowickiego ze Szczęsnym Potockim, Branickim i Rzewuskim na czele, a tablice z ich imionami polecił katu wywiesić na szubienicy. Wyrok na nieobecnych nie ułagodził opinji. Kościuszko, ulegając naciskowi, ustanowił sąd wojskowy pod przewodnictwem generała Zajączka, który miał sławę jakobina i terorysty, a jako zwolennik Hugona Kołłątaja, hugonistą był nazywany. Istotnie sąd ten nie żartował. Pierwszą sprawę wytoczył biskupowi Skarszewskiemu, który w dniach czerwcowych, dzięki przytomności umysłu, uniknął śmierci. Skarszewski, obwiniony o zdradę kraju, skazany został na śmierć przez powieszenie. Wyrok ten jednak nie został wykonany: Kościuszko na prośby nuncjusza papieskiego i króla zamienił karę śmierci na więzienie dożywotnie. A mimo, że to uczynił Kościuszko, mający za sobą serca ludności, postępek jego wywołał głuchy pomruk niezadowolenia. Lud oburzony był tą łagodnością, a generał Zajączek wraz z całym kompletem sądu podał się do dymisji.

Wypadki te rozgrywały się częściowo w czasie samego oblężenia, częściowo już po oblężeniu, które, dzięki energji

Kościuszki i męstwu wojska polskiego, bardzo niewielkie czyniło postępy.

Natomiast wojsko polskie nieraz dawało się nieprzyjacielowi we znaki. Dnia 31 lipca, w dzień imienin generała Ignacego Kamieńskiego, podkomendni jego, chcąc uczcić solenizanta, wyruszyli na ochotnika w 350 koni na pozycje rosyjskie, wdarli się śmiało w okopy i, wyciąwszy kilkudziesięciu Moskali oraz zagwoździwszy działa, wrócili szczęśliwie do obozu. W kilka dni później Dąbrowski wypadł z Czerniakowa, wypłoszył Moskali z Augustowa i Zawad i pędził ich przed sobą aż za Wilanów, poczem w zupełnym porządku, ze stratą tylko trzech ludzi powrócił z tej zuchwałej wyprawy. Wkrótce potem przy pomocy mieszczan zdobył Augustów i wyspę Zawadzką, a usadowiwszy się na nowych pozycjach, zmuszał Moskali do nieustannej czujności.

Dnia 19 sierpnia Prusacy otrzymali nowe posiłki i ciężkie armaty oblężnicze.

Oblężenie wkraczało w fazę decydującą.

Dnia 26 sierpnia wojska pruskie skierowały o samym świcie gwałtowny ogień na pozycje polskie od strony Powązek, a w godzinę później silna kolumna szturmowa pod dowództwem generała Goetza zaatakowała Góry Szwedzkie i Wawrzyszew. Ks. Józef Poniatowski, który po Mokronowskim sprawował tutaj komendę, dał się zaskoczyć. Piechota pruska, nie zważając na ogień kartaczowy, bez wystrzału posuwała się naprzód, dopadła Gór Szwedzkich, bagnetem wyparła piechotę polską i zdobyła 8 armat. Jednocześnie opanowany został Wawrzyszew. Książę Józef, nieobecny podczas ataku, nadbiegł śpiesznie z kawalerją i odważnie rzucił się na nieprzyjaciela, ale wszystkie jego wysiłki zostały odparte. Kontuzjowany i zrozpaczony stratą, krzywdzony niesłusznemi podejrzeniami, złożył komendę, którą Kościuszko powierzył Dąbrowskiemu.

Dzielny ten generał żelazną ręką ujął ster obrony, a przewidując, że Prusacy zechcą wykorzystać swoje powodzenie, energicznie przysposabiał się do odparcia szturmu. Dzień 27 sierpnia upłynął spokojnie, ale nazajutrz rozszalała burza.

Był to dzień „tak straszny, jak nigdy".

Od samego rana wzdłuż całej linji fortyfikacyjnej ukazały się potężne kolumny nieprzyjacielskie wojsk obu, a wszystkie baterje zionęły ogniem na pozycje polskie. Przyszła chwila decydująca. Zaatakowane zostały szańce, bronione przez Kościuszkę i Zajączka, ale były to tylko manewry, osłaniające istotny cel szturmu. Główne siły zwróciły się przeciw pozycjom Dąbrowskiego. Znakomity generał przygotowany był na to i mężnie odpierał gwałtowne ataki. W pierwszym zapędzie grenadjerzy pruscy, pomimo mężnej obrony, zdobyli trzy szańce na Skalszczyźnie, ale na tem skończyło się ich powodzenie. Dąbrowski, atakowany przemagającemi siłami, zalewany raz po raz szturmującą falą, zasypywany gradem kul i kartaczy, bronił się, jak lew. Trzy razy wypierany z Powązek, trzy razy porywał się do ataku i trzy razy z powrotem odrzucał nieprzyjaciela. Omdlewały już ramiona obrońców, a krwawy bój na jedną chwilę nie ustawał. Na szczęście, Kościuszko nie dał się wprowadzić w błąd manewrom, maskującym szturm na jego pozycje. Naczelnik czuwał i wiedział, w jak ciężkich opałach znajduje się Dąbrowski. Więc posłał mu na pomoc piechotę, skierował ku zagrożonym pozycjom jazdę pod Wyszkowskim, wreszcie zjawił się sam i, osobiście stanąwszy na czele mieszczaństwa, „poprowadził municypalność warszawską na żelazne kadry piechoty pruskiej". Nowy napływ męstwa i energji przybył wraz z Kościuszką i uniesienie bojowe ogarnęło wszystkie oddziały broniącego się wojska. Jedne przez drugie zaczęły się

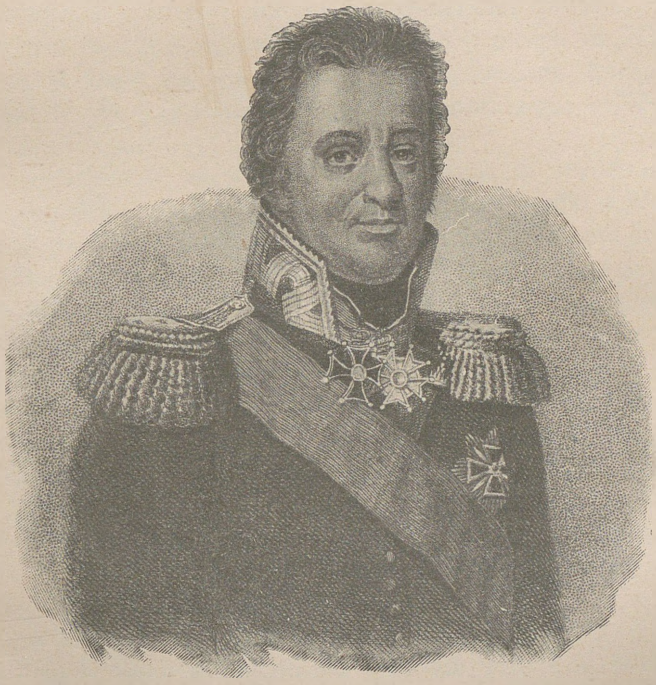
prześcigać w składaniu dowodów swojej dzielności i męstwa. Ale i nieprzyjaciel wytężał siły i, mężnie atakując, czynił gdzie niegdzie postępy i opanował kilka bateryj polskich. Brygadjer Kołysko wykonał wtedy na czele swej kawalerji pełną brawury szarżę na zdobyte szańce i wydarł Prusakom zwycięstwo. Podpułkownik Mycielski na czele Działyńczyków zdobył dwie baterje, a podpułkownik Rymkiewicz wykazał tyle męstwa w obronie Marymontu, że Kościuszko awansował go zaraz na generała-majora. Odznaczył się głośny później major Fiszer atakiem na nieprzyjacielskie armaty, zwrócili uwagę Naczelnika niezwykłem męstwem obywatele warszawscy Traugutt i Majewski, wsławił się idący z niezachwianą odwagą do szturmu na czele mieszczan akademik Wirtelewicz, a legli śmiercią walecznych, opłakiwani przez towarzyszów broni, wicebrygadjer Dunikowski i podstępnie przez prowadzonego jeńca zastrzelony, synowiec wielkiego patrjoty, Antoni Kołłątaj.

Lecz główna sława dnia spadła na generała Dąbrowskiego. Jemu też pierwszemu wręczył Naczelnik na placu boju pierścień z napisem „Ojczyzna obrońcy swemu".

Późno w noc skończyły się krwawo odparte szturmy, lecz ich zaciętość świadczyła, że teraz dopiero zaczyna się naprawdę oblężenie i że wzrasta zagrażające stolicy niebezpieczeństwo.

Jakoż na dzień 1-go września przygotowywał nieprzyjaciel nowe, jeszcze potężniejsze natarcie. Ale obrońcy nie tracili serca. Dnia 31 sierpnia oddział piechoty polskiej, mając jazdę po obu skrzydłach, zaatakował Wawrzyszew i energicznem natarciem odzyskał stracone przez ks. Józefa pozycje.

Dzień 1-go września upłynął spokojnie. I dni następne, acz grzmiały armaty, nie zaznaczyły się żadnym poważniejszym wypadkiem. Wbrew wszelkim oczekiwaniom, szańce polskie nie były atakowane.



JAN HENRYK DĄBROWSKI

Tymczasem dnia 3 września przybyli do stolicy dwaj obywatele z Wielkopolski i donieśli Naczelnikowi, że ogień powstania objął w tej dzielnicy już wszystkie powiaty. Początek uczynił kasztelan Mniewski, który, zebrawszy partję powstańców, uderzył śmiało na posterunki pruskie, zuchwałym napadem opanował Włocławek i zatopił na Wiśle statek, wiozący dla armji pod Warszawą znaczny transport amunicji. To dało hasło do ogólnego poruszenia—i Wielkopolska powstała.

Kościuszko zawiadomił o tem wielkiem wydarzeniu mieszkańców stolicy, ale przypuszczając, że wypadki w Wielkopolsce skłonią tylko Prusaków do szturmów jeszcze energiczniejszych, by jak najprędzej skończyć z oblężeniem, zarządził nowe środki ostrożności i pisał do prezydenta Zakrzewskiego, zaklinając go na miłość ojczyzny, aby w razie szturmu wszystkich obywateli Warszawy wysłał do okopów. Ale minęły jeszcze dwa dni i oczekiwany szturm nie następował. Dopiero 6 września żołnierze polscy, stojący na szańcach, dostrzegli w całym obozie przeciwników ogromne poruszenie. Ale nie do ataku przygotowywał się nieprzyjaciel. Cała armja pruska była w odwrocie i ustępowała w kierunku Raszyna. I Moskale zwinęli swoje namioty i pośpiesznie cofali się z pod stolicy.

Warszawa była wolna.

Całe miasto poruszyło się wielkiem uczuciem radości, całe miasto rozbrzmiało okrzykami uniesienia. Wszystkie usta wielbiły Kościuszkę, a serca przepełnione były wdzięcznością dla wodza, którego energja, patrjotyzm i talenty zasłoniły przed strasznem niebezpieczeństwem stolicę. Triumfowała Warszawa i z triumfu tego wysnuwała nić najpiękniejszej nadziei na przyszłość. I serce Kościuszki radować się musiało na widok ustępujących nieprzyjaciół, ale ciężka troska o przyszłość nie przestała go na jedną chwilę

nurtować i nie pozwoliła mu oddawać się niepodzielnie radosnemu uczuciu.

„Po trudach wojennych—pisał w swej odezwie, wydanej z okazji odstąpienia armij oblężniczych, — czas jest dla Was spocząć, Obywatele i mieszkańcy miasta wolnego Warszawy! Wojsko ma jeszcze obowiązek rozleglejszy: wojsko idzie nieprzyjaciół waszych wypierać z granic Rzeczypospolitej!...“

Rada Najwyższa Narodowa wystosowała do Naczelnika serdeczne pismo i zawiadamiała go o uroczystym obchodzie, którym chciała uczcić radosne wydarzenie, a na który zapraszała Kościuszkę. Ale Kościuszko odpisał, że podziela radość z „każdym dobrym obywatelem“, lecz od udziału w uroczystości stanowczo się wymówił. Wiedział on lepiej, niż „dobrzy obywatele“, jak olbrzymie zadania ma jeszcze przed sobą walcząca Polska, widział dokładniej, niż inni, groźne niebezpieczeństwa i rozumiał najlepiej, że nie pora na huczne bankiety i uroczyste obchody, kiedy potężny wróg zalewa jeszcze olbrzymie kraju przestrzenie, a na szalach niewiadomej przyszłości ważą się niepewne losy Ojczyzny!

Istotnie położenie było groźne. Rozemknęły się tylko żelazne ramiona, opasujące Warszawę, rozluźniła się obręcz nieprzyjacielskich armat i bagnetów, ale nie pękła i nie przestała jeszcze być groźną dla stolicy. Łańcuchy posterunków pruskich ciągnęły się wzdłuż Bzury i Pilicy, a główna armja pruska, jak klamrą, zamykała przestrzeń pomiędzy Łowiczem a Rawą. Nad Narwią stał groźny korpus generała Favrata, a generał Fersen, odstąpiwszy z pod stolicy, zatrzymał się ze swoim kilkunastotysięcznym korpusem w okolicy Kozienic. Powstanie na Litwie, zatrzymujące dotąd postępy wojsk rosyjskich, zaczynało upadać, a siły i środki polskie, jak na ogrom zadań, były bardzo szczupłe.

Lecz wraz z niepowodzeniami na Litwie rozpoczynało się powstanie w Wielkopolsce. Więc Kościuszko z najwyższą uwagą śledził rozgrywające się tam wypadki. W listach do wybitniejszych patrjotów zachęcał ich, by wytrwali w przedsięwziętem dziele, podali sobie po bratersku ręce i wspólnym wysiłkiem rozszerzali pożar powstania. Obiecywał, że skorzysta z pierwszej okazji, by pchnąć do zaboru pruskiego posiłki pod wodzą najlepszych generałów. Ale przeciągające się oblężenie nie pozwalało obietnicy wykonać.

Więc powstanie wielkopolskie o własnych siłach musiało walkę prowadzić. Rozpoczęte przez kasztelana Mniewskiego, wybuchło niemal jednocześnie w różnych okolicach Wielkopolski.

W połowie sierpnia odbył się zjazd walny obywateli województwa poznańskiego i postanowił wystąpić przeciw Prusakom. Pierwszy obóz założono w Śremie, a 24 sierpnia pod Gąbinem spisano uroczyście akt insurekcji i wykonano przysięgę. Wkrótce potem pod wodzą Niemojowskiego powstańcy uderzyli na załogę pruską w okolicach Kościany i zmusili ją do ustąpienia. W Sieradzkiem po zjeździe u Ignacego Błeszyńskiego w Złaczowie uzbrojeni obywatele uderzyli w nocy na Sieradz i, wsparci przez ludność miejscową, wyzwolili to miasto z pod przemocy pruskiej. Poruszyło się również województwo kaliskie, powstało Gniezno, w ręce powstańców wpadły: Rawicz, Leszno, Kłodawa— i coraz większe przestrzenie ogarniał ogień insurekcji. Okoliczności sprzyjały powstaniu. Fryderyk Wilhelm, zgromadziwszy część swych wojsk pod Warszawą, przygotowywał drugą armję przeciw Francji, skutkiem czego załogi pruskie w Wielkopolsce nie były silne liczebnie. To też szczęk oręża rozbrzmiewał coraz głośniej i budził w królu pruskim coraz większy niepokój. Więc dla poskromienia powstań-

ców wysłał jeszcze z pod Warszawy srogiego pułkownika, nazwiskiem Szekely, Węgra rodem, a w ślad za nim polecił iść do Wielkopolski generałowi Schwerinowi, który jeszcze z okresu wojny siedmioletniej wielką cieszył się sławą. Ale i Kościuszko nie zasypiał sprawy. Gdy oblężenie stolicy zostało zakończone, Naczelnik dla hamowania postępów pruskich wysłał nad Bzurę księcia Józefa Poniatowskiego, który dzielną postawą swoją ratował z powodzeniem zachwianą na okopach Warszawy reputację, a na pomoc Wielkopolanom odkomenderował generała Dąbrowskiego.

Wybór okazał się znakomitym. Dąbrowski, mając pod swoją komendą zgórą 3.000 żołnierzy oraz dzielnych generałów Rymkiewicza i Madalińskiego, z największą dla siebie chwałą wypełnił powierzone mu zadanie. Sposobem wojowania wznowił najpiękniejsze tradycje polskie wojny partyzanckiej, tej wojny, która niegdyś na cały świat rozgłosiła imię Czarnieckiego. Tylko że była to wojna na małą skalę, małemi siłami prowadzona. A jednak Dąbrowski, poniósłszy swój miecz w granice posiadłości pruskich, strasznie dał się we znaki potężnemu nieprzyjacielowi. Powstanie wielkopolskie wybuchło jednocześnie w różnych punktach, a choć drobne oddziały nie mogły wielkiej szkody przyczynić wojskom regularnym, to jednakże, działając na obszernych przestrzeniach, siały trwogę, szerzyły niepokój, zmuszały przeciwnika do nieustannej czujności. Na takiem tle rozpoczął swoją akcję Dąbrowski. Korpus jego wykonywał nieustannie szybkie, błyskawiczne marsze, dzień i noc trapił nieprzyjaciela gwałtownemi obrotami, ginął z przed oczu niespodziewanie i wyłaniał się tam, gdzie go najmniej oczekiwano. Pod Łabiszynem Dąbrowski tęgo przetrzepał skórę drapieżnikowi Szekelemu i zmusił go do ustąpienia z placu boju. Gdy Szekely uszedł do Bydgoszczy, Dąbrow-

ski pociągnął w ślad za nim i wezwał go do złożenia broni. Szekely odpowiedział z oburzeniem, że generał polski rozum stracił, albo też przypuszcza, że on, Szekely, zmysły postradał. I oficerowi, który przywiózł tę propozycję, rozkazał natychmiast wynosić się z miasta, wołając, że inaczej w łeb strzelić mu każe. W dwie godziny później miasto było zdobyte, a sam Szekely, ciężko ranny, wpadł w ręce polskie. I innym dowódcom nie wiodło się w walce ze śmiałym partyzantem. Sławny generał Schwerin, mając do czynienia z obrotnym i nieodgadnionym przeciwnikiem, doprowadzony był do rozpaczy. Tracił głowę i, nie mogąc poradzić sobie z Dąbrowskim, gubił się nieustannie w domysłach, by odgadnąć jego zamiary i w porę przedsięwziąć środki obrony. Nic mu się nie udawało. Dąbrowski wszystkie plany umiał pokrzyżować, obracał wniwecz wszystkie rachuby. Stracił swoją sławę w tej walce generał Schwerin, zato wódz polski wielką okrył się chwałą.

„Przez dni czterdzieści,—pisze biograf Dąbrowskiego, Adam Skałkowski, — działał zawsze szczęśliwie przeciw po wielokroć silniejszej liczebnie, a cieszącej się sławą pierwszej w świecie armji pruskiej. Przeszedł mil sto, przeprawił się przez Bzurę, Wartę, Noteć i Wisłę, zawsze w obliczu przeważnego nieprzyjaciela... Zajął wszystkie jego siły i wespół z obywatelstwem wielkopolskiem udźwignął cały prawie ciężar wojny na lewym brzegu Wisły“...

Ale ta pełna chwały wyprawa nie mogła już zaważyć na szalach toczącej się wojny.

Upadało powstanie na Litwie, a Rosja gromadziła swe wojska i przygotowywała się do zadania Polsce śmiertelnego ciosu.

Powstanie, jak nigdy, było zagrożone.

XI.

POGROM MACIEJOWICKI.

Po dniach radosnego upojenia, wywołanego uwolnieniem Warszawy, przyszły dni żałoby i smutku. Nieszczęsna Litwa, nawiedzona powodzią wojsk nieprzyjacielskich, nadaremnie dobywała sił swoich, aby sprostać wielkiemu zadaniu. Nadaremnie poszczególni wodzowie walczyli bohatersko i we krwi pławili swe wojska. Świetna obrona Wilna była ostatnim błyskiem powodzenia. Nie zawodziło męstwo prostego żołnierza, ani poświęcenie oficerów, ani patrjotyzm mieszkańców. Nie triumfował nieprzyjaciel na polach walki. Ale zabijała powstanie niemoc, idąca z góry od wodzów, a jak trucizna, sącząca swój jad w cały ruch powstańczy. Mała dusza Wielhorskiego niezdolna była do wielkich wysileń. Bezczynny, nieudolny, pozbawiony owej iskry, która wobec wielkich zadań duszę obejmuje zapałem i płomień zapału dookoła wznieca, nie czynił nic, aby świetnie zaczętemu dziełu zapewnić dalsze powodzenie. Kiedy po raz pierwszy Wilnu zagroziły wojska rosyjskie, Wielhorski uznał stolicę Litwy za straconą i nie śpieszył jej nawet z poważną odsieczą. Obroniło się Wilno, ale nie mogło zapomnieć wodzowi jego bezczynności w tej

krytycznej chwili, jego upadku ducha, jego strasznej rezygnacji, równającej się wielkiemu przestępstwu. Szemrano też i oburzano się na jego bezwład, ścigano go obelgami, tysiączne czyniono mu zarzuty. Jasińskiego chciała widzieć na czele wojska opinja patrjotów, którzy nie upadli na duchu i nie przestali wierzyć w zwycięstwo. Jasiński, któremu zarzucano nadmiar śmiałości, działał na imaginację, budził ufność, był w położeniu ówczesnem jedynym człowiekiem, który mógł jeszcze dźwigać na Litwie sprawę powstania. Wielhorski rozumiał to dobrze i w jednym z listów pisał, że Jasiński, znający kraj i ludzi, daleko lepiej może pokierować walką. Sam, nie czując się zdolnym do dalszego sprawowania władzy, złożył pod pozorem choroby zbyt odpowiedzialne na jego siły dowództwo. Ale Kościuszko, acz dawał Jasińskiemu dowody swej przyjaźni, nie powierzył mu naczelnej komendy. Być może, jak chcą jedni, uważał, że młody generał nie posiada jeszcze dość doświadczenia wojennego, ale i to pewna, że liczył się z niesnaskami wewnętrznemi, które wstrząsały Litwą, dzieliły opinję i osłabiały siłę tamtejszego powstania. Jasiński miał sławę jakobina, miał wrogów w Warszawie, a jego rewolucyjność i na Litwie wielu napełniała lękiem. Więc Kościuszko powierzył mu, niestety, już zbyt późno, samodzielną komendę nad wszystkiemi korpusami wolontarjuszów oraz częścią wojsk regularnych, ale naczelne dowództwo na Litwie zaproponował generałowi Mokronowskiemu. Tego ostatniego usilnie popierał obóz umiarkowany, przeciwny Kołłątajowi i wszystkim jego zwolennikom, a więc i Jasińskiemu. Mokronowski wahał się, ociągał, dopiero na wielokrotne gorące nalegania Kościuszki przyjął komendę, ale przyjął niechętnie i nie kwapił się z wyjazdem, aczkolwiek groźny stan rzeczy na Litwie wymagał natychmiastowej jego obecności.

Tymczasem Wielhorski, usunąwszy się od dowództwa, oddał je czasowo generałowi Chlewińskiemu. Wybór był fatalny. Chlewiński, niegdyś pozostający w dość bliskich stosunkach z Kossakowskim, nie miał dobrej opinji, ani zaufania wojska, a jako generał nie wykazał się niczem, coby ten wybór usprawiedliwiało. Jakoż zaszły wypadki, które wykazały, że dowództwo nie mogło w gorsze ręce się dostać. Dnia 11 sierpnia generał rosyjski Knorring po raz drugi przyprowadził pod Wilno 12.000-czną armję i szturm przypuścił do miasta. Załoga polska, liczebnie niewiele słabsza od oblegających Moskali, śmiało mogła podjąć obronę i, jak za pierwszym razem, zmusić nieprzyjaciela do ustąpienia. Ale Chlewiński nie czuł się dość silnym, by bronić miasta, a wojsko nieufne, zniechęcone, dowodzone jak najgorzej, nie kusiło się nawet o należyte powitanie wroga. Rosjanie bez wielkich wysiłków opanowali wszystkie wzgórza, otaczające Wilno, i skierowali silny ogień na miasto. Po dwunastogodzinnej kanonadzie, gdy w ogniu stanęły przedmieścia, Chlewiński, po naradzie z generałami, zdecydował, że dalsza obrona jest niemożliwa i z nieszczęsnej stolicy Litwy, osaczonej morzem płomieni, uprowadził swą armję.

Nazajutrz Wilno kapitulowało.

Klęska ta była strasznym ciosem dla całej sprawy narodowej, gdyż oddziałała w demoralizujący sposób na wszystkie oddziały litewskie, podcięła w nich siłę moralną, odebrała wiarę w powodzenie i w możność dalszej walki. Tu i owdzie toczono jeszcze utarczki, tu i owdzie rozbłysło jeszcze męstwo powstańców, ale pożar niepodsycany szybko zaczął wygasać. Dzielny Stefan Grabowski, chcąc uczynić dywersję, poszedł z niewielkim oddziałem w Mińskie i zapuścił się aż do Bobrujska, rzeczywiście uprowadzając ze sobą 10.000 regularnych żołnierzy rosyjskich. Sam do-

stał się do niewoli, ale ofiary jego nie miał już kto we właściwym czasie wykorzystać. Mokronowski, przybywszy nareszcie na Litwę, nie uczynił ani jednego kroku, aby podnieść ducha. Stanął bezczynnie pod Grodnem i tutaj ściągał rozproszone oddziały. Wkrótce ziemia litewska przestała rozbrzmiewać odgłosem toczonych bojów. Z puszcz i borów wymykały się poszczególne korpusy i przedzierały się ku Grodnu, a stanąwszy na miejscu wycieńczone, zdemoralizowane, szarpane poczuciem niemocy, trwały jakby w odrętwieniu.

Upadło powstanie na Żmudzi, zamarła poruszona Kurlandja i na olbrzymim teatrze wojny zaległa cisza śmierci.

W ciągu czterech miesięcy Litwa, jak żelazna tama, wstrzymywała na sobie powódź wojsk rosyjskich. Tama ta pękła, droga do Warszawy stała teraz otworem. Straszne niebezpieczeństwo zawisło nad powstaniem. Początkowo od Krakowa aż do Libawy sięgał miecz powstańczy i wojna, acz ze zmiennem szczęściem prowadzona, już ze względu na rozległość swojego terenu miała kształty kolosalne. Obecnie toczyć się miała na maleńkim skrawku Rzeczypospolitej, ku któremu, jak ku ostatniej wysepce wolności polskiej, parły ze wszystkich stron fale nieprzyjacielskie i zewsząd groziły zalewem.

Upadek powstania na Litwie wykorzystała przedewszystkiem Rosja.

Dwór petersburski zdumiony był siłą, którą wykazało powstanie, a której nie spodziewał się po tylu gwałtach, bezkarnie dokonanych, po przykładzie słabego oporu w kampanji roku 1792-go, wreszcie po niezliczonych dowodach, że na poskromienie Rzeczypospolitej wystarczy groźba i przedajność kilkudziesięciu magnatów. Imperatorowa, niezadowolona z dotychczasowej działalności wojsk swoich, a pełna niepokoju o dalszy los wojny, zdecydowała się na

krok stanowczy. Stał podówczas na granicy Turcji, wciąż potrząsającej mieczem, lecz nie mogącej się zdobyć na wypowiedzenie wojny Rosji, znakomity wódz Suworow.

Jego to postanowiła Katarzyna wysłać na plac boju do Polski.

Suworow, wsławiony licznemi zwycięstwami, pamiętny swym udziałem w walkach z konfederacją barską, był dzikim okrutnikiem, popełniającym nieustannie potworne dziwactwa, był naturą pełną najjaskrawszych sprzeczności. Raz dobroduszny, to znowu drapieżny, to budzący śmiech, to siejący grozę, półbłazen i zarazem półszatan, a najczęściej komedjant, miał sławę niezwyciężonego wojownika. Istotnie, w tym potworze, umiejącym swojemi dziwactwami tworzyć wkoło siebie legendę na całą Rosję, tkwił genjusz wojenny, płonęła jakaś dzika odwaga, mieściła się potężna wola, w której, jak w żelaznych okowach, trzymał swoich żołnierzy. Pułki, któremi dowodził Suworow, przeniknięte były dzikością i odwagą swojego wodza. Ciemny żołnierz rosyjski widział w nim jakąś niezrozumiałą potęgę, którą czcił jak bóstwo i jak bóstwa słuchał ślepo, bezmyślnie. Takiego wojownika i takich żołnierzy postanowiła caryca rzucić na zbuntowaną Polskę i to właśnie w chwili, gdy klęski na Litwie niesłychanie osłabiły siłę powstania i zamknęły je na ciasnej przestrzeni.

Suworow wiódł 18.000-czną armję i 60 armat, a sam, zdaniem Katarzyny, starczył za armję drugą. Groźne imię wodza rosyjskiego, już od pewnego czasu powtarzane w Polsce, niepokojem przejmowało najmężniejsze serca. Ale walki się toczyły, Suworow nie przybywał. Więc przestano się liczyć z możliwością udziału jego w wojnie. Naraz gruchnęła złowroga wieść, że straszny wojownik szybkiemi marszami zdąża na plac boju.

Wieść była prawdziwa.

Cała siła zbrojna, jaką w owej chwili rozporządzało powstanie, wynosiła 70.000 głów, ale tylko połowa wojska polskiego była należycie wyekwipowana i uzbrojona. Wojska pruskie, stojące na zachód i południe od Warszawy wraz z oddziałami, które w każdej chwili mogły stanąć na placu boju, wynosiły 57.000, wojska rosyjskiego na Litwie i w Koronie było 50.000, a z nadciągającą armją Suworowa 68.000, nadto w Sandomierskiem i na Wołyniu operował 4.000-czny korpus austrjacki. Razem tedy wojska nieprzyjacielskie składały się ze 129.000 żołnierzy, dobrze uzbrojonych i należycie przygotowanych do wojny.

Ale wojska nieprzyjacielskie nie stanowiły jednej zwartej masy. Oręż polski mógł jeszcze kusić się o zwycięstwa, ale pod warunkiem, że wojska polskie zdołają się zgromadzić w dostatecznej sile przeciw jednemu z nieprzyjacielskich korpusów i zdążą rozprawić się z atakowanym wrogiem, nim nadciągnie mu pomoc. Na to jednakże, aby takie zwycięstwa odnosić, trzeba było mieć wojsko sprawne, zdolne do szybkich i gwałtownych obrotów, trzeba było mieć więcej takich generałów, jak Dąbrowski, i trzeba było mieć ową przedsiębiorczość, zdolną do wielkiego ryzyka, i wszelkiemi sposobami, choćby nawet hazardem, ratować sprawę, którą już tylko nadzwyczajne środki mogły uchronić od zagłady.

Ale im dłużej trwało powstanie, tem mniejsza stawała się jego prężność i jego odporność.

Nie rachujące nieprzyjaciela w początku, szukające natchnienia w męstwie rozpaczy, występujące zaczepnie, odnosiło zwycięstwa małemi siłami nad znacznie silniejszym wrogiem. Wzrósłszy w siły, stawało się ostrożniejszem i mniej do ryzyka zdolnem.

W takim stanie rzeczy na plac boju zdążał Suworow. Przebywszy w 16 dni 560 wiorst, wkroczył na Litwę i, prze-

szedłszy przez Kobryń, dnia 15 września zapadł obozem pod wsią Krupczycami.

W owym czasie stał pod Brześciem sześciotysięczny korpus polski generała Sierakowskiego. Jeszcze w lipcu, kiedy generał rosyjski Derfelden pobił pod Chełmem Zajączka, a później pociągnął na Litwę, Sierakowski otrzymał rozkaz paraliżowania akcji Derfeldena. Sierakowski, gorliwy żołnierz, ale wódz bez talentów, nie był szczęśliwy w swych operacjach. Otrzymawszy obecnie rozkaz wstrzymywania pochodu Suworowa, posunął się ku Krupczycom i stoczył siedmiogodzinny bój z przemagającemi siłami Moskali. Bój był zaszczytny dla oręża polskiego. Wprawdzie Sierakowski, zagrożony oskrzydleniem, zmuszony był cofnąć się, ale cofnął się w porządku, straciwszy dwustu ludzi w zabitych i kilkudziesięciu rannych, a zadawszy bez porównania cięższe straty armji Suworowa. Po tej bitwie korpus polski cofnął się do Brześcia. Ale już szedł za Sierakowskim Suworow. Szedł, jak szatan śród olbrzymiego ognia pożarów, któremi znaczył swój pochód, i dnia 19 września ze swej strony odwiedził Sierakowskiego. Straszne były to odwiedziny. Sierakowski, wobec przemagających sił nieprzyjacielskich, postanowił się cofać, ale zaledwie zaczął uskuteczniać odwrót, już jazda rosyjska szarżowała z obu boków idące przez groblę wojsko polskie, chmury Kozaków przecinały drogę odwrotu, a tyły wściekle atakowała rzucona przez Suworowa piechota. Straszliwą klęskę poniósł Sierakowski. Cały jego korpus został rozbity i rozproszony, wszystkie armaty, w ilości 28, dostały się w ręce Suworowa, a sam dowódca z garstką niedobitków ucieczką ratował się z pogromu.

Kościuszko znajdował się w Siedlcach, gdy, jak grom, uderzyła w niego wieść o klęsce Sierakowskiego. Ale nowy ten cios nie zabił energji w Naczelniku. Wydał na-

tychmiast nowe zarządzenia, dotyczące dyzlokacji wojsk polskich, wzmocnił rozbitków cofającego się Sierakowskiego nowemi posiłkami, wpadł do Warszawy dla wydania dalszych zarządzeń, poczem sam wyjechał do Grodna, jak się zdaje, w zamiarze połączenia wojsk pod Mokronowskim z siłami, które pchał pod rozkazy Sierakowskiego, i stoczenia walnej bitwy z Suworowem. Ale w Grodnie najstraszniejsze zastał już rozprzężenie. Wojsko było zdemoralizowane, nie spełniało rozkazów, nie chciało się bić. Kościuszko wydał groźny rozkaz, zalecający Mokronowskiemu, aby podczas bitwy ustawił poza linją bojową armaty i kartaczował uciekinierów, a żołnierzom, siejącym trwogę, w tym samym rozkazie zagroził sądem polowym i rozstrzelaniem.

Stan moralny wojska litewskiego zmienił, jak się zdaje, pierwotne plany Naczelnika. Polecił Mokronowskiemu połączyć część swoich sił z korpusem Sierakowskiego, a sam znów powrócił do Warszawy, by, stosownie do okoliczności, nowe wydać zarządzenia. Lecz niespodziewana alarmująca wieść pokrzyżowała układane plany. Oto generał Fersen przeszedł ze swoją armją na prawy brzeg Wisły, a generał Poniński, który miał strzec przeprawy, nie spełnił swojego zadania.

Była to nowa klęska i nowe niebezpieczeństwo. Fersen dążył najwidoczniej do połączenia się z Suworowem, takie zaś połączenie wytwarzało siłę tak potężną, że skuteczne stawienie jej czoła, przy konieczności podzielenia wojsk dla obserwowania innych korpusów, było niepodobieństwem. Jedno tylko pozostawało: zmiażdżyć armję Fersena, nim zdąży uskutecznić swój zamiar.

Cel ten mógł być osiągnięty przez działanie stanowcze a szybkie.

Jakoż szybko zdecydował się Kościuszko. Dnia 5 października otrzymał wiadomość o przeprawie korpusu rosyj-

skiego i tegoż dnia posłał Sierakowskiemu rozkaz, aby z całą siłą zbliżył się do Fersena i połączył z Ponińskim. Zbliżały się wielkie wypadki. Kościuszko, postanowiwszy osobiście objąć dowództwo w bitwie przeciw Fersenowi, oddał w Warszawie na czas swojej nieobecności komendę Zajączkowi, a sam o świcie dnia 6 października wyjechał konno na plac boju, mając przy boku jedynego towarzysza, w osobie swojego sekretarza, Juljana Ursyna Niemcewicza. Śpieszył się bardzo.

— „Biegliśmy więc prędko, — opowiadał później w „Pamiętnikach“ swoich Niemcewicz, — a gdy konie nasze ustały, braliśmy chłopskie z miejsca na miejsce“...

Już o godzinie 5-ej wieczorem stanął Naczelnik w kwaterze Sierakowskiego, a 9 października wojsko polskie, liczące 7.000 ludzi oraz 20 armat, zbliżyło się do Maciejowic i zajęło lasem pokryte wzgórza pomiędzy wsią Oronne a wsią Maciejowicami, obejmując w swoje posiadanie folwark i stary zameczek maciejowicki.

Tuż był nieprzyjaciel.

Nad wieczorem Kościuszko, zabrawszy z sobą Niemcewicza i kilku ułanów, wyjechał konno na rozpoznanie pozycyj rosyjskich. Niebawem ukazał się obóz nieprzyjacielski, rozciągnięty wzdłuż Wisły, jak tylko okiem można było dosięgnąć. Widok był imponujący. Ostatnie promienie odbijały się jaskrawo na bagnetach ściśnionych kolumn piechoty i cały obóz, jak we krwi, tonął w świetle zachodzącego słońca. Dalekie, przeciągłe rżenie koni zlewało się z gwarem ciżby ludzkiej i nad stłoczoną przestrzenią, drgającą w czerwonych blaskach słonecznych, wznosił się potężny szum i głuchem a przerażającem echem rozpływał się w przestworzach. Na równinie, pomiędzy folwarkiem a Wisłą, tuż przed oczyma Wodza, przednia straż jazdy polskiej uganiała się za kozakami. Nagle od obozu rosyj-

skiego oderwała się chmura kozacka i, sunąc po równinie w kształcie półksiężyca, zapędziła się aż na stanowisko, gdzie stał z towarzyszami swymi Kościuszko. Już wyciągnęły się ku garstce jeźdźców piki kozackie, gdy szwadron ułanów nadbiegł w porę i energicznem natarciem odpędził kozaków.

Zapadała noc. Naczelnik wraz z Niemcewiczem udał się do starego zameczku.

Siedmiotysięczne wojsko polskie miało przed sobą korpus Fersena w sile 16.000 ludzi i 60 armat. Kościuszko liczył, że na miejscu spotkania zbierze 14.000, a zaledwie połowę tego udało mu się zgromadzić. Ale w okolicach Baranowa nad Wieprzem stał generał Poniński z 4.000-cznym oddziałem. Otóż Poniński, stosownie do planu Kościuszki, miał nazajutrz przybyć na plac boju i wpaść na tyły zajętego bitwą nieprzyjaciela.

Zameczek, w którym stanął Kościuszko, leżał naprzeciw Wisły, a prowadziła do niego długa grobla. Na prawo, poza linją wojsk polskich, płynęła rzeczka Okrzeja, na lewo rozciągały się błota i zarośla. Przy zamku ustawił Kościuszko armaty, mogące ostrzeliwać całą długość grobli, prawe skrzydło na wzgórzu zamkowem oddał pod dowództwo generała Kamieńskiego, lewe, pod Oronnem, w miejscowości, panującej nad rozległą błotnistą równiną, miał pod komendą swoją Kniaziewicz, a środkiem dowodził Sierakowski. Pozycja wojsk polskich była dobra, gdyż wzgórze, moczary i zarośla utrudniały przystęp nieprzyjacielowi. Ale kilku punktów, do których bez trudności mogła dotrzeć jazda, nie zdążono już wzmocnić, nie zamknięto również parowów, prowadzących do pozycyj polskich.

Nazajutrz, pamiętnego dnia 10 października, o samym świcie kolumna wojsk rosyjskich z korpusu Denisowa posunęła się w szyku bojowym ku krańcowi lewego skrzydła

Polaków. Kościuszko, od pierwszej chwili obserwujący poruszenia Moskali, rozkazał podpalić wieś Oronne, aby się nie mógł usadowić w niej nieprzyjaciel. Wnet ukazały się płomienie, wzniosły się czarne kłęby dymów i pożar objął wszystkie budowle. Przed płonące chaty wysypali się mieszkańcy, a straszny lament kobiet i dzieci uderzył w niebo. Lecz już następowali Moskale i nieszczęsna ludność, unosząc szczątki swojego dobytku, uciekała z przerażeniem w lasy.

Tymczasem lewe skrzydło, zaatakowane przemożną siłą, dwukrotnie bagnetami odparło nacierających. Ale Moskale pchali do boju nowe kolumny i rozszerzali swój atak ku środkowi pozycyj polskich. Niebawem i na prawem skrzydle ukazała się piechota rosyjska, a rezerwy, prowadzone przez hr. Tołstoja, zaczęły dążyć na tyły. Jazda polska próbowała wstrzymać atak na prawe skrzydło, ale, przywitana celnym ogniem kartaczowym, pierzchnęła z pola. Naraz odezwały się dalekonośne armaty rosyjskie ciężkiego kalibru. Przerażający huk wstrząsnął powietrzem, kurzawa dymów przesłoniła plac boju. Olbrzymie kule, lecąc z ogromnym łoskotem, łamały drzewa, przeszywały ciemny gąszcz lasu i z głuchym trzaskiem waliły się o ziemię. Kościuszko i sztab jego, jak deszczem, obsypani zostali gałęźmi, siekanemi przez świszczące pociski. Przemówiły i armaty polskie. Sam Kościuszko zajął się ich rychtowaniem, a w sztuce artyleryjskiej mistrzem był nielada. Jakoż pod gradem celnych strzałów chwiały się nacierające szyki. Na całym froncie rozwinęła się zażarta walka i trwała już trzy godziny, a wróg żadnych nie uczynił postępów. Otucha wstępowała w serca żołnierzy. Generał Sierakowski, dostrzegłszy jakieś poruszenie śród Moskali, zbliżył się rozradowany do Naczelnika i rzekł:

— Zdaje się, że Moskaluszki zbierają się do odwrotu.



ŻOŁNIERZ REGIMENTU IM. DZIAŁYŃSKICH

Nieszczęsny Sierakowski był w błędzie.

Moskale w wielkich masach zbliżyli się na strzał karabinowy i z zaciętością coraz większą zaczęli ponawiać swoje ataki, a jednocześnie 60 dział rosyjskich rozwijało ogień morderczy, coraz gęstszy i coraz celniejszy. Z przeraźliwym świstem i wyciem leciały chmury ołowiu i żelaza na stanowiska polskie. Śmierć krążyła dokoła i nieustannie porywała z szeregów żołnierzy i, jak zrąbane drzewa, ciskała ich pokotem o ziemię. Powietrze rozedrgało od jęków, rozgorzało od ognia. Grunt, na którym stały pułki polskie, dymił krwią, a pruty deszczem kul, szarpany ulewą granatów, drżał pod stopami piechoty. Adjutant Kościuszki, major Fiszer, sławny później generał, już po wielu krwawych bitwach napoleońskich opowiadał, że nigdy nie znajdował się w straszniejszym ogniu, niż pod Maciejowicami. Istna powódź płomieni płynęła nieprzerwanym tokiem, a w tej powodzi, jak śnieg, topniały szeregi wojowników polskich. Już konie artyleryjskie padły przy armatach, już kanonierom wyczerpywały się zapasy amunicji, już ładunków zabrakło żołnierzom. A burza, niosąca gromy śmierci, szalała nieustannie.

Kościuszko widział, co się dzieje, lecz nie tracił nadziei. Jeden z naocznych świadków twierdzi, że „wszędzie się znajdował, wszędzie zagrzewał, wszędzie dowodził". Pod gradem kul, przez kłęby dymu, żelaza i ognia, przejeżdżał z krańca w kraniec linję bojową i zachęcał do wytrwałości. Obiecywał, że lada chwila Poniński nadciągnie. Rozkazywał trwać. Więc stało wojsko polskie, jak bór, rzedniejący pod ciosami niezliczonych siekier i, ociekając krwią, wyczekiwało zjawienia się Ponińskiego.

Ale armaty moskiewskie dalej szerzyły swoje straszliwe dzieło zniszczenia, a Poniński nie przybywał.

Natomiast wojska rosyjskie w dalszym ciągu obchodziły stanowiska Polaków i od strony Maciejowic okrążały

prawe ich skrzydło. Jednocześnie rozpoczął się wzmożony ruch przeciw skrzydłu lewemu, a dwa bataljony nieprzyjacielskie, stojące pod zamkiem maciejowickim, porzuciwszy swoje tornistry, szynele, ułożywszy zabitych i rannych u podnóża góry, wdzierać się zaczęły po stokach wyniosłości i, groźnie najeżywszy bagnety, zmierzały wprost ku stojącej obok zamku piechocie. Na ten widok bataljon regimentu 3-go, stojący sześć godzin pod morderczym ogniem bez poruszenia, a dawno już wystrzeliwszy ostatnie ładunki, uniósł się szałem bojowym. Nie czekając ataku Moskali, zerwał się z miejsca, poniósł ze sobą pułkownika Krzyckiego i z największą furją ruszył na spotkanie wroga. Lecz strzały armatnie, celnie rażące niecierpliwych żołnierzy, okropne uczyniły wśród nich spustoszenie i zachwiały bataljonem grenadjerów krakowskich. W szykach polskich, jak mur dotąd zwartych, znaczna uczyniła się luka. Dostrzegła to jazda nieprzyjacielska i, nie zważając na trudny przystęp, puściła się galopem i, jak w rozwartą bramę, runęła pomiędzy rozemknięte szeregi. Świadek tych wydarzeń, Niemcewicz, popędził do Kościuszki, zawiózł mu o nich wiadomość, poczem porwał ze sobą szwadron stojącej w odwodzie kawalerji i poprowadził ją do ataku na konnicę rosyjską. Ale rażony został w rękę kulą z pistoletu, a cały szwadron rozpierzchnął się na wszystkie strony. Nadomiar nieszczęścia pułkownik Wojciechowski skrzyknął ułanów Mirowskich i uciekł haniebnie z pola walki. W jednej chwili zamęt uczynił się ogromny. Piechota polska, stojąc nieruchomo, bagnetem przywitała szturmujące kolumny, ale masy nieprzyjacielskie, następujące nieustannie, coraz szczelniej zalewały nie mające już ze sobą łączności i coraz bardziej rozrywane oddziały wojsk polskich.

Rozpoczęła się walka pierś o pierś, walka nierówna, straszna, bezpardonowa.

Nie dotrzymali w tej walce placu grenadjerzy krakowscy, wszystkie pułki zaczęły pierzchać. Jedynie Działyńczycy stali w miejscu nieporuszeni, jak wkopane w ziemię słupy z granitu. O ich żelazne piersi długo krwawiły się nacierające kolumny Moskali. Żaden świadek nie opisał czynów tych żołnierzy, żaden poeta nie wyśpiewał ich bohaterstwa! A jednak Działyńczycy śmiało mogliby zająć miejsce wśród największych rycerzy, jakich kiedykolwiek sławiła historja. Odznaczywszy się w wielu walkach, dopiero na polach Maciejowic zaświadczyli ostatecznie, jak słuszna była ta sława, która promieniła ich czoła. Tutaj dopiero w pełnym blasku rozbłysło patrjotyczne bohaterstwo tych nieśmiertelnych żołnierzy-powstańców. O to bohaterstwo, jak o granitową skałę, długi czas rozpryskiwały się szturmujące fale. Działyńczycy, broniąc się do ostatniego tchu, padali przeszywani żelazem, lecz na jeden krok nie ustępowali z pola. Jakoż wszyscy legli co do nogi. Na pobojowisku, w tem samem miejscu, gdzie było ich stanowisko, widniała później, niby skoszony łan kwietny, barwna wstęga ich czerwonych rabatów i żółtych naramienników.

Pogrom stawał się coraz straszliwszym. Część żołnierzy polskich, wydostawszy się z krwawego odmętu, ustępowała do zamku, ostatkiem sił odpierając licznych napastników. Zawrzała walka na dziedzińcu zamkowym, później w samym zamku, na ganku, na dole, na piętrze, w piwnicach. Gdziekolwiek schronił się żołnierz polski, wszędzie dosięgały go fale powodzi, zalewającej już cały plac boju. Ginęli żołnierze, walczący pojedyńczo, ginęły kompanje, bataljony, ginęły całe regimenty. Pole bitwy coraz straszniejszym stawało się cmentarzem.

Kościuszko, widząc klęskę, usiłował choć resztki ocalić z pogromu. Na głos jego uszykował się na prawem

skrzydle oddział kawalerji. Dostrzegła to konnica rosyjska i ruszyła z kopyta ku garstce, którą zdołał skupić przy sobie Kościuszko. Z największem wysileniem odparto ten atak, ale gdy oddział formować się zaczął na nowo, nagły okrzyk przerażenia przeszył powietrze i wstrząsnął szeregami. Oto liczna kawalerja rosyjska ukazała się na tyłach i przecięła drogę odwrotu. Wtedy wszyscy zrozumieli, że niema już ratunku. Rozprzęgło się wszystko i panika ogarnęła rozpierzchnięte szczątki niedobitków. Bitwa przemieniła się w rzeź najstraszliwszą. W dziki szał wpadli zwycięzcy i mordowali bez pardonu rannych, bezbronnych, a zatapiając bagnety w piersiach swoich ofiar, wołali z dzikim triumfem:

— To za Warszawę!

O godzinie 1-ej zamilkły strzały, bitwa była skończona.

Poniński nie przybył. Nie wypełnił otrzymanych rozkazów i ku Maciejowicom zbliżył się już po wszystkiem. Byłaż to z jego strony zdrada, czy nieudolność? Historja dotąd nie dała na to pytanie stanowczej odpowiedzi.

Kościuszko, ranny kilkakrotnie, zbroczony krwią, odnaleziony został na placu boju.*) Poznali go Moskale. Czterech Kozaków ułożyło nieprzytomnego Naczelnika na pikach i o godzinie 5-ej przyniosło do zamku maciejowic-

---

*) Jeden z uczestników bitwy pod Maciejowicami pisze, że Kościuszko usiłował kawalerję „zwrócić do swej powinności i dlatego dopędzał pierzchających, aby ich na plac doprowadził. Wtedy między opłotkami chybił drogi, a w pędzie przez rów przeskakując, spadł z konia, który się z nim obalił. Zaraz nadbiegli Kozacy, od których dwa razy spisą pchnięty został. W tymże czasie przypadłszy karabinier, ciął go w głowę". Opis ten znajduje się w dodatku do Nr. 54 „Gazety Wolnej Warszawskiej" z roku 1794 i w Nr. 55 tejże Gazety. Bezimienny autor występuje, jako uczestnik i świadek opisywanych przez siebie wydarzeń.

kiego. A w zamku już, jako jeńcy, znajdowali się generałowie: Sierakowski, Kniaziewicz, Kamieński, brygadjer Kopeć, adjutant Kościuszki Fiszer i sekretarz Niemcewicz.

Taki był koniec bitwy, stoczonej 10 października na polach Maciejowic.

Wieść o pogromie żałobą okryła kraj cały, przerażenie wywołała w Warszawie.

XII.

RZEŹ PRAGI.

Były jeszcze zasoby, pozwalające prowadzić wojnę, były jeszcze ręce do dźwigania broni, były wielkie głowy Ignacego Potockiego i Kołłątaja, byli dzielni generałowie, jak Dąbrowski, Jasiński, był jeszcze patrjotyzm ludu stolicy. Ale nie było już Kościuszki, który stał się sztandarem i sercem powstania. Ten sztandar i to serce wydarto walczącej Polsce. Nie było w narodzie drugiego Kościuszki, nie było już człowieka, któryby umiał skupić wkoło siebie wszystkie żywe siły narodu i dźwignąć sprawę, której na polach Maciejowic straszny cios zadano...

Rozpacz ogarnęła Warszawę...

Mieszczaństwo w pierwszym porywie uniesienia chciało biec i odbijać Naczelnika i gromadami całemi wybiegło już za miasto. Tłum szalał. Ale nie był to szał twórczy, zdolny wyłonić wolę i czyn. Rozpacz, po pierwszych gwałtownych wybuchach, przemieniała się zwolna w cichą żałość i bezsilne biadanie. Lud warszawski, ten sam lud, który bez widomej głowy, w pamiętnych dniach kwietnia, jednem uczuciem i jedną wolą kierowany, wykazał swoją moc i zwycięstwem, odniesionem na bruku stolicy, dał powsta-

niu możność dalszego rozwoju, ten sam lud nie umiał już cnoty i woli jednego człowieka zastąpić wolą i cnotą zbiorową. I wojsko nie widziało nikogo, komuby chciało powierzyć swe losy. Zajączek świadczy, że „żołnierz opłakiwał Naczelnika ubóstwianego, nie znajdując innego, któryby na jego zasługiwał przywiązanie". I Rada Najwyższa Narodowa nie miała zastępcy na miejsce Kościuszki. W liście swoim do dostojnego jeńca pisała:

— „Tyle ceny do Twego powrotu przywiązujemy, iż w zamianę Twej osoby chętniebyśmy nieprzyjacielowi wszystkich jego jeńców wrócili"...

Oczywiście ci, co mieli Naczelnika w swych rękach, nie myśleli się godzić na taką zamianę.

Ale powstanie nie mogło być bez głowy.

Gdy zwołano posiedzenie Rady Najwyższej, Kołłątaj w te słowa przemówił:

— Straciliśmy wybornego wodza, jednak, żebyśmy własnej naszej przynajmniej nie szkodzili sprawie, pamiętajmy, że ze sprawą Kościuszki nie zginęły wszystkie nadzieje Rzeczypospolitej. Obranie mu następcy pierwszem naszem staraniem być powinno. Powszechna sprawa potrzebuje człowieka, któryby był miły partjom, na nieszczęście, naród nasz dzielącym"...

Tak mówił Kołłątaj. Być może, iż wielka jego dusza nie traciła jeszcze nadziei. Być może, że dla ożywienia męstwa swoich kolegów, chwytał się ostateczności. A jednak słowa Kołłątaja odsłaniały całą grozę sytuacji. Poszukiwanie człowieka „miłego partjom" świadczyło, że powstanie było okrętem tonącym bez sternika i że tego sternika nie mogła wśród siebie wynaleźć opuszczona załoga. Najwidoczniej i Kołłątajowi nie chodziło już o głowę powstania, lecz o kogoś, ktoby tę głowę wyobrażał. Sam nieugięty Kołłątaj miał umysł potężny, genjalny, miał

żelazne ręce i wielką namiętność. Postawiony na czele sprawy, mógł jeszcze uczynić powstanie niebezpiecznem. Ale ścigany podejrzeniami i nienawiścią, sam był człowiekiem partji. Mógł być w powstaniu osobą drugą, nieufność rodaków wyrastała przed nim, jak niedostępna, a najeżona trudnościami góra, nie pozwalająca nawet myśleć o wdarciu się na szczyty. Nikt też o nim nie myślał, i on sam wiedział, że to jest niepodobieństwem. Był przytem księdzem, nie wojskowym, a opinja chciała wodza widzieć na czele. Mówił o człowieku, któryby miły był partjom, ale sam nie miał takiego człowieka. Być też może, że nie o *człowieka* mu chodziło, ale o narzędzie, któreby w jego potężnych rękach stało się ostatnią próbą ratowania świętej sprawy wolności narodu.

I dlatego może zgodził się, czy nawet pierwszy rzucił nazwisko Tomasza Wawrzeckiego.

Kandydatura ta spodobała się wszystkim i przez wszystkich została przyjęta. Ale Wawrzecki srodze zawiódł oczekiwania Kołłątaja, zawiódł wszystkie nadzieje, jeżeli wśród tych, którzy go stawiali u steru, kiedykolwiek je budził. Był to człowiek „miły partjom“: poczciwy patrjota, ale bez wiedzy, bez umysłu, ogarniającego szersze widnokręgi, bez doświadczenia i zdolności wojennych. Nie zaletom, lecz raczej brakom zawdzięczał swoje wyniesienie: nie talentowi i nie zasłudze oddawano ster sprawy w ręce, lecz człowiekowi, którego wybór niczyich talentów i zasług nie obrażał.

Wawrzecki, gorliwy twórca komisyj porządkowych, dawniej poseł patrjotyczny na sejmie czteroletnim, zdobył w czasie powstania pewien rozgłos zajęciem Libawy. Mianowany przez Kościuszkę generałem-lejtnantem, nie ufał swojemu doświadczeniu wojskowemu, nie piął się ku górze i ani myślał o dostojeństwie, na które wyniosła go uchwała Rady Najwyższej. Nieobecny w Warszawie, gdy zapa-

dało to postanowienie, przybywszy do stolicy 16 października, natychmiast udał się na posiedzenie Rady Najwyższej i, wiedząc, że nie udźwignie ciężaru, który wkładano na jego barki, stanowczo odmówił przyjęcia ofiarowanego mu naczelnictwa. Ale go przekonano. Więc ustąpił „na głos Ojczyzny“ i objął władzę po Kościuszce.

Energja powstania, podobnie jak świeca dogasająca, strzeliła na chwilę jaśniejszym płomieniem. W oczekiwaniu na zjawienie się wojsk rosyjskich przed Pragą przygotowywano środki obrony. Zbroiła się milicja, trzy tysiące mieszczan stawało codzień do sypania szańców na Pradze, wszystkie statki, galary ściągano na prawy brzeg Wisły. Aby podnieść ducha wśród wojska, wyznaczono nowe nagrody, a na wniosek Kołłątaja przyobiecano włościanom, służącym w szeregach, oddanie ziemi na własność. Ktoby wytrwał w szeregach do końca wojny, miał otrzymać pół włóki ziemi i prócz podatków, żadnych innych ciężarów już nie ponosić. Specjalne nagrody obmyślono dla inwalidów. Wydano energiczne zarządzenia z powodu spadku papierów skarbowych, których wkońcu ludność nie chciała przyjmować. Ogłoszono, że zdrajcą jest, kto od ich przyjmowania będzie się uchylał.

Generałowie Zajączek i Jasiński proponowali powołać pod broń całe mieszczaństwo, jako rezerwę na wypadek spodziewanego oblężenia Pragi. Ale Rada Najwyższa Narodowa mimo usilne nalegania nie zgodziła się na to. Zapomniano o męstwie ludu warszawskiego w dniach kwietniowych, pamiętano natomiast o szubienicach, których widmo stało przed oczyma intrygującego króla, płoszyło sen z powiek jego zwolenników, straszyło wreszcie umiarkowany odłam obozu patrjotycznego.

Mijało chwilowe podniecenie.

Nieznużony Kołłątaj zawiązał „Zgromadzenie na utrzymanie rewolucji i aktu krakowskiego“, ale i w tym związku

podniosła głowę intryga, stanęły ze sobą do walki ambicje osobiste. Zrozpaczony Jasiński, widząc, co się dzieje, twierdził w owym czasie: — „W Polsce niemasz, jak tylko zdrajcy, lub ludzie słabi i bez energji". I myśl, by zginąć z bronią w ręku, byle nie patrzeć na hańbę, opanowała umysł bohatera powstania litewskiego.

Beznadziejność wkradała się we wszystkie serca, niewiara w skuteczność dalszej walki obezwładniała umysły, a wieść o nadciąganiu Suworowa siała lęk i grozę. Słabła energja, przygasały płomienie dopalającego się ogniska nadziei. Tylko w otwartych cały dzień kościołach, przepełnionych wiernymi, odbywały się uroczyste nabożeństwa, rozbrzmiewały nabożne błagalne pieśni i płacz niemocny wstrząsał zbiorową piersią modlących się tłumów.

Tymczasem Suworow, połączywszy się z Derfeldenem i Fersenem, maszerował ku Pradze, wiodąc ze sobą 35.000 zaufanych w siebie i w swojego wodza żołnierzy.

Oddziały powstańcze z Litwy śpiesznie ściągały ku Warszawie, ale niosły ze sobą upadek ducha, lęk i rozprzężenie. Jeden z tych oddziałów pod dowództwem Meyena napadł Suworow pod Kobyłką o trzy mile od Warszawy, zdobył 9 armat i 1.500 ludzi wytracił lub zabrał do niewoli. Nowa klęska powiększyła zwątpienie i zgasiła ostatnie przebłyski energji. „Nieufność,—powiada Zajączek,—opanowała wszystkie dusze i nie można było nic dokazać z tak zatrwożonemi umysłami".

Dnia 2 listopada pierwsze straże rosyjskie ukazały się przed szańcami Pragi. Tegoż dnia pomiędzy Grochowem a Białołęką zapadły obozem wojska Suworowa.

Zbliżała się godzina szturmu, a przygotowania do obrony były jeszcze dalekie do ukończenia. Szańce, usypane z lotnego piasku, słabą przedstawiały zaporę, a drugi rząd redut za pierwszym obwodem okopów zaledwie był

zaczęty. Coraz większe zimna dawały się we znaki, a żołnierz polski „nie miał ani namiotu, ani słomy, ani drew, ani chleba, całe bataljony były bez obuwia prawie i bez odzienia". Rozległość fortyfikacyj praskich wymagała przynajmniej 45.000-cznej siły, a załoga polska liczyła 18.000 ludzi, w tem zaś tylko 13.000 wojska regularnego. A naprzeciwko stała dwukrotnie liczniejsza armja, chciwa krwi i łupów, dumna ze zwycięstw świeżo odniesionych, pewna siebie i przeniknięta dziką drapieżnością Suworowa.

W takich warunkach jedynie heroizm mógł obronę uczynić skuteczną. Niestety, nie był herosem nowy naczelnik, Tomasz Wawrzecki, i nic heroicznego nie było już w rozprzężonej armji, broniącej okopów na Pradze. Zajączek, którego we wszystkiem radził się Wawrzecki, a nawet Jasiński, widząc, co się dzieje, bezwładnie opuścili ramiona. Pierwszy, winiąc o wszystkie nieszczęścia króla i jego intrygujących popleczników, z namiętnością sekciarza przesadzał wpływy i doniosłość tych intryg, energiczna natura drugiego, nie znajdując dla siebie pola, zastygała w kamiennej rozpaczy. W całej Warszawie biły niespokojnie zatrwożone serca, a w ciemne noce powszechnego lęku i zwątpienia krwawa pochodnia klęski złowrogo świeciła mieszkańcom stolicy.

A Suworow nie tracił czasu na przygotowania do szturmu.

Nadszedł na wieki pamiętny w dziejach Polski dzień 4 listopada 1794 roku.

Dnia tego, jeszcze przed nadejściem świtu, silne kolumny rosyjskie, pod osłoną gęstego mroku nocy i ciężkich mgieł jesiennych, podeszły w największej cichości ku okopom polskim i uderzyły gwałtownie na lewe skrzydło linij fortyfikacyjnych. Huk wystrzałów oznajmił Warszawie, że Suworow przypuścił szturm do Pragi. W całej stolicy

i w całym obozie polskim zapanował popłoch. Żołnierz polski, wygłodzony, zmarznięty, zaskoczony znienacka gwałtownym atakiem, słabo bronił okopów. Kartacze polskie tu i owdzie wstrzymały szturmujące fale, ale słaby ogień nie zdołał przeszkodzić wdzieraniu się na szańce. Moskale, upojeni wódką, rozgrzani pierwszem powodzeniem, coraz gwałtowniej darli się na wały i bagnetem wypierali szeregi obrońców. Wkrótce też poza wały przeniosła się bitwa i trwała czas jakiś, bez żadnej prowadzona nadziei. Coraz większy popłoch ogarniał żołnierzy polskich i coraz więcej oddziałów opuszczało szańce i w ucieczce przez most szukało ocalenia na drugim brzegu Wisły. Wawrzecki chciał wstrzymać ten popłoch, ale nikt go nie słuchał, a tłum uciekających porwał z sobą wodza i poniósł do stolicy. Zajączek, który za wiele krytykował, a za mało dbał o obronę, otrzymawszy zaraz na początku szturmu lekką ranę, uszedł z piekła, które już zaczęło ogarniać Pragę. Jasiński legł śmiercią walecznych. Pokotem legła również garstka pozostałych krakusów ze słynnego regimentu grenadjerów krakowskich, padł niemal do nogi pułk Berka Joselewicza, ginęły ogarnięte paniką regimenty wojsk regularnych, topniały, nie stawiając należytego oporu, szeregi milicji warszawskiej...

W dwie godziny od chwili przypuszczenia szturmu Praga była zdobyta.

Już o godzinie 8-ej rano baterje rosyjskie, ustawione na prawym brzegu Wisły, ziały ogniem ku Warszawie, już Moskale wkraczali na most, przez który pędziły resztki oszalałych ze strachu mieszczan i żołnierzy. Wawrzecki, który na widok paniki, sam stracił przytomność umysłu, ocknął się wreszcie i rozkazał rąbać most, by przeszkodzić wejściu zdobywców do stolicy. Garstka żołnierzy i mieszczan rzuciła się ku brzegowi Wisły z siekierami, by spełnić

ten rozkaz. Wtedy artylerja rosyjska skierowała swój ogień na zajętych pracą, a od pocisków armatnich zajęły się tu i owdzie rusztowania, i most płonący z trzaskiem zapadał się w Wisłę...

Część pozostałych na Pradze żołnierzy i garść ludności cywilnej, gnana panicznym strachem, dopadła brzegów Wisły. Ujrzawszy most w ogniu, rzuciła się do wody i wpław próbowała dostać się do Warszawy. Wielu oszalałych nieszczęśników dosięgły kule moskiewskie, a wszystkich pochłonęły zimne fale Wisły.

Warszawa narazie ocalała, ale Praga, odcięta od stolicy, stała się widownią najstraszniejszych zbrodni.

Suworow pozwolił „pohulać" swoim żołnierzom. Wnet nieszczęsne przedmieście stanęło w ogniu i dymie. A na tle szerzącej się pożogi, przy gruchocie walących się dachów, śród płonących murów, pijani żołnierze rosyjscy, podnieceni odniesionym triumfem, nowe święcili „zwycięstwo". Rzucili się na ludność bezbronną i rozpoczęli rzeź najhaniebniejszą. Mężczyźni, starcy, dzieci, kobiety, wszystko, co żyło, stawało się pastwą rozszalałej tłuszczy. Mordowano na ulicach i w płonących domach, wyciągano nieszczęsnych mieszkańców z piwnic, kłuto bagnetami, roztrzaskiwano głowy kolbami karabinów, rąbano szablami, wrzucano żywcem ofiary do palących się domów, ćwiartowano na sztuki. Wściekła się zbrodnia i rozszalała po wszystkich ulicach, zaułkach i zakątkach miasta. Zamarły wszelkie uczucia ludzkie, dzikie bestje rozpętały się w pijanej hordzie żołdaków Suworowa, najohydniejsze instynkty przyczajonego w człowieku zwierza święciły swój krwawy i zbrodniczy triumf. Szaleli szczególniej kozacy. Ci „dla zabawy" porywali maleństwa, tulące się do piersi matczynych, o bruk roztrzaskiwali główki dziecięce, lub też, wyjąc nieludzko, na ostrzach pik obnosili ociekające krwią niemowlęta. A huk

zapadających się domów łączył się z dzikim wrzaskiem czerni morderców i rabusiów, z rozdzierającemi niebo jękami mordowanych ofiar, wszystkie zaś głosy zlewały się w jeden zgiełk potworny i przerażający, a słyszalny na drugim brzegu Wisły.

Zdrętwiała od grozy Warszawa.

— Praga wzięta, Warszawa drży, — donosił tegoż dnia carycy triumfujący Suworow, a „wzięta Praga“ przedstawiała olbrzymie rumowisko, którego obraz krew mroził w żyłach. Jeden z oficerów rosyjskich, Engelhardt, patrząc na pietrzące się stosy ciał cywilnej ludności, żołnierzy, księży, zakonników, kobiet i dzieci, pisał później, że na ten widok „serce zamierało w człowieku, a obmierzłość obrazu duszę jego oburzała“. Późniejsi pisarze rosyjscy starali się zaprzeczyć okrucieństwom, których dopuścili się zdobywcy Pragi. Usiłował te okrucieństwa zbagatelizować historyk rosyjski, Kostomarow, ale i on nie mógł się powstrzymać, by nie wspomnieć i nie opisać kilku owych scen, które uczyniły z Pragi jedną olbrzymią mogiłę, wołającą o pomstę do nieba...

Kilkanaście tysięcy trupów zasłało ulice nieszczęsnego przedmieścia. Wymordowana została niemal cała ludność cywilna, a z armji, broniącej okopów praskich, zaledwie szczątki ocalały.

— „Warszawa drży!“ — chełpił się Suworow, mając przed oczyma gruzy i zgliszcza Pragi, zbryzgane krwią tysiącznych ofiar. Istotnie Warszawa drżała. Nikt już nie myślał o obronie, a los Pragi grozą i lękiem przejmował ludność stolicy. Rada Najwyższa Narodowa, nie mogąc podjąć walki z Suworowem, postanowiła wejść z nim w pertraktacje, a Ignacy Potocki z największem poświęceniem osobistem zaofiarował się układy rozpocząć. I pojechał na Pragę. Ale Suworow nie chciał układać się

z człowiekiem, który słynął, jako wróg Rosji i gorący patrjota. Więc wysłano przedstawicieli władz miejskich — i ci podpisali kapitulację, którą podyktował Suworow.

Wawrzecki z wojskiem, znajdującem się w stolicy, opuścił miasto. Ze łzami w oczach żegnała Warszawa żołnierzy. Trwoga padła na wszystkich, gdy rozeszła się wieść, że prezydent Zakrzewski podążył za wojskiem. Bezbronna stolica Polski, opuszczona przez swoich przywódców, wiła się w bólu i trwodze. I król chciał, czy też udawał, że chce wraz z wojskiem dzielić dalsze losy, i przygotowywał się do wyjazdu, ale tłumy, strzegące zamku, widząc w obecności króla rękojmię większego bezpieczeństwa, nie pozwoliły mu na opuszczenie miasta. Więc Stanisław August, być może, w myśl zamiarów, które żywił w głębi duszy, pozostał w stolicy.

A dnia 9 listopada, po moście, wzniesionym na nowo, Suworow wkraczał na czele wojsk swoich do drżącej Warszawy. Szły kolumny rosyjskie marszem triumfalnym, z rozwiniętemi pysznie sztandarami, przy odgłosie bębnów, przy radosnych dźwiękach orkiestr, grających zwycięskie fanfary.

Tuż przy moście magistrat warszawski chlebem i solą powitał dzikiego zwycięzcę, a vice-prezydent Łukaszewicz wręczył mu klucze miasta stołecznego Warszawy.

Tak skończyło się powstanie Kościuszkowskie.

Było jeszcze wojsko polskie, które Wawrzecki uprowadził ze stolicy kraju. Ale to wojsko, gnane rozpaczą, idące do niewiadomego celu, stanowiło tłum rozbitków, myślących już tylko o sobie. Pękły karby posłuszeństwa, masowa dezercja co nocy przerzedzała szeregi. Składali

komendę dowódcy korpusów, generałowie, pułkownicy, śladem ich szli oficerowie rang niższych, rozpierzchali się we wszystkie strony żołnierze. Jeden Dąbrowski roił jeszcze śmiałe plany, ale i on, widząc niepodobieństwo wykrzesania czynu z tego wojska rozbitków, dał wkońcu za wygraną i bezwładnie opuścił ramiona.

Kościuszko, wleczony do Petersburga, a Suworow, obejmujący władzę w stolicy kraju, oto był obraz, malujący najlepiej stan rzeczy, jaki się wytworzył w Polsce po kapitulacji Warszawy.

Biada zwyciężonym! Nigdy może hasło to nie brzmiało tragiczniej, jak wtedy, gdy na ostatnim skrawku wolnej przez lat tysiąc ziemi polskiej zatrzaskiwało się wieko trumny, a na mogile Rzeczypospolitej dziki wódz Suworow rozkazywał swoim orkiestrom wojskowym grać marsze triumfalne!

Biada zwyciężonym! To było hasło zwycięzców. I w myśl tego hasła postępowali wrogowie Polski. Mścili się na bezsilnych. Nie dotrzymywali żadnych umów, a Suworow złamał nawet warunki narzuconej przez siebie kapitulacji. Po upływie bardzo krótkiego czasu los bohaterów i najwybitniejszych uczestników powstania, o ile nie padli na polu walki, najdobitniej wskazywał szlaki, które zwycięzcy dla całego wykreślili narodu.

Kościuszko i generałowie polscy, wzięci do niewoli na polach pogromu maciejowickiego, więzieni byli w Petersburgu. Ignacy Potocki, Wawrzecki, Zakrzewski, Kapostas, Kiliński, wbrew warunkom kapitulacji, zostali zaaresztowani i pod zbrojną eskortą wywiezieni do Rosji. Madaliński przebywał w więzieniu magdeburskiem. Kołłątaj i Zajączek wtrąceni zostali do twierdzy ołomunieckiej, a brygadjer Kopeć aż na Kamczatce rozpamiętywał bohaterskie dzieje swojej przeprawy z pod Owrucza. Pełno

było wojskowych i działaczów patrjotycznych, którzy w murach więziennych, po różnych stronach świata rozproszeni, myśleli o losach Ojczyzny.

A ostatni król polski do końca szedł drogą, którą od początku panowania pchała go wola potężnej carycy. Dnia 21 listopada 1794 roku polecił los Polski i los swój własny względom „wspaniałomyślnej triumfatorki". Dnia 3 stycznia 1795 roku wspaniałomyślna triumfatorka podpisała traktat podziałowy z Austrją, a po długich dziesięciomiesięcznych sporach i targach stanął takiż traktat pomiędzy Rosją a Prusami. W listopadzie tegoż roku Stanisław August podpisał akt abdykacji.

Państwo polskie znikło z widowni świata.

ZAKOŃCZENIE.

Niewolnikiem stał się naród, który lat tysiąc był wolny, a w ciągu stuleci szedł w pierwszym szeregu oświeconych państw Europy i piersią swoją, jak wałem żelaznym, zasłaniał Zachód od zalewu fal barbarzyńskich. Na świat cały słynęła potęga i męstwo Polaków. Przez długie wieki imię polskie otaczał szacunek, a miecz polski budził postrach i grozę. Za Jana Kazimierza cała Rzeczpospolita, deptana stopami szwedzkich drapieżników, najechana przez Moskwę, zdradzona przez swego lennika, napadnięta zbójecko przez Rakoczego, z krańców w krańce zalana przeważnemi siłami wrogów, wyprężyła swoje mocarne ramię, powstała, jak przebudzony kolos i najeźdźców, niosących wolnemu narodowi kajdany, wyparła z Polski i mściwym mieczem Czarnieckiego poza granicami kraju dochodziła swej krzywdy.

Więc powstaje pytanie, gdzież podziała się moc polska, czemuż na wezwanie Kościuszki nie przejawiła się dawna dzielność narodu, czemu powstanie zakończyło się klęską?

Przyczyny każdego zjawiska historycznego są bardzo złożone, wybiegają zazwyczaj daleko poza okres czasu, w którym się rozgrywają, wiążą się z długim łańcuchem wydarzeń, wykuwanych przez dzieje, i stanowią ich jedno

ogniwo, nierozerwalnie związane z przeszłością. Ale jakkolwiek ta przeszłość ciąży na pracach i wysiłkach każdego pokolenia, jakkolwiek historja, rozpatrywana z dalekiej perspektywy, nie zna wypadków, nieuzasadnionych splotem najróżnorodniejszych faktów, które je poprzedziły, to jednak nie co innego, jeno wola żyjącego pokolenia wpływa na kształtowanie się jego losów i przeszłość wiąże z przyszłością.

Na powstaniu roku 1794-go niemal przez cały czas trwania mściła się przeszłość Rzeczypospolitej. Kiedy Kościuszko występował na widownię walki, Polska przedstawiała już tylko ruiny, w których wygasały ostatki dawnej potęgi, a budzące się nowe życie zaczynało dopiero kiełkować. Rozebrany częściowo gmach państwowy polski w dalszym ciągu chwiał się i pękał, wiązania, podtrzymujące jego poszczególne części, szarpane samobójczo rękoma własnych Polski synów, waliły się, jak przegniłe belki, a triumf Targowicy kopał przepaść pod szczątkami ocalałej budowli.

Nad tą przepaścią stała Polska, gdy Kościuszko rozwinął w Krakowie sztandar powstania.

Czyn jego poruszył wszystko, co w narodzie było żywe, nieprzedajne i niespodlałe, wszystko, co czuło, cierpiało, pragnęło. Ale nie poruszył najmożniejszej i posiadającej największe wpływy klasy narodu, nie poruszył ogółu szlachty. Ogół ten nie ocknął się i nie stanął zwartą ławą do walki, jak ongi, kiedy zbudził go z uśpienia orężny czyn Stefana Czarnieckiego. Ale też przepaść stulecia dzieliła te epoki. Pokolenie, które wydało Kościuszkę, pokolenie, w którem wielką rolę zaczęli odgrywać tacy ludzie, jak Kołłątaj, Ignacy Potocki, Działyński, Dąbrowski i Jasiński, z ogromnym ciężarem strasznej na swoich barkach spuścizny, przystępowało do czynu wyzwoleńczego. Przystępowało w samem zaraniu odrodzenia naro-

du, w chwili, kiedy fala życia państwowego, wtłaczana przy pomocy obcych bagnetów w dawne łożysko staroszlacheckich przesądów i samobójczej anarchji, płynęła już całym pędem ku morzu zatracenia i hańby.

Powstanie nie miało sił należycie zorganizowanych, nie miało zasobów materjalnych, nie miało poważnej siły zbrojnej, ani dowódców, stojących na wysokości zadania. Wprawdzie armja, ożywiona duchem patrjotycznym Sejmu Czteroletniego, zagrzana męstwem Naczelnika, biła się dobrze. Ale miała do czynienia z wojskami, zaprawionemi w licznych bojach, doskonale zorganizowanemi, z wodzami, którzy posiadali i siły liczniejsze, i długie doświadczenie wojenne. Tymczasem, z wyjątkiem Dąbrowskiego, wszyscy generałowie polscy, którym Kościuszko powierzał samodzielne zadania, nie umieli ich spełnić. Zawiedli Naczelnika Wielhorski, Mokronowski, Sierakowski, Zajączek, Poniński, nawet bohaterski ks. Józef na szwank wystawił swą sławę w czasie oblężenia Warszawy.

Sam Kościuszko, pobity w rozprawie szczekocińskiej, rozgromiony na polach Maciejowic, nie był wodzem szczęśliwym. Mężny, energiczny, nie upadający na duchu w ciężkich chwilach klęsk i niepowodzeń, wykształcony i znający wojnę, nie miał w sobie tej iskry genjuszu, który cechuje wielkich wojowników. Znakomity organizator, mistrz w wojnie oblężniczej, nie posiadał owej nieustannie czynnej, czujnej, a groźnej, bo nieprzeniknionej zaczepności Czarnieckiego i nie zdobywał się na owe lwie rzuty, które niezwyciężonym czyniły Jana III i nad dziesięciokroć liczniejszym nieprzyjacielem pozwalały mu odnosić słynne na świat cały zwycięstwa. Prawda, że od czasów Sobieskiego zmieniły się sposoby prowadzenia wojny, że było to po kampanjach Fryderyka Wielkiego, że sztuka wojenna, po upływie wieku, inne już miała wymagania. Ale współcześnie

wschodząca gwiazda Napoleona była nowem świadectwem, co może zdziałać wódz, genjuszem obdarzony.

Nie miało genjalnego wodza powstanie roku 1794-go, ale nie brak takiego wodza, nie przegrane bitwy, nie klęska pod Maciejowicami była istotną przyczyną katastrofy. Szukając tej przyczyny, trzeba przedewszystkiem zdać sobie sprawę z tego, czy powstanie wykorzystało wszystkie środki, czy zrobiło wszystko dla pomnożenia sił swoich, czy nie zaniedbało uczynić czegoś, co dałoby mu moc niezwalczoną. I tutaj znowu uwaga zatrzymuje się na Kościuszce. Powstanie tak sprzęgło się z jego osobą, tak nierozerwalnie z nim było związane, że na całej przestrzeni działań powstańczych, wszędzie na plan pierwszy występuje Kościuszko. Wódz, którego wyniosła na szczyty nadzwyczajna prawość charakteru, ofiarny patrjotyzm i rzetelne cnoty republikańskie, doskonale rozumiał, że naród powstający musi z samego siebie wykrzesać potrzebną dla zwycięstwa siłę i że tylko własna narodu siła jest w walce siłą niezawodną. Pod tym względem robił wszystko, co było w jego mocy. Akt powstania, wyrzekając się „wszelkich przesądów i opinji, które obywatelów, mieszkańców jednej ziemi, dzieliły lub dzielić mogły“, istotnie wszystkich, a więc szlachtę, duchowieństwo, mieszczaństwo, włościan i Żydów powoływał do walki, pomnikowy zaś Uniwersał Połaniecki wskazywał nowe źródła mocy narodowej, chciał tę moc, zamkniętą w okowach odwiecznego poddaństwa, wyzwolić i, czyniąc z mas ludowych wolnych obywateli, nowych a potężnych obrońców przysporzyć Polsce, o wolność walczącej. Poza tem Kościuszko przez cały czas swego działania nie tracił energji, przez cały czas podtrzymywał ducha czynnego patrjotyzmu, w najcięższych chwilach nie załamywał rąk rozpacznie, lecz szukał środków ratunku. Robił wszystko, co w warunkach ówczesnych czynić było moż-

na, do ostatniego tchu trwał na stanowisku i jak żołnierz wolności padł na stanowisku.

Ale Kościuszko, jeżeli nie był w powstaniu samotnikiem, jeżeli miał obok siebie Kołłątaja i Potockiego, jeżeli pomagali mu patrjoci, to przecież nie była to, jak na ogrom zadania, pomoc dostateczna. Polska, którą w ciągu całych stuleci rządziła masa szlachecka, oddawszy ster powstania w ręce jednego człowieka, złożyła zarazem na jego barki cały ciężar wielkiego przedsięwzięcia. On za wszystkich miał działać, myśleć, zwyciężać, na niego oglądali się wszyscy, jego chciano mieć wszędzie. To też Kościuszko, podtrzymujący powstanie, sam ze strony powstania nie miał należytego poparcia. Dlatego to martwą literą stał się jego wiekopomny Uniwersał, dlatego to z chwilą, gdy legł na polu walki, przestało bić serce Polski walczącej. On spełnił swój obowiązek, nie spełnili go inni, przedewszystkiem zaś ci, którym za ucisk chłopów musiał grozić karą, należną „zdrajcom i nieprzyjaciołom“ Ojczyzny. Nie spełnili swego obowiązku generałowie, których nieczynność na Litwie, małoduszność i niedołęstwo rozprzęgały wojska, wywoływały upadek ducha, siały niewiarę i nieufność w narodzie. Nie spełnili swego obowiązku ludzie, którzy po klęsce maciejowickiej ujęli w swe ręce ster sprawy, kierowali obroną Pragi i nie umieli z resztą sił ani zapewnić Polsce warunków, umożliwiających dalsze jej życie, ani też zginąć.

Kościuszko padł na stanowisku, powstanie nie wytrwało do końca i, mając jeszcze siły, nie próbowało walczyć do ostatka.

Niektórzy historycy utrzymują, że powstanie 1794-go roku, wobec zupełnego odosobnienia Polski, zmuszonej walczyć z trzema państwami, z których każde militarnie było od niej silniejsze, nie miało widoków zwycięstwa, że mu-

siało zakończyć się klęską. Ale zwolennicy tego poglądu zapominają, że dla Polski powstanie było walką o życie narodu, gdy państwa z nią walczące prowadziły wojnę o zabory, które nie były dla nich koniecznością. To dawało powstaniu ową przewagę moralną, która tworzy potęgę, jeżeli za nią stoi zorganizowana a świadoma siebie wola narodu. Oczywiście, powstanie miało do spełnienia zadanie nielada, ale historycy, opisujący tak często niepodobieństwa, z jakich składają się dzieje ludzkie, szczególnie zaś dzieje wojen, zbyt pochopnie może przesądzają widoki powstania Kościuszkowskiego. Miał potrzebną wolę Kościuszko, lecz wola ta nie żyła w całej masie, która podówczas posiadała wpływy, znaczenie i możność powiększania walczącej siły narodu. Wola i cnoty jednego człowieka nie mogły zastąpić cnót i woli zbiorowej.

Na drugi plan dopiero wysuwają się przyczyny zewnętrzne: siły militarne i zasoby wojenne nieprzyjaciół oraz nieszczęśliwa dla powstania sytuacja międzynarodowa.

Dla wielorakich przyczyn upadło powstanie Kościuszkowskie, a jednak mimo swój upadek wielką narodowi oddało usługę.

Nowy podział Polski, który po upadku powstania nastąpił, nie był skutkiem samego powstania. Wyrok śmierci na ostatnią część nominalnie tylko wolnej jeszcze Rzeczypospolitej podpisany był wcześniej. Wyrok ten tkwił w dwóch poprzednich rozbiorach. Zwycięstwo powstania mogło Polskę ocalić, przegrana już nie mogła jej zgubić. To też, mimo poniesionej klęski, powstanie pozostawiło po sobie spadek, który dla dalszego życia narodu miał pierwszorzędne znaczenie.

Pierwszy podział, bez oporu, bez walki ze strony narodu dokonany, pokrył Polskę niesławą. Powstanie Kościuszkowskie zmazało tę straszną w dziejach narodowych plamę i cześć przywróciło imieniu polskiemu.

Dzięki powstaniu państwo polskie schodziło z widowni świata z orężem w dłoni, z chwałą męstwa, które rozbłysło na polach Racławic i na bruku Warszawy, ginęło ze świadectwem żywotności, ginęło z wielkiemi ideami, które przetrwały upadek i dały moc życia pokoleniom późniejszym.

Zginęło państwo, — ocalał naród i honor narodu.

I pozostało społeczeństwu promienne imię pierwszego wodza powstającego narodu, wodza, który wskazał nowe źródła mocy narodowej, pogłębił pojęcie Ojczyzny i błyskiem swego miecza ocalił jej godność. Sto lat imię Kościuszki jaśniało niewygasłym blaskiem swych czynów, docierało do chat wieśniaczych, tłukło się w piersiach nieszczęsnych dzieci polskich, dzwoniło o kraty więzień, promieniało w ciemnych lochach Sybiru. Nie przestawało świecić w najczarniejsze noce klęsk i nieszczęść narodowych, towarzyszyło wszelkim wyzwoleńczym wysiłkom, zjawiało się na sztandarach wszystkich powstań późniejszych.

Dzięki powstaniu Kościuszkowskiemu Polska mogła trwać, istnieć i w dalszym ciągu walczyć o swą wolność, całość i niepodległość. Generał Dąbrowski, który ocalał z pogromu, miał świat niebawem przekonać, że Polska walczy, więc żyje. W dwa lata po upadku powstania kościuszkowskiego na niebie włoskiem zaświtała gwiazda Legjonów.

WŁASNOŚĆ
«ZOFII KESSEL»

PRZYPISEK.

W książce niniejszej, mającej udostępnić szerszemu ogółowi historję powstania Kościuszkowskiego, autor ze względu na charakter wykładu, b. rzadko powoływał się w tekście na źródła, z których czerpał. Wykaz, poniżej zamieszczony, czyni temu zadość. Wykaz ten nie tylko daleki jest od pełnej bibljografji, ale nie wymienia nawet wszystkich prac i materjałów, do których autor sięgał, a których ze względu na ramy i charakter swej książki zużytkować nie mógł.

Kościuszko... przez Tadeusza Korzona. Kraków-Warszawa. Wydanie drugie. — Tegoż: Dopełnienia przy wydaniu drugiem. — Dzieje insurekcji kościuszkowskiej. Napisał Kazimierz Bartoszewicz. — Wacław Tokarz: Warszawa przed wybuchem powstania 17 kwietnia 1794 r. Kraków 1911.—Tenże: Ostatnie lata Hugona Kołłątaja. Kraków MCMV.— Michał Janik: Hugo Kołłątaj. Lwów 1913. — Władysław Smoleński: Ostatni rok Sejmu Wielkiego. Kraków 1897. — Tenże: Konfederacja Targowicka. Kraków 1903.—Szymon Askenazy: Książę Józef Poniatowski. Warszawa-Kraków 1905. — Jan Henryk Dąbrowski... przez Adama Skałkowskiego. Kraków 1904.—Młode lata Kościuszki, przez Włodzimierza Andrzeja Dzwonkowskiego. Bibl. Warsz. 1911. — Tadeusz Kościuszko. Napisał Włodzimierz Dzwonkowski. Warszawa 1917.—Marjan Kukiel: Z dziejów dyplomacji insurekcyjnej 1794 r. Kwart. Historyczny 1910.—Tadeusz Korzon: Wewnętrzne dzieje Polski za Stanisława Augusta. Kraków-Warszawa 1907.—Polska w czasie trzech rozbiorów... przez J. I. Kraszewskiego. Tom III. Poznań 1875.—Н. И. Костомаровъ: Послѣдніе годы Рѣчи-Посполитой. С. Петербургъ 1870. — Исторія паденія Польши. Соч. Сергѣя Соловьева. Москва 1863. — Generał Filip Hauman... przez Kaj. Kraszewskiego. Bibl. Warsz. 1887. — Dzieje Tadeusza Kościuszki, przez generała Paszkowskiego. Kraków 1872. — Henryk Mościcki: Generał Jasiński i powstanie Kościuszkowskie. Warszawa.

Pamiętniki czasów moich. Dzieło pośmiertne. J. U. Niemcewicza. Paryż 1848.—Drugi rozbiór Polski. Z pamiętników Sièversa. Poznań 1865. — Józefa Zajączka Pamiętnik albo Historja rewolucji... Poznań 1862.—Toż w wydaniu Książnicy. Warsz. Lwów 1907.—Pamiętniki Jana Kilińskiego. W oswobodzonej Warszawie 1830.—Pamiętniki Józefa Wybickiego. Poznań 1840. — Generał-kwatermistrz Pistor: Pamiętniki o rewolucji polskiej r. 1794. Warszawa 1906. — O rewolucji polskiej, napisał Wojda. Poznań 1867. — Pamiętniki Józefa Kosmowskiego. Po-

znań 1860.—Dziennik Józefa Kopcia. Berlin 1863. — Pamiętnik Filipa Lichockiego... Poznań 1862. — Tamże: Bitwa pod Maciejowicami przez Niemcewicza. — Tamże: Opis kampanji pod Wyszkowskim oraz bitwa pod Chełmem. — Pamiętnik o przygotowaniach do insurekcji kościuszkowskiej (Józefa Pawlikowskiego). Przegląd Polski 1876.—Pamiętniki Engelhardta. Poznań 1873.—Kościuszkowskie czasy, wypisane z księgi wspomnień Wojciecha Mączyńskiego. Czas. Dodatek mies. Kraków 1857. — Pamiętniki Jana Duklana Ochockiego. Warszawa, bez roku. — Żywot J. U. Niemcewicza przez X. Adama Czartoryskiego. Berlin-Poznań 1860. — Diarjusz króla Stanisława Augusta podczas powstania w Warszawie 1794 r. Rocznik T-wa histor.-lit. w Paryżu 1866.

Zbiór wszystkich pism urzędowych od zapisania Aktu Powstania Narod. w Krakowie 1794. — Gazeta Rządowa. Rok 1794. — Gazeta Krajowa. Rok 1794. — Taż gazeta na rozkaz Rady zastępczej zmieniła swój tytuł i wychodzić zaczęła, jako Gazeta Wolna Warszawska. — Po wkroczeniu Moskali do Warszawy raz jeszcze tytuł uległ zmianie: słowo Wolna zostało opuszczone.—Gazeta Narodowa Wileńska z r. 1794 podług przedruków w Przeglądzie Dziejów Polskich z roku 1838. Akty powstania Kościuszki wydali Szymon Askenazy i Włodz. Dzwonkowski. Tomów 2. Kraków 1918.

6443

TREŚĆ.

		Str.
	WSTĘP	1
I.	TRIUMF TARGOWICY	7
II.	TADEUSZ KOŚCIUSZKO	27
III.	AKT POWSTANIA	48
IV.	BITWA POD RACŁAWICAMI	62
V.	KRWAWE DNI W WARSZAWIE	71
VI.	W WYZWOLONEJ STOLICY	94
VII.	POWSTANIE NA LITWIE	109
VIII.	UNIWERSAŁ POŁANIECKI	122
IX.	PIERWSZE KLĘSKI	132
X.	OBRONA WARSZAWY	144
XI.	POGROM MACIEJOWICKI	158
XII.	RZEŹ PRAGI	174
	ZAKOŃCZENIE	186

PORTRETY.

	Przed str.
TADEUSZ KOŚCIUSZKO	1
HUGO KOŁŁĄTAJ	41
JAN KILIŃSKI	73
OFICER REGIMENTU IM. DZIAŁYŃSKICH. Według szkicu B. Gembarzewskiego	89
IGNACY POTOCKI	105
GENERAŁ JAKÓB JASIŃSKI	113
JAN HENRYK DĄBROWSKI	153
ŻOŁNIERZ REGIMENTU IM. DZIAŁYŃSKICH. Według szkicu B. Gembarzewskiego	169

BIBLIOTEKA
ASG
NAUKOWA
A 13736